

Andrzej Kapuściński

DZIADEK SOWA



z Nałęczowa

Andrzej Kapuściński

DZIADEK SOWA Z NAŁĘCZOWA

Autobiografia

oraz

**Wybrane epizody z historii życia rodzin
Kapuścińskich i Gołębów**

**Ponieważ pamięć jest ulotna, dlatego
dedykuję tę książkę moim wnuczkom
Basi i Magdzie oraz wnukom brata
Michałowi i Kubie, ażeby bliżej poznali
korzenie swojej rodziny.**

Andrzej Kapuściński

W książce tej wszystkie opisy i zdarzenia są prawdziwe. W kilku miejscach zamiast pełnych imion i nazwisk podane są inicjały. Pełny spis nazwisk jest w posiadaniu autora. W książce zawarta jest wyłącznie faktografia historyczna, bez żadnej fikcji literackiej. Niewiele fragmentów życiorysu zostało pominiętych, jeżeli pominięto je to głównie z powodu objętości książki.

Spis treści

1. Spis treści	4
2. Powrót do przeszłości.....	6
3. Moje korzenie.....	8
4. Lata przed II wojną światową 1928 – 1939.	12
5. Wybuch II wojny światowej.	17
6. Okupacja niemiecka	18
7. Życie w Tolinie 1942-1944	20
8. Końcowy okres okupacji niemieckiej	24
9. Wkroczenie wojsk sowieckich i polskich do Nałęczowa.....	27
10. Powrót do własnego domu	30
11. Służba wojskowa ojca	35
12. Utrwalanie nowej władzy	36
13. Lata nauki w Szkole Podstawowej 1944 - 1950	40
14. Lata nauki w Liceum 1951 – 1954	45
15. Wycieczka po maturze do Zakopanego.	53
16. Rok w zawieszeniu 1954/55.....	55
17. Studia medyczne w Łodzi 1955/56	59
18. Wakacje 1956.....	64
19. Dalszy ciąg studiów w Łodzi 1956/57	66
20. Wakacje 1957.....	68
21. Trzeci rok studiów w Łodzi 1957/58	70
22. Wycieczka do krajów skandynawskich Mój pierwszy wyjazd na zachód.....	73
23. Dalszy ciąg studiów medycznych w Warszawie 1958/59	82
24. Ostatni rok studiów medycznych 1959/60	86
25. Staż przed – dyplomowy 1961/62	91
26. Życie po otrzymaniu dyplomu lekarza.....	94
27. Wycieczka do Japonii.....	99
28. Moja droga do Ameryki	105
29. Pobyt na stypendium w Birmingham w Alabamie.....	110
30. Życie po powrocie z Ameryki.....	128
31. Praca naukowa w Gruzji	130
32. Lata siedemdziesiąte 1974 – 1979	137

33. Lata osiemdziesiąte 1980 – 1983	149
34. Dalszy ciąg stanu wojennego 1983	160
35. Pobyt w Indianapolis w stanie Indiana.....	162
36. Droga na zachód.....	170
37. Pobyt w Tucson w stanie Arizona.....	174
38. Powrót na wschodnie wybrzeże	187
39. Życie po 2-letnim pobycie w Ameryce	189
40. Edukacja i dorosłe życie Pawła.....	194
41. Pobyty w Nałęczowie, prace w domu i w ogrodzie	198
42. Praca w nowym budynku Instytutu.....	200
43. Moje dolegliwości zdrowotne	203
44. Transfery mieszkaniowe	205
45. Życie na stypendium Zakładu Ubezpieczeń Społecznych	207
46. Załączniki	214

Powrót do przeszłości

Był piękny słoneczny lipcowy dzień 1975r. Od roku byłem właścicielem nowego samochodu Fiata 125p, który kupiłem w Pewexie za dolary zarobione w Ameryce podczas pierwszego pobytu w tym kraju. Byłem wówczas 38 letnim pracownikiem naukowym w Instytucie Polskiej Akademii Nauk, pełnym energii, zadowolonym z życia i mającym szereg planów na przyszłość. Zastanawiałem się między innymi w jaki sposób mógłbym sprawić przyjemność Ojcu, wówczas już starszemu 80-letniemu człowiekowi, który coraz częściej wspominał lata swojej młodości, a szczególnie często rok życia spędzony w Skierbieszowie, gdzie praktykował jako młody lekarz medycyny zaraz po dyplomie. Pomyślałem, że wycieczka do Skierbieszowa powinna sprawić mu dużą radość i właśnie jechaliśmy drogą warszawską w kierunku Lublina rozmawiając na tematy filozoficzne, dotyczące długości życia, jego celu, kształcenia się itd. Minęliśmy Lublin, pogoda była niezwykle piękna i optymistyczna i zbliżyliśmy się do Zamościa. W Zamościu zrobiliśmy przerwę w podróży i pijąc kawę w jednej z kawiarenek przy rynku zachwycaliśmy się architekturą tego miasta.



Albin w drodze do Skierbieszowa



Albin w Zamościu w drodze do Skierbieszowa

Przyznam, że moje wewnętrzne emocje, a sądzę, że i Ojca wzmagają się na myśl jak obecnie wygląda ten Skierbieszów, czy Ojciec rozpozna choćby fragmenty tej miejscowości itd. Ja po raz pierwszy w życiu jechałem do Skierbieszowa i z relacji Ojca wiedziałem, że była to duża wieś – około 100 gospodarstw, dość rozciągnięta wzdłuż drogi, z rynkiem przy którym stał dom z apteką, w którym Ojciec praktykował. Z drugiej strony zastanawiałem się nad faktem, że 50 lat z kilkoma wojnami w tym okresie, to wystarczająco długo ażeby wiele się zmieniło. Jechaliśmy dalej ładną asfaltową drogą z Zamościa do Skierbieszowa, a ja cały czas myślałem jak tu Ojcu przybliżyć wspomnienia z tamtego okresu. I w końcu pojawił się znak drogowy z napisem Skierbieszów i jadąc teraz bardzo wolno mijaliśmy rzeczywiście

liczne gospodarstwa położone przy drodze. Dotarliśmy do rynku a ja dyskretnie obserwowałem reakcje Ojca. Przy rynku rzeczywiście stał dom z apteką, ale Ojciec jak gdyby nie rozpoznawał tego domu. Przejechaliśmy przez rynek jadąc dalej do końca rozległej miejscowości, a ja logicznie pomyślałem, że powinniśmy spotkać się z jakąś starszą osobą, która by jeszcze pamiętała ten odległy okres życia. Zbliżając się znowu do rynku, wysiedliśmy z samochodu i ja pytałem mieszkańców, gdzie możemy spotkać „leciwą osobę”? W furtce jednego z domostw pojawił się nie wysoki, siwy, ale jeszcze „krzepki” staruszek i my z Ojcem natychmiast zbliżyliśmy się do tego matuzalema pełni nadziei na wspomnienia z odległego okresu. Ja jemu przedstawiłem ojca, mówiąc, że wprawdzie było to dawno, bo w latach dwudziestych, ale Ojciec jako młody lekarz praktykował tu w Skierbieszowie i mieszkał prawdopodobnie w rynku w tym domu z apteką. Emocje narastały, a Ojciec z niepewnością, ale i ogromną nadzieją w oczach oczekiwał choćby jakiegoś znaku od tego człowieka. Ojciec był bardzo kulturalnym człowiekiem czasem aż do przesady, choć chwilami był porywczy. Nasz matuzalem upewnił się pytając powtórnie bardzo grzecznie „*a jak godność tego pana?*”, więc ja powtórzyłem, „*że to jest właśnie Albin Kapuściński, mój Ojciec i że tu pracował.*” i nagle tamten sobie przypomniał mówiąc „*wiem!*”, ojciec w jednej sekundzie zmienił wygląd na najbardziej szczęśliwego człowieka na świecie. A tamten powtórzył: „*wiem!- to był kierownik Orkiestry Straży Pożarnej!!!*”. Myślałem, że ojciec go spoliczkuje, ale tylko skrzywił się i napomknął „*no nie!*”. Pokręciliśmy się jeszcze trochę po rynku i wracaliśmy powrotną drogą do Nałęczowa – tą samą drogą, którą Ojciec przebył 50 lat temu przenosząc się ze Skierbieszowa do Nałęczowa.

Moje korzenie

Urodziłem się w Warszawie 2 lata przed II wojną światową, w Szpitalu przy placu Starynkiewicza, gdzie jako student 5 roku medycyny w 1960r. w ramach stażu (internatu) sam odbierałem porody ucząc się położnictwa. Pochodzę z rodziny lekarskiej o korzeniach Lwowskich. Mój Ojciec Albin pochodził ze skromnej rodziny urzędniczo-wojskowej, urodził się w Kołomyi w 1895 roku, ukończył gimnazjum w Stanisławowie i Wydział Lekarski Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie w 1926r. – jak często podkreślał z wyróżnieniem – „summa cum laude”. Moja Matka Rafaela urodzona w 1909 roku pochodziła ze znanej i nobilitowanej rodziny Lwowskiej Gołąbów, której dziadek Andrzej Gołąb urodzony w 1837 roku (sto lat przed moim przyjściem na świat) był budowniczym miasta



Andrzej Gołąb
Budowniczy Miasta Lwowa

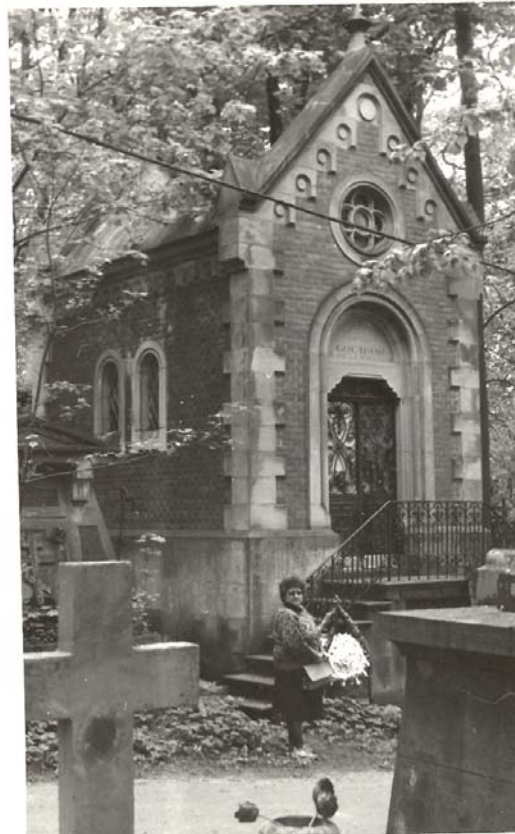


Lekarz medycyny Jan Gołąb z żoną Zofią i dziećmi
Lwów 1911r.

Lwowa (pojęcie architekta czy inżyniera budowlanego wówczas jeszcze nie istniało). Była to dość majątna rodzina, znana we Lwowie (w mieście istniała ulica o tym nazwisku), a pradziadek Andrzej wybudował w tym mieście szereg kamienic i swoim 4 dzieciom (3 synom i córce) podarował po kamienicy. Nasza piękna kamienica istnieje do dzisiaj przy ulicy Łyczakowskiej 57 (w okresie Związku Sowieckiego im. Lenina) a znakiem rozpoznawczym jest istnienie apteki na parterze. O kamienicy tej słyszałem jeszcze jako dziecko, a po upadku komunizmu widziałem ją będąc we Lwowie.



Nasza kamienica we Lwowie
ul. Łyczakowska 57



Kaplica Gołąbów
na Cmentarzu Łyczakowskim



Mieczysław Gołąb



Roman Gołąb

Między Matką (lekarzem stomatologii) i Ojcem istniała spora różnica wieku (14 lat) i dość duże różnice pochodzeniowe. Pamiętam moją babcię ze strony Ojca – Zofię z domu Pawłowską (matkę 2 synów i córki), która nie była kobietą wykształconą i jej edukacja jak sądzę zakończyła się na szkole podstawowej. Babcia ze strony Matki – także Zofia z domu Brühl (również matka dwóch synów i córki) była natomiast bardzo wykształconą kobietą - absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych (Malarstwo) Uniwersytetu w Wiedniu oraz Wyższej Szkoły Muzycznej w klasie fortepianu studiując tam na przełomie wieku za czasów cesarza Franciszka Józefa. Studiowała ona również malarstwo w Paryżu razem ze sławną polską malarką Olgą Boznańską. Podczas mojego dzieciństwa, które spędziłem wraz z bratem o 3 lata starszym Olgierdem w Nałęczowie, malowała ona co jakiś czas obrazy, uczyła mnie i brata gry na pianinie oraz brata francuskiego (dzięki temu zna on i ten język), podczas kiedy ja (mały nicpoń) wołałem uciekać do lasu na laskowe orzechy lub łowienie ryb w rzece Bystra i nigdy nie opanowałem tego języka. Władzała ona płynnie niemieckim i francuskim. Pochodziła ze znanej rodziny Brühlów, myślę, że z którejś z jej licznych gałęzi.

Ojciec był dla mnie zawsze starszym człowiekiem biorąc pod uwagę jego stosunkowo późne ojcostwo. Często wspominał swoje trudne dzieciństwo ze względu na biedę i szereg razy opowiadał nam, że medycynę we Lwowie studiował 10 lat, bo po każdym ukończonym roku następny rok pracował ażeby zarobić na studia. Mówił, że często był głodny i zarabiał m.in. korepetycjami. Opowiadał także, kiedy mógł sobie kupić pierwszy garnitur za zarobione pieniądze. Kiedy uzyskał dyplom Doktora Medycyny (15.05.1926r.) (bo takie dyplomy wydawała wówczas Lwowska Alma Mater), to zamiast przyjąć propozycję znanego profesora i ordynatora Kliniki Chorób Wewnętrznych (prof. K.), ażeby pod jego kierownictwem rozpocząć rezydenturę (specjalizację) w dziedzinie interny, to posłuchał rad życzliwych ludzi i jako młody dobrze wykształcony lekarz pojechał do Skierbieszowa ażeby jak mawiał - wzmocnić się finansowo. Pracował tam 1 rok, miał bardzo dużą praktykę lekarską i rzeczywiście po raz pierwszy w życiu zaczął dobrze zarabiać a nawet poczynił pewne oszczędności finansowe. Ojciec był zawsze bardzo religijnym człowiekiem i wśród pacjentów miał również księży. Za namową jednego z nich – księdza Kostkowskiego, który później został proboszczem w Nałęczowie, zamiast powrócić do Lwowa celem objęcia etatu asystenta i rozpoczęcia rezydentury, przeniósł się do Nałęczowa. Były to lata dwudzieste poprzedniego wieku, kiedy w Nałęczowie nie było jeszcze prądu. Wynajął całą willę „Raj” przy ulicy Lipowej, zakupił aparat rentgenowski firmy „Siemens Coolinan” zasilany w tamtym czasie prądem z generatora spalinowego i prowadził bardzo dużą praktykę lekarską. Ojciec, a potem i Matka spędzili całe życie zawodowe w Nałęczowie, pomimo, że pochodzili ze Lwowa, a

matka ukończyła stomatologię w Warszawie w 1932r. Podobnie ja z bratem, pomimo, że urodziliśmy się w Warszawie, to młodość do ukończenia liceum, spędziliśmy w Nałęczowie.

Lata przed II wojną światową 1928 – 1939.

Ojciec od 1928 roku miał w Nałęczowie bardzo dużą praktykę lekarską ze względu na swoją wiedzę, bardzo duże praktyczne umiejętności zawodowe, ciągle dokształcanie się i wprowadzanie nowych metod diagnostycznych oraz terapeutycznych (radiologia, odmy opłucnowe, elektrokardiografia, diagnostyka hematologiczna z pobranego szpiku kostnego, badania endoskopowe cewki i pęcherza moczowego) i szereg innych. W późniejszych latach własnego życia, jak byłem już docentem i profesorem zawsze zastanawiałem się, skąd można mieć tak rozległą wiedzę medyczną i takie umiejętności jak mój Ojciec? Odpowiedź zawsze przychodziła szybko – był to tytan pracy; praca a zwłaszcza nauka i opanowywanie nowych umiejętności było jego hobby. Pamiętam, jak już w znacznie starszym wieku siedział najczęściej na balkonie i studiował kolejny podręcznik medycyny. Na pytanie: „*Albinku co studiujesz?*” – odpowiadał np. Choroby Wewnętrzne Orłowskiego – Przewód Pokarmowy, innym razem – Choroby Krwi. Ojciec miał chyba bardzo duży emocjonalny związek z nauką, stopniami naukowymi i tytułem profesora, pracą w klinikach itd., bo często nam powtarzał, że mógłby być profesorem i ordynatorem kliniki uniwersyteckiej, ale „obowiązki życiowe” mu na to nie pozwalały. Widać było, że na swój sposób chyba cierpiał z tego powodu, bo miał zawsze unижony stosunek do nauczycieli akademickich – docentów i profesorów. Bardzo go cieszyły akademickie osiągnięcia naukowe brata i moje i często nam powtarzał uczcie się, uczcie się... Ja czasem byłem nietaktowny w stosunku do niego i odpowiadałem, że – „*warto się uczyć, bo wiedzy człowiekowi nikt nie zabierze..., ale i tak wszystko zapomni...*”. Przy dzisiejszym stanie wiedzy medycznej i niezwykle wąskich specjalizacjach, gdzie często do samego postawienia diagnozy nie mówiąc o leczeniu potrzeba kilku lekarzy o różnych specjalnościach, wydaje mi się, że wieloletnia pozytywna ocena ojca przez pacjentów opierała się na możliwości zastosowania przez niego wielu metod diagnostycznych podczas jednego czasem dwóch dni, postawienia diagnozy i szybkiego rozpoczęcia potrzebnego leczenia. Było to równoznaczne z wielodniowym pobytem pacjenta dzisiaj w klinice. Przyjeżdżali do niego pacjenci z dużego obszaru południowo-wschodniej Polski.

Wspominał także o ziemiankach z okolicznych majątków – Antopola, Kębła, Czesławic itd., które widziały w nim dobrą partię do małżeństwa, jednakże jak mówił żadna mu się nie podobała. W owych czasach swatanie, zaręczyny oraz planowanie małżeństwa wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiaj. Załatwiała się to przez Żyda lub umyślnego. Podczas studiów we Lwowie ojciec przyjaźnił się z kolegą, Ukraińcem Jarosławem Hryniewiczem, który skończył prawo i był zawsze silnym nacjonalistą. Otóż wiem, że oni razem chcieli już w latach

dwudziestych doprowadzić do zbliżenia Ukraińców i Polaków we Lwowie. Hryniewicz był również bliskim znajomym rodziny Gołąbów i wiedział, że Matka Ela (Rafaela) kończyła właśnie stomatologię w Warszawie. Właśnie on był swatem dla moich rodziców i po zapoznaniu ich doprowadził do ślubu we Lwowie w 1933r. Posiadamy zdjęcia rodzinne z przyjęcia weselnego, które zorganizowano w dużym mieszkaniu Gołąbów na 1 piętrze w „naszej” kamienicy. Po wielu latach (w 1971r.) spotkałem go osobiście w Nowym Jorku jako powojennego emigranta, od dawna obywatela USA, nadal bardzo silnego nacjonalistę (jego żona była znaną poetką ukraińską w Ameryce), z którym rodzice po 1945r. utrzymywali bardzo rzadki kontakt korespondencyjny, ponieważ było to niebezpieczne ze względów politycznych.



Rafaela Kapuścińska



Albin Kapuściński

Po ślubie rodzice osiedli w Nałęczowie. Początkowo praktykowali oboje w willi „Raj”, a potem kupili działkę z domem przy ulicy Kościuszki 3, (w sąsiedztwie willi Gioja ministra spraw zagranicznych Becka) i tu kontynuowali praktykę lekarską i stomatologiczną. Po narodzinach brata (1934r.) dom nazwali „Domem Olgierda” na cześć jego imienia. Ojciec zawsze lubił się doksztalcać i do 1939r. jeździł często do Warszawy, szczególnie do Zakładu

Radiologii Szpitala Ujazdowskiego kierowanego przez Prof. W. Zawadowskiego (nestora i twórcę radiologii polskiej) oraz Zakładu Radiologii Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej kierowanego przez Dr M. Werkenthin (zginęła w Oświęcimiu) celem pogłębiania umiejętności w dziedzinie radiologii. Rodzice często jeździli także towarzysko do Warszawy do teatru lub opery. W końcu kupili (2 pokojowe) mieszkanie przy ulicy Chłodnej, które mój brat pamięta (było w pobliżu przedwojennego kina „Kometa”), ale niestety wskutek bombardowania w 1939 roku zostało zburzone. W 1937 roku urodziłem się ja, podobno odbierała mnie wówczas dobrze zapowiadająca się lekarka Małgorzata Serini-Bulska, potem profesor i żona znanego profesora ginekologii i położnictwa Tadeusza Bulskiego, którego wykładów słuchałem jako student w 1960 roku. Rodzice poza pracą zawodową dość często kąpali się w rzece Bystrej przy wodospadzie koło młyna Krawców, jeździli do Kazimierza kąpać się w Wiśle (woda wówczas była czysta), lub pływali na łodziach wzdłuż Wisły w kierunku Janowca lub Puław. Szereg zdjęć rodzinnych dokumentuje ten okres. Poza tym odwiedzali oni okoliczne majątki, gdzie zawsze byli mile widziani.



Dom Olgierda przed 1939r.



Albin, babcia Zofia, Ela
i jej brat Mieczysław Gołąb

Ojciec lubił ogrodnictwo, dlatego zaplanował i doglądał sadzenie drzew ozdobnych oraz owocowych w naszym ogrodzie. Rodzice dzięki ciężkiej pracy zgromadzili pieniądze i kupili chyba w 1935r. drugą część ogrodu od państwa Muchlińskich właścicieli całego terenu ograniczonego aleją Lipową, ulicą Prusa i częścią ulicy Kościuszki. Ponieważ Dom Olgierda stawał się za mały w związku z podwójnym przeznaczeniem (2 gabinety lekarskie i pomieszczenia mieszkalne dla 5-6 osób), dlatego rodzice zaplanowali budowę nowego tzw. „Dużego Domu” - w sąsiedztwie – na nowo zakupionym terenie. Miał to być dom mieszkalny dla rodziny lekarskiej. Projekt tego domu przygotowali architekci warszawscy jako nowoczesnego domu z 4 tarasami, 2 balkonami itd. o powierzchni około 250m². Budowę

domu rozpoczęto na 2-3 lata przed wybuchem II wojny światowej, a ja jako 2 letnie dziecko pamiętam „przebłyśki” z tamtego okresu, a szczególnie przyjęcie w ogrodzie na zakończenie budowy stanu surowego. Brat poinformował mnie, że „podkradałem” różne smakołyki z potraw – a to grzybka ze szczytu sałatki, albo jakieś garniowane jajko na szczycie potrawy i uciekałem w krzaki żeby szybko je spożyć; podobno mama była bardzo niezadowolona, ponieważ psułem jej wystrój stołu.



Olgierd siedzi Andrzej stoi



Duży dom

Z budową tego domu wiąże się jeszcze jeden problem, niestety aktualny do dzisiaj. Przed „dużym domem” znajduje się prostokąt ziemi, na którym mógłby być piękny klomb z dojazdem do tego domu w postaci drogi wokół klombu – tak jak to jest w rezydencjach na całym świecie. Właściciel tego terenu oraz sąsiadującego pięknego lasu - pan T. Sułkowski – wieloletni nauczyciel języka rosyjskiego w szkole podstawowej oraz w gimnazjum w Nałęczowie kategorycznie sprzeciwiał się sprzedaży tego kawałka ziemi rodzicom – jeszcze kilka lat przed wojną. Wśród uczniów znany on był jako „Korek”- po rosyjsku „Probka”, ponieważ bardzo często na lekcjach powtarzał, że jak był nad morzem Czarnym „to pływał jak korek”. Podczas PRL (Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej) władze państwowe przymusowo wykupiły od niego większość posiadanej ziemi – za bezcen (3 ówczesne złote za 1 m kwadratowy) i dzisiaj w „jego” lesie stoi sanatorium Fortunat, a na działce, którą chcieli kupić rodzice jest wybudowany Posterunek Policji. W rodzinie panował pogląd, że profesora „Pan Bóg pokarał” za upór, ponieważ w końcu opuścił ten świat mieszkając w mieszkaniu w bloku a nie w swoim domu z ogrodem. Nas też spotkała krzywda – wykupiono przymusowo

1007m² z naszego ogrodu, ale jak upadł komunizm to z bratem po dużych trudach odkupiliśmy ten teren ale już za znacznie wyższą cenę.

Proszę pamiętać, że rodzice do tego okresu przeżyli już I wojnę światową i „obronę Lwowa”, w której zginął 18-letni brat mojej Matki – Roman, o którym w rodzinie krążyły legendy, wojnę z bolszewikami w 1920r., a tu przy stosunkowo udanym i być może nawet sielskim bieżącym życiu rodzinnym nadchodził kataklizm w postaci II wojny światowej.

Wybuch II wojny światowej.

Ludzie zastanawiają się często od kiedy małe dziecko zaczyna pamiętać. W dniu wybuchu II wojny światowej miałem dokładnie 2 lata i 83 dni, i pamiętam wybuch tej wojny! Szereg osób mówiło, że to niemożliwe, a jednak możliwe i prawdziwe! - przy czym ja wcale nie należę do tzw. „niezwykłych osób”. Pamiętam, że razem z Matką i bratem staliśmy w Nałęczowie przy budce ze słodyczami (obecnie jej nie ma), która położona była w połowie ulicy 1 maja (dawna nazwa ul. Pocztowa), przy piekarni Zubrzyckich - dokładnie przy obecnym wjeździe do Supermarketu. Być może pamiętam dlatego, że mama kupiła mi cukrowego banana z marcepanu i ja jedząc usłyszałem krzyki i zobaczyłem popłoch na ulicy, z powodu wybuchu wojny. Matka nas szybko zabrała do domu. Dowodem tego, że nie jest to imaginacja, czy konfabulacja jest fakt, że dokładnie pamiętam przemarsz wojsk niemieckich – w pełnym rynsztunku, z bronią i maskami przeciwgazowymi idących marszowym krokiem aleją Lipową. Niemcy wkroczyli na Lubelszczyznę po około 2 tygodniach od wybuchu wojny.

Okupacja niemiecka

Pamiętam, jak na kilka dni przed wkroczeniem wojsk niemieckich Ojciec pożegnał się z nami i udał się do Lublina celem obrony tego miasta, czy koncentracji polskich wojsk do dalszych działań? Bieżące wiadomości rozchodziły się drogą informacji między ludźmi. Pewne informacje docierały do nas bezpośrednio np. 6 lub 7 września, kiedy duża część pracowników Rządu Polskiego zatrzymała się na noc w Gioji willi ministra Becka w drodze do Rumunii. Ojciec po 2 dniach wrócił z Lublina i rodzice nie wiedzieli, co robić. Zdecydowali, że będą się ewakuować razem z dziećmi na wschód uciekając przed Niemcami. Miał nas zabrać taksówką miejscowy kierowca pan Stanisław Dymel, byliśmy przygotowani do drogi, ale Bóg nad nami czuwał!!! - bo silnik samochodu odmówił posłuszeństwa. Naprawdę Bóg nad nami czuwał, bo uciekając na wschód zostalibyśmy przez Rosjan wywiezieni na Syberię, podobnie jak siostra ojca, z matką, mężem i małym synem Jurkiem zostali zabrani z Łucka. Tak więc zostaliśmy w Nałęczowie i prawdopodobnie to uratowało nam życie.

Nałęczów i najbliższe okolice nie należą do terenów strategicznych z wojskowego punktu widzenia – dworzec kolejowy położony jest 4km od miasta, główna droga Lublin-Warszawa położona jest 12km na wschodzie, a na zachodzie jest duże zakole Wisły z mostami dopiero w Puławach i Annopolu. Być może to położenie geograficzne nie skłaniało do dużych walk. Wkroczenie do Nałęczowa wojsk niemieckich nastąpiło bez lokalnych działań wojennych. Nałęczów został w sposób spokojny „zalanym” masą wojsk niemieckich w zielonych mundurach, z pojazdami, bronią itd. – front przetoczył się przez te tereny na ogół bez walk.

Niemieckie władze wojskowe jak również lokalne władze cywilne wydały szereg rozporządzeń dla ludności „Bekanntmachung”. Jeszcze na jesieni 1939r. miejscowe władze cywilne zarządziły m.in. zgromadzenie „nobiletowanych” mieszkańców takich jak księża, lekarze, aptekarze itd. celem przedstawienia ich miejscowemu zarządcy miasta. Pamiętam duże poruszenie w rodzinie po tej ceremonii, bo Ojciec nie podał ręki niemieckiemu oficerowi; matka była w furii mówiąc, że postąpił nieroztropnie ryzykując życie. Był to początkowy okres okupacji i Niemcy na zdobytych terenach jeszcze nie rozstrzeliwali ludzi za takie czyny. Decyzją władz wojskowych zajęto Matki gabinet stomatologiczny umieszczając w nim niemieckiego wojskowego stomatologa Dr Walthera Krügera z Berlina, celem leczenia zębów niemieckim wojskowym. Płynna znajomość języka niemieckiego przez Matkę i babcię Zofię szereg razy uratowała nam życie podczas wojny, a Dr Krüger okazał się

być porządnym Niemcem, bo nie tylko zgodził się na prace Matki w swoim gabinecie, ale jako Wehrmachtowiec (zwykły żołnierz) szereg razy ostrzegwał Matkę i Ojca przed różnymi niebezpiecznymi akcjami i działaniami oddziałów para-frontowych a szczególnie SS.

Mój brat już jako lekarz i specjalista radiologii opublikował po wojnie kilkanaście prac w języku niemieckim w czasopiśmie „Roentgen Fortschritte” i dlatego instytucje naukowe w Republice Federalnej Niemiec uhonorowały go w 1971 roku 3-miesięcznym stypendium naukowym DAAD (Deutsche Akademische Austausch Dienst). Będąc w tym czasie w RFN spotkał się osobiście w Berlinie z leciwym już Dr Waltherem Krügerem.

W sąsiedztwie willę Becka – Gioję przejęły wojskowe władze niemieckie najwyższego szczebla z Lublina. W bardzo szybkim tempie przeprowadzono remont willi, wybudowano zewnętrzny basen kąpielowy tuż przy płocie graniczącym z nami. Ponieważ Dom Olgierda posiadał wówczas balkon od strony zachodniej, więc my często siedzieliśmy na tym balkonie i obserwowaliśmy z 1 piętra kąpiele niemieckich dam i wojskowych. Poza tym w owym czasie (1940r.) mieliśmy 2 duże psy – Misia (owczarka) i Dżeka (wilka). One okresowo gryzły się głośno szczekając. Ponieważ to bardzo nie podobało się Niemcom, więc rodzice oddali Misia na przechowanie państwu Rejmakom (mieszkali oni wówczas na wysokim paterze w budynku obecnych władz miasta). Miś bardzo tęsknił za domem i z opowiadań wiem, że będąc przywiązany łańcuchem, wyskoczył z tarasu i powiesił się. Nasze życie w sąsiedztwie niemieckich władz w Gioji nie trwało długo. Lubelskie władze wojskowe wydzieliły w Nałęczowie najbardziej atrakcyjny teren w środku miasta włącznie z naszym ogrodem, zbudowały szlabany ustawiając wartowników a Polaków wysiedlono. Nas spotkał ten sam los, ale potraktowano nas bardziej ulgowo – jako rodzinie lekarskiej przydzielono nam część budynku Kurii Biskupiej z Lublina – w willi Tolin przy ulicy Lipowej (dzisiaj jest tam dom seniorów). Tak więc dalsze lata wojny i okupacji przeżyliśmy w Tolinie. W międzyczasie z Gioji, naszego ogrodu i otoczenia stworzono rezydencję Gubernatora Distriktu Lubelskiego, początkowo Ernesta Zörnera a potem SS-brigadenführera Odilo Globocnika. Podczas okupacji niemieckiej teren ten był w najwyższym stopniu strzeżony i niedostępny dla Polaków.

Życie w Tolinie 1942-1944

Przeprowadzki z naszego domu przy ulicy Kościuszki do Tolina, położonego przy alei Lipowej - głównej ulicy w Nałęczowie - nie pamiętam, miałem wtedy 5 lat. Pamiętam natomiast dobrze zarówno przeznaczenie poszczególnych pomieszczeń w budynku jak i przeżycia związane z dalszą 2-letnią okupacją niemiecką. Na parterze mieścił się gabinet lekarski Ojca wraz z rentgenem i stomatologiczny Matki. Na piętrze w prawym skrzydle były nasze pokoje mieszkalne oraz duży taras z tyłu budynku a w lewym skrzydle mieszkała rodzina Klaczyńskich. W pewnym okresie na parterze mieściła się także apteka. Budynek był podpiwniczony i posiadał duży strych. Był otoczony ogrodem ze stylowym płotem od ulicy i okrągłym klombem przed budynkiem, natomiast z tyłu ogród - w dużej części warzywny - znacznie obniżał się aż do rzeki Bochatniczanki. W tamtym czasie za rzeką doskonale widoczna góra Poniatowskiego popularnie zwana Poniatówką nie była zarośnięta drzewami.

Ojciec, mający już przed wojną rozległą praktykę lekarską zaprosił do współpracy Dr Janinę Paczosową, pediatrę oraz Dr Wacława Szczepińskiego i stworzył coś w rodzaju spółdzielni lekarskiej. Nieocenioną rolę w tej pracy w Tolinie i podczas wielu lat współpracy z ojcem odgrywał Kazimierz Rogowski, pełniący role laboranta medycznego (wywoływał zdjęcia Rtg i rolki EKG - z zapisem fotograficznym, wykonywał szereg badań diagnostycznych i laboratoryjnych), pielęgniarza, kasjera, a nawet pomocnika w pewnych pracach domowych (palenie w piecach). Wieloletnia współpraca Kazimierza Rogowskiego z ojcem, powodowała, że traktowaliśmy go jak członka rodziny.

W pobliżu budynku stał mały parterowy dom z garażami oraz mieszkaniem dozorczy. Ten mały dom był bardzo ważny, ponieważ podczas okresowych pacyfikacji przeprowadzanych przez oddziały SS, Ojciec z dozorcą panem Wachem skutecznie chowali się na jego strychu. Pamiętam jak Matka pouczała nas - małe dzieci - o konieczności zachowania pełnej tajemnicy o skrytce nad garażami, tłumacząc, że ujawnienie tego miejsca grozi zastrzeleniem ojca. Z synem dozorczy Heniem często bawiliśmy się na terenie ogrodu. W ogrodzie spędzaliśmy większość czasu, zwłaszcza przy płocie od ulicy, ponieważ była to główna droga z Lublina do Kazimierza i Puław, a ponadto w pobliżu, prawie naprzeciwko w willi Aniela był wtedy posterunek policji z pomieszczeniem więziennym, w którym działy się różne dla nas wówczas niezrozumiałe zdarzenia. Był to okres rozbudowy obozów zagłady w Treblince, Sobiborze, Bełżcu i na Majdanku pod Lublinem oraz nasilających się represji przeciwko Żydom, Cyganom i Polakom. Ponadto następca Ernesta Zörnera, gubernator Odilo Globocnik

realizował plan germanizacji Zamojszczyzny i Akcję Reinhard - usunięcie Żydów z Generalnej Guberni. Regionalnymi miejscami koncentracji i zagłady Żydów były także Bełżyce i Poniatowa. Pamiętam duże grupy Żydów prowadzonych w kierunku Lublina jak również grupy Cyganów na terenie ogrodu posterunku policji.

Ojciec prowadził praktykę lekarską a Matka stomatologiczną pomagając ludziom schorowanym podczas wojny. My będąc w wieku przedszkolnym bawiliśmy się z rówieśnikami najczęściej w wojnę. Na terenie Nałęczowa i okolic pojawiły się 2 dziecięce ugrupowania „wojskowe” – jedno pod dowództwem mojego brata Olgierda, obejmujące młodzież z okolic Tolina, Bochofnicy, Gaju i innych wiosek, i drugie pod dowództwem Maćka, Wiesława i Leszka Malickich obejmujące młodzież z śródmieścia Nałęczowa i okolic. Dowódcy przeciwnej nam „armii” byli starsi od nas i znacznie lepiej „uzbrojeni”, ponieważ mieli umiejętności stolarskie. Dlatego posiadali wspaniale wykonane z drzewa karabiny w tym i maszynowe, granaty itd. Pomiędzy tymi dwoma grupami toczyły się „regularne wojny” głównie o zdobycie Poniatówki. Wyglądało to w taki sposób, że jedna „armia” obsadzała górę Poniatowskiego, a druga ją zdobywała. Były to niebezpieczne zabawy, ponieważ w powietrzu fruwały kamienie a nawet butelki z karbidem. Warto podkreślić, że zawziętość walk i „lokalny patriotyzm” były tak duże, że z czasem do obu grup dołączała już znacznie starsza młodzież a nawet dorośli. Pamiętam jak kiedyś do Ojca prowadzono jednego z walczących – rannego i mocno krwawiącego po trafieniu kamieniem w głowę. Te „wojny” powtarzały się i angażowały dużo młodzieży, że nawet Niemcy czasem je obserwowali. Przy alei Lipowej rosną bardzo stare lipy o dużej średnicy pnia. Kiedyś wybraliśmy się w liczbie kilku chłopców „z pełnym uzbrojeniem” do starej apteki, a „wojska rodziny Malickich” zastosowały specjalny „manewr wojenny” – kilkunastu chłopców ukryło się za lipą stojąc jeden za drugim, że nie było ich widać. W wyniku lokalnej walki, który był do przewidzenia zostaliśmy okrążeni, rozbrojeni i przegonieni do domów.



Babcia Zofia, wujek Mietek i my, 1943r.

Podczas pobytu w Tolinie byłem w wieku przedszkolnym, jednakże uczyłem się na tzw. „Kompletach”, o czym wspominam opisując swoją edukację. Z powodu trudnych warunków hodowaliśmy króliki, zarówno dla mięsa jak i dla skórek, celem uszycia ocieplonych kurtek zimowych. Króliki hodowaliśmy w piwnicach domu przynosząc im świeżo zerwaną trawę, ale okresowo wynosiliśmy je także na trawę klombu w ogrodzie.

Wśród zdarzeń podczas okupacji wymienię te, które utkwiły mi w pamięci: rozkaz o oddawaniu nart, metali kolorowych i drutu kolczastego; egzekucję 13 osób w 1942 r. - których ciała widzieliśmy na cmentarzu przed pogrzebem - za zabicie przez partyzantów 2 żołnierzy niemieckich; zastrzelenie pani G. przez partyzantów, ponieważ twierdzono, że była ona konfidentką Gestapo; apel o zabieranie dzieci z pociągu na stacji Nałęczów podczas germanizacji Zamojszczyzny; zbudowanie obozu dla jeńców rosyjskich w Antopolu; okresowe pacyfikacje Nałęczowa i okolicznych wsi przez wojska niemieckie przyjeżdżające z Lublina. Po jednej z takich dużych pacyfikacji babcia Zofia pomagała ludziom pisać po niemiecku podania do władz obozu na Majdanku o zwolnienia zatrzymanych i część tych osób zwolniono.

Do dzisiaj zastanawia mnie jaki charakter miał obóz jeńców rosyjskich w Antopolu - czy byli to kandydaci do niemieckiej armii Andrieja Własowa (ROA – Russkaja Oswoboditielnaja Armija) zwani potocznie własowcami, czy kandydaci do niemieckiej brygady RONA (Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija) walczącej pod dowództwem Jurija Frołowa przeciwko powstańcom w Powstaniu Warszawskim. Zastanawia mnie to dlatego, że jeńcy rosyjscy byli przez Niemców traktowani tragicznie i często umierali z głodu, a ci jeńcy z obozu w Annopolu byli przyprowadzani pod strażą do matki gabinetu stomatologicznego celem leczenia zębów.

Po 17 września 1939r. Rosjanie okupowali prawie przez 2 lata wschodnie ziemie polskie włącznie ze Lwowem. Jednakże poczta działała normalnie, ponieważ babcia i Matka otrzymywały listy i kartki ze Lwowa z informacjami o ich kamienicy i mieszkaniu przy ulicy Łyczakowskiej. Wiedziałem o tym doskonale, ponieważ zbierałem znaczki także rosyjskie. Jednakże po 22.06.1941r. po rozpoczęciu wojny Niemców z ZSRS, nastąpiła przerwa w korespondencji ze Lwowem i babcia oraz Mama niepokoiły się o stan mieszkania we Lwowie. Przebywając już w Tolinie Mama zdecydowała, że pojedzie do Lwowa z bratem Mieczysławem na rekonesans.

Wybrali się na kilka dni do Lwowa, bo wtedy było to możliwe, a znajomość niemieckiego ułatwiała im podróżowanie. Zastali mieszkanie kompletnie obrabowane z rzeczy i wyposażenia i obcych lokatorów w kamienicy. Nie powinno to dziwić, bo minęły 3

lata bez właściciela na miejscu podczas okupacji sowieckiej i trwającej właśnie okupacji niemieckiej. Okazało się, że wszystkie rzeczy z mieszkania sprzedał dozorca kamienicy, który był Ukraińcem. Po powrocie Matka z wujkiem opowiadali o trudnościach podróży i pobytu we Lwowie (był to przecież nadal okres wojny) do tego stopnia, że będąc głodni udawali Niemców i zjedli obiad w restauracji „Nur für Deutsche”. Ich przyjazd dobrze zapamiętałem, bo przywieźli nam kilka zabawek.

Pamiętam też dwa inne wydarzenia, które mocno utkwiły w mojej dziecięcej pamięci.

Pierwsze wydarzenie miało miejsce w początkach 1943r., kiedy w rodzinie powstał popłoch i ogólne zastraszenie, bo rozeszły się wiadomości, że Ukraińcy rzną Polaków. Ja jeszcze nie bardzo rozumiałem o co chodzi, ale byłem naprawdę bardzo przerażony, podobnie jak cała nasza rodzina. Była to reakcja na informacje, które dotarły na Lubelszczyznę o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów na Polakach na Wołyniu w 1943 i 1944r.

Drugie wydarzenie to choroba Ojca, który w 1943r. zaraził się od pacjenta i zachorował na tyfus plamisty. Choroba miała bardzo ciężki przebieg i niewiele brakowało do jego śmierci. Pamiętam karetkę pogotowia, która miała go zabrać do szpitala w Lublinie, ale Ojciec się nie zgodził i wolał umrzeć w domu. W krytycznym okresie choroby matka nas nie dopuszczała do Ojca, który miał wysoką gorączkę i chwilami tracił przytomność. Kolejny raz Pan Bóg go oszczędził, ale przechodził on bardzo powolną rekonwalescencję, a po chorobie pozostała mu duża niewydolność serca i do końca życia najczęściej używał laski.

W naszym domu przy ulicy Kościuszki stacjonowały wojska niemieckie, a w tzw. „dużym domu”, który był wtedy jeszcze w stanie surowym zorganizowano wojskowy skład „rzeczy frontowych” – były to podkówki do wojskowych butów, kufle do piwa i trochę wojskowych mebli biurowych. Dom był zbudowany z czerwonej cegły, nie był otynkowany i mógł być łatwym celem dla samolotów, dlatego Niemcy go pomalowali szarym płynnym cementem i taka elewacja domu pozostała do dzisiaj.

Końcowy okres okupacji niemieckiej

Na przełomie lat 1943/44 mieszkaliśmy nadal w Tolinie jednakże sytuacja Niemców na froncie wschodnim uległa znacznej zmianie i po klęsce armii Paulusa pod Stalingradem, wojska niemieckie ciągle cofały się i zbliżały do linii Bugu. Niemcy nie byli już tak butni, nasiliły się działania partyzantów a w nocy obowiązywał nakaz zasłaniania okien. Posiadanie radia było niedozwolone, a prawdziwe wiadomości rozchodziły się drogą kontaktów osobistych, ponieważ prasa niemiecka rozpowszechniała głównie kłamstwa i propagandę. Jednakże 15.04 i 13.06.1943r. w Kurierze Polskim tzw. „szmatławcu” ukazały się pierwsze informacje o zbrodni w Katyniu, udokumentowane szeregiem zdjęć z udziałem międzynarodowej komisji, stwierdzające, że zbrodni tej dokonali Rosjanie. Wobec masowych egzekucji, istnienia obozów koncentracyjnych i innych niemieckich zbrodni w okupowanych krajach, Polacy początkowo nie wierzyli Niemcom. Minęło wiele lat do potwierdzenia, że była to zbrodnia rosyjska.



Alfons brat Albina z rodziną

W naszej rodzinie początkowo panowało przekonanie, że rodzony brat Ojca Alfons zginął w Katyniu. Dopiero po wielu latach okazało się, że jako kapitan wojska polskiego, uczestniczący w 1939r. w obronie Lwowa został przez Rosjan wzięty do niewoli. Poprosił Rosjan o możliwość pożegnania się z rodziną i dał oficerskie słowo honoru, że wróci. Wrócił, przebywał w obozie w Starobielsku, został zastrzelony w Charkowie i jest tam pochowany na cmentarzu. Jego rodzina została wywieziona do Kazachstanu, ale oprócz teściowej, która tam zmarła, żona z 2 córkami przeżyła i po 1945r. wrócili oni do Polski.

Większość Polaków nie wiedziała wówczas o masowych zbrodniach rosyjskich, dlatego sowiecka armia zbliżająca się do linii Bugu oczekiwana była jako wyzwolicielka naszego kraju. Pierwszymi dowodami zbliżania się wojsk sowieckich były nocne bombardowania Lublina (11.05.1944r.) i mostu na Wiśle w Puławach. Bombardowania te robiły na nas niesamowite wrażenie, ponieważ wolno opadające flary jasno oświetlały teren i w nocy było widno jak w dzień a okresowo słychać było wybuchy zrzuconych bomb.

Podczas wiosny 1944r. Niemcy zbudowali w Nałęczowie szereg bunkrów na strategicznych skrzyżowaniach dróg, a w początkach lipca w mieście pojawiła się duża liczba oddziałów frontowych. Do nas do Tolina przyszli żołnierze i rozkazali opuścić pokoje i przenieść się do piwnic. Byli w pełnym uzbrojeniu, z granatami za pasem i bardzo agresywni. Grozili, że jak do jutra nie wykonamy rozkazu, to wrzucą granaty do naszych pomieszczeń. Naturalnie rozkaz wykonaliśmy i w nocy spaliliśmy w piwnicach. Wszystko to wskazywało, że miasto będzie bronione, a pomieszczenia mieszkalne rezerwują oni na jakieś wojskowe cele.

W międzyczasie aleja Lipowa zapełniła się licznymi frontowymi jednostkami wojskowymi wycofującymi się z Lublina w kierunku Kazimierza i Puław. Było to już inne wojsko w porównaniu z oddziałami maszerującymi jak na defiladzie także aleją Lipową we wrześniu 1939r. Żołnierze szli piechotą, jechali różnymi pojazdami, a także na koniach, niektóre pojazdy ciągnęły armaty, ale widać było w odwrocie zmęczenie, pośpiech, nerwowość i ogólny bałagan.

My jako dzieci staliśmy przy płocie i w bramie a nawet wychodziliśmy na ulicę obserwując pilnie wszystko co się działo. Muszę wspomnieć o przykrym i niebezpiecznym incydencie. Olgierd stał przed bramą i nieopatrznie cicho sobie pogwizdywał. Starszy rangą oficer niemiecki schwycił go i zagroził, że go zastrzeli, ponieważ gwizdże, śmieje się i kpi sobie z armii niemieckiej. Matka wybiegła z domu i błagała oficera, żeby nie robił krzywdy głupiemu dziecku, które jest jeszcze małe i na pewno nie kpiło z armii niemieckiej. Ponieważ mówiła płynnie po niemiecku i wymieniła nazwisko kogoś z lokalnych władz, to oficer puścił

Olgierda, który szybko wrócił z matką do domu. Znajomość języka niemieckiego kolejny raz zapobiegła nieszczęściu w rodzinie.

Armia sowiecka szybko podążała na zachód – 22.07.1944r. zdobyli Chełm, a 24.07 Lublin, którego odległość od Nałęczowa wynosi tylko 24km.

Potok niemieckiego wojska w alei Lipowej zmniejszał się, pod koniec pojazdy jechały już szybciej a piechota maszerowała w niezorganizowanych grupach. Dzień był słoneczny i ciepły i nagle po opuszczeniu Nałęczowa przez ostatnie jednostki niemieckie, z pokrzykiwaniem rozkazów i głośną pracą silników pojazdów nastąpiła cisza, autentyczna cisza, która utkwiała mi w pamięci przez szereg lat.

Z głębi ogrodów powychodzili partyzanci w wojskowych polskich mundurach i obsadzili strategiczne bunkry. Posiadali biało-czerwone opaski głównie z napisami AK (Armia Krajowa) i BCh (Bataliony Chłopskie). W mniejszej ilości pojawili się także partyzanci z opaskami AL (Armia Ludowa). Nad bunkrem naprzeciwko budynku „Ludowiec” widoczny był także duży polski sztandar.

Wkroczenie wojsk sowieckich i polskich do Nałęczowa

Po opuszczeniu Nałęczowa przez wojska niemieckie w ten słoneczny piękny dzień 24 lipca 1944r., a był to poniedziałek, przez kilka godzin panowała absolutna cisza i nie było żadnego ruchu w alei Lipowej. Nagle z kierunku Bochofnicy od strony Lublina dał się słyszeć nie znany nam jakiś dziwny szum, który powoli narastał i zamienił się w głośny odgłos pracujących silników spalinowych i z chrzęstem gąsienic nadjechały dwa sowieckie czołgi T-34 zatrzymując się na wysokości Tolina. Była to tzw. rosyjska szpica. Ludzie z okolicznych domów zaczęli gromadzić się na ulicy i w pewnej chwili otworzył się właz wieżyczki pierwszego czołgu i ukazał się członek załogi w charakterystycznej czołgowej czapce pytając „*gdzie Niemcy?*”. Sąsiad z pobliskiej willi Czarnej Chaty Stacho Wójcik wskoczył na ten czołg i wskazał drogę na Kazimierz i Puław. Czołgi ruszyły w kierunku Puław i zniknęły skręcając w prawo w ulicę Poczтовую (dziś 1 maja). Po jakimś czasie pojawili się pierwsi żołnierze sowieckiej piechoty, a potem już kawalkada pojazdów, niektóre ciągnęły działa, okresowo jechały kolumny czołgów i mniejsze pojazdy pancerne – tankietki oraz samochody z żołnierzami i wszelkim sprzętem wojskowym.

W Nałęczowie krążyła informacja, że podobno te 2 pierwsze czołgi sowieckie podjechały do brzegu Wisły w pobliżu Kazimierza czy Puław, a Niemcy z drugiego brzegu wystrzelili pociski przeciwpancerne i je spalili.

Po kilku dniach do Nałęczowa wkroczyli także polscy żołnierze tzw. berlingowcy. Nałęczów został wypełniony żołnierzami sowieckimi i polskimi, którzy rozlokowali się w większości ogrodów rozstawiając namioty, parkując pojazdy z wyposażeniem wojskowym, amunicją, prowiantem i sprzętem do gotowania posiłków.

Ku naszej radości dużo żołnierzy rozlokowało się także w ogrodzie willi Tolin. My jako dzieci towarzyszyliśmy żołnierzom z różnych ugrupowań wojskowych. Z żołnierzami sowieckimi ze względów językowych mieliśmy utrudniony kontakt, natomiast praktycznie nie odstępowaliśmy żołnierzom polskich. W młodym wieku byliśmy bardzo spostrzegawczy i szybko nauczyliśmy się nazw samochodów, rodzajów uzbrojenia, wojskowych produktów żywnościowych, sposobu gotowania i zwyczajów panujących w wojsku. Zauważyliśmy, że dużo berlingowców słabo mówi po polsku albo ze wschodnim akcentem i że polskie orzełki na furazerkach nie mają korony. Samochody ciężarowe to były głównie amerykańskie Studebaker, a osobowe to Willysy zwane jeepami (łazikami), ale były i sowieckie ciężarówki ZIS-5, z których żartowaliśmy „*że z góry jechać, a pod górę pchać*”. Z produktów żywnościowych to chyba tylko wieprzowa konserwa mięsna tzw. „*swinnaja tuszonka*” była

produkcji rosyjskiej, a inne produkty były amerykańskie. Dopiero w starszym wieku dowiedzieliśmy się, że wyroby amerykańskie związane były z „Lend-Lease Act” (Ustawą o pożyczce i dzierżawie) zawartą pomiędzy rządami USA i ZSRS. Natomiast osobista broń żołnierzy była produkcji rosyjskiej – karabiny Mosina, pistolety maszynowe PPS potocznie zwane „pepeszami”, ręczne karabiny maszynowe RKM Diegtariowa, a z broni krótkiej to głównie pistolety TT popularnie zwane „tetetką” i rewolwery Nagant popularnie zwane „naganami”. Po kilku dniach pobytu wojsk w Nałęczowie rozpoznawaliśmy już bez trudności rodzaje broni, samochodów a nawet niektóre pokarmy. Któregoś dnia żołnierze gotowali sobie pokarm w kociołku zawieszonym na trójnogu ustawionym nad ogniskiem i zostałem nim poczęstowany. Okazało się, że po raz pierwszy w życiu jadłem amerykańską kaszę tapiokę. Otrzymałem także kilka kielbasek z puszki – hot dogów - które mi bardzo smakowały. Byłem też świadkiem umiejętności strzeleckich jednego z sowieckich żołnierzy, który z pistoletu za pierwszym strzałem zabił wiewiórkę siedzącą wysoko na starej sośnie. Byłem bardzo wstrząśnięty jego bezdusnością.

Nasz pobyt w Tolinie zbliżał się ku końcowi i rodzice zastanawiali się nad sposobem transportu wyposażenia gabinetów, rentgena i mebli do własnego domu przy ulicy Kościuszki.

W międzyczasie sytuacja ogólna się szybko zmieniała – polscy partyzanci z opaskami AK i BCh jak gdyby zniknęli, widoczni byli natomiast partyzanci z opaskami AL, ale sporadycznie i w niewielkiej ilości. W willi Aniela była Komendantura Wojskowa, a dowodził nią jakiś major sowiecki. Posterunek milicji (już nie policji) zorganizowano w willi Doktorska. W całym Nałęczowie i okolicznych lasach (Jabluszeko, las Zakładowy) rozpoczęto wycinanie starych sosen dla celów wojskowych. Na każdym dość wysokim pieńku wyciętego drzewa pisano jakieś cyfry. W wyniku tego Nałęczów został ogołocony z pięknych okolicznych lasów. W okolicy młyna rodziny Krawców na łąkach zorganizowano lotnisko polowe i ciągle startowały tam i lądowały wielozadaniowe samoloty dwupłatowe Po-2, popularnie zwane „Kukuruznikami”.

Nowe ośrodki władzy w postaci PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego), PPR (Polska Partia Robotnicza) i początkowo Resort Bezpieczeństwa Publicznego pod kierownictwem Stanisława Radkiewicza a potem WUBP (Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) znajdowały się w Lublinie. Piszę o tym dlatego, że nowa władza spowodowała nowe przykrości naszej rodzinie jak gdyby nie było dosyć przeżyć wojennych. W mieście tym znajdowały się także ośrodki dowództwa wojsk sowieckich i polskich a także NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennich Dieł, czyli Ludowy Komisariat

Spraw Wewnętrznych). Po jakimś czasie pojawił się nowy ośrodek bezpieczeństwa w Puławach w postaci Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, którego głównym zadaniem była walka z przeciwnikami nowego ustroju.

Matka dogadała się z rosyjskim kierowcą samochodu ciężarowego ZIS-5 i wielokrotnymi kursami przewiózł on wszystkie nasze rzeczy włącznie z wyposażeniem gabinetów i aparatem rentgenowskim do naszego domu przy ulicy Kościuszki. Podczas jednego z takich kursów ja pierwszy raz w życiu jechałem w skrzyni samochodu ciężarowego razem z kolejną partią naszych rzeczy.

Powrót do własnego domu

Otoczenie naszego domu przy ulicy Kościuszki wskazywało na niemieckie plany silnej obrony tego terenu prawdopodobnie ze względu na siedzibę gubernatora, generała SS Odilo Globocnika w willi Gioja. Niemcy wybudowali 2 bunkry – jeden przy naszej posesji w pobliżu bramy do dzisiejszego posterunku policji, z głębokim okopem prowadzącym do bocznego wejścia Domu Olgerda i otworem strzelniczym obejmującym ulicy Kościuszki do ulicy Prusa, a drugi bunkier na rogu ulic 1 maja i Kościuszki. W pobliżu pierwszego bunkra stał spalony niemiecki samochód ciężarowy.

W naszym domu były prawdopodobnie wojskowe pomieszczenia biurowe, bo znajdowały się w nim także podobizny Hitlera, a w dużym domu opisany już skład rzeczy wojskowych. Pamiętam jak żołnierze sowieccy znaleźli popiersie Hitlera, postawili je na dworze na podwyższeniu i strzelali do niego z pistoletów.

Po przywiezieniu naszego dobytku z Tolina, rodzice podobnie jak przed wojną zorganizowali naszą sypialnię z Matką na 1 piętrze od strony zachodniej, pokój babci Zofii był także na górze, ale od strony wschodniej, natomiast na parterze w 5 pokojach w budynku i 2 pokojach werandowych mieściła się poczekalnia dla pacjentów, gabinety, pokój do badań rentgenowskich, kuchnia, jadalnia i sypialnia Ojca. W domu nie było instalacji wodnej ani kanalizacji, wodę przynosiło się z pobliskiej studni, a dwuczęściowa ubikacja typu sławojka była w głębi ogrodu. W oficynie obok domu mieszkała nasza kucharka a częściowo opiekunka dzieci Maria Meteńko, Ukrainka, którą przed wojną przywiozła babcia Zofia ze Lwowa i która pracowała u nas szereg lat także podczas wojny, aż do wyjścia za mąż i przeniesienia się na tzw. ziemie odzyskane.

Sąsiednia willa Gioja zmieniła swoje przeznaczenie i od sierpnia 1944r. była siedzibą sowieckich wyższych władz wojskowych 1 Frontu Białoruskiego. Nie mam wiadomości, żeby przebywał w niej także marszałek Konstanty Rokossowski, ale informacje historyczne wskazują, że przez jakiś czas mieścił się tam jego sztab. Przebywali w niej także rosyjscy lekarze wojskowi, bo w naszym ogrodzie tłumaczyli rodzicom szczegóły przebiegu bitwy pod Stalingradem, rysując na papierze rozlokowanie wojsk i tłumacząc znaczenie poszczególnych manewrów wojennych. Podkreślali oni znaczenie siły ognia wojsk raketowych - słynnych sowieckich Katiusz (zdrobnienie popularnego w Rosji żeńskiego imienia Jekatierina – Katarzyna), zwanych przez Niemców organami Stalina. Ja zafascynowany także pilnie słuchałem ich wyjaśnień i w nagrodę dostałem od nich amerykańską czekoladę. Była to chyba pierwsza prawdziwa czekolada, którą jadłem w okresie wojny. W Gioji rzeczywiście

przebywali przedstawiciele sowieckich wyższych władz wojskowych, ponieważ okresowo organizowano tam różne występy artystyczne. Pamiętam, że kiedyś na tarasie południowym oglądałem, pierwszy raz w życiu występy chóru i baletu wojskowego z wspaniałym śpiewem i tańcami. Podobały mi się szczególnie tańce Kozaków, w narodowych strojach wykonujących różne skoki i przewroty a przede wszystkim kozackie przysiady (taneczne przysiady występujące w ukraińskich i rosyjskich tańcach ludowych). Informacje do których dotarłem w dorosłym wieku wskazują, że był to Chór i Zespół Taneczny im. Aleksandrowa pod batutą majora Kobakowa.

Centralna część Nałęczowa była wypełniona wojskiem, w którym pojawiały się także kobiety w mundurach, ale i w cywilu. Obszar obramowany ulicami Lipową, 1 maja, Kościuszki i Prusa był cały zastawiony namiotami i pojazdami. Pogoda była na ogół słoneczna i ciepła, dlatego żołnierze biesiadowali głównie na dworze, a my buszowaliśmy wśród nich organizując różne zabawy. Jedną z nich było rzucanie dyskami zapisanych taśm z aparatów Morsa, które pięknie rozwijały się w powietrzu jak bardzo długie konfetti.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że front zatrzymał się na linii Wisły i wojsko będzie przebywało w Nałęczowie prawie 6 miesięcy. Trwała nadal wojna i oprócz dziecięcych zabaw i różnych ciekawych przeżyć rozpoczęły się przeżycia przykre, trudne a chwilami nawet tragiczne. Rozpoczęły się kradzieże, bandyckie napady a niekiedy i zabójstwa. Wojna bratobójcza przybierała na sile. Po Ojca często w nocy przyjeżdżały furmanki i zabierały go do lasów do rannych partyzantów. Byli to partyzanci z różnych ugrupowań politycznych i Ojciec nigdy nie wiedział, czy żywy wróci do domu.



Albin i Alfons dwaj bracia w mundurach

Pewnego dnia Matka nam zakomunikowała, że nowe władze biorą Ojca do wojska i teraz my, jako mali mężczyźni, musimy jej pomagać w różnych domowych obowiązkach. Pomimo

bardzo złego stanu zdrowia po przebytych tyfusie, Wojskowa Komisja Uzupelnień w Lublinie powołała Ojca do wojska. Nadano mu stopień kapitana i skierowano na stanowisko Ordynatora Oddziału Wewnętrznego Wojskowego Szpitala Polowego w Otwocku. Braki w zaopatrzeniu w wojsku były także duże i nie było munduru w kolorze zielonym, jaki powinien on nosić. Przydzielono Ojcu mundur lotniczy w kolorze stalowym i w tym mundurze chodził on aż do końca służby.

Ojciec pojechał do Otwocka pełnić obowiązki lekarskie w tym frontowym szpitalu już we wrześniu 1944r., kiedy po drugiej stronie Wisły nadal trwało Powstanie Warszawskie. Stosunkowo szybko zorientował się o wrogim nastawieniu nowych władz do Armii Krajowej. Jak dowiedziałem się od mojego kolegi Janusza, Maćka Malickiego, pseudonim „Maciek”, „Szmit”, który był łącznikiem i zwiadowcą w Placówce Nałęczów i w Rejonie 10 Armii Krajowej na terenie Nałęczów, Niezabitów, Puławy i Kazimierz Dolny oraz w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość, że Ojciec informował partyzantów, rannych i chorych z AK o grożących im aresztowaniach i ewentualnej wywózce do Rosji. Dzięki tym informacjom sporo z nich uniknęło tragicznych przeżyć. Włodzimierz Tuora i Stefan Adamczyk po kilkumiesięcznym przeszkoleniu ze stopniami podchorążych, z powodu przynależności do AK trafili do kompanii karnej, która stacjonowała w Otwocku. Zachorowali oni na zapalenie płuc i trafili do szpitala, w którym pracował ojciec. Niezależnie od opieki lekarskiej, ojciec poinformował ich o losach akowców w obozie NKWD w Skrobowie, koło Lubartowa, wywózki do Rosji, aresztowaniach z uwięzieniem na Zamku Lubelskim itd. Po wyzdrowieniu obaj uciekli z wojska i dołączyli do Oddziału AK – WiN, dowodzonego przez majora „Orlika” (Mariana Bernaciaka z Ryk). Po stworzeniu pododdziału na obwód puławski pod dowództwem „Żuka” (Zygmunta Wilczyńskiego), obaj stanowili osobistą ochronę dowódcy. W. Tuora był podchorążym, a S. Adamczyk starszym sierżantem. Obaj niestety zginęli w walce, Adamczyk w jesieni 1946r. a Tuora w lutym 1949r.

Podczas krótkiego urlopu Ojciec przyjechał do Nałęczowa i opowiadał jak kolejny raz uniknął śmierci. Był on bardzo wierzącym człowiekiem i kiedyś podczas przerwy w pracy wyszedł ze szpitala pospacerować w pobliskim parku.

Słyszał z za Wisły odgłosy walk powstańczych, ale jakaś wewnętrzna siła nakazywała mu, żeby oddalił się od miejsca pracy. Kiedy był już dość daleko, nagle usłyszał za sobą potworny wybuch. Odwrócił się i zobaczył, że część budynku wraz z jego oddziałem została zniszczona przez pocisk artyleryjski. Okazało się, że był to ogromnego kalibru pocisk wystrzelony przez Niemców z za Wisły z moździerza Karl Gerät 40 zwanego Ziu lub działa kolejowego Dora.

Zachowanie życia przez Ojca było dowodem łaski Pana Boga, której doświadczył kolejny raz w stosunku do swojej osoby.

W naszym domu w Nałęczowie w tym czasie życie organizowane było wyłącznie przez kobiety, bo w domu przebywały tylko Matka, babcia Zofia i Marysia. Front nadal stał, Ojciec przebywał w Otwocku i warunki życia były ciężkie, po prostu nie było z czego żyć. Nadal trwała wojna i Matka doszła do wniosku, że powinniśmy nauczyć się jakiegoś zawodu. Posłała mnie do fotografa Feliksa Soczko, gdzie uczyłem się podstaw techniki fotograficznej. Olgierd natomiast chodził do apteki mgr Józefa Koniecznego, gdzie uczył się przygotowania leków i innych czynności aptekarskich. Następnie obaj chodziliśmy do pracowni artysty rzeźbiarza Jana Żylskiego uczyć się rzeźby w drzewie oraz wykonywania różnych przedmiotów z dykty. Ponadto pomagaliśmy Mamie w utrzymywaniu ogrodu, podcinając w jesieni jaśminy, grabiąc liście itd.

Nowa władza nie dawała spokoju naszej rodzinie - z Lublina przyszedł rozkaz zarekwirowania Ojca aparatu rentgena. Matka pojechała do Lublina do samego Stanisława Radkiewicza szefa Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN ze skargą, że kapitanowi Wojska Polskiego, który jest na froncie zabiera się aparat rtg, który jest ekonomiczną podstawą życia całej rodziny. Poskutkowało i rozkaz cofnięto.

W międzyczasie skutki pobytu wojsk sowieckich w Nałęczowie dały się znowu odczuć. Z oficyny z kosza skradziono różne rzeczy, a następnie kilku sowieckich żołnierzy zorientowało się, że w domu są same kobiety, podjechali samochodem ciężarowym ZIS-5 i zaczęli dobijać się, wybijając szyby. Matka w jakiś sposób powiadomiła NKWD, a żołnierze ci dowiedziawszy się o tym szybko wskoczyli do samochodu, który ruszył z przed bramy wzdłuż ulicy Kościuszki. Za chwilę podjechał Willys NKWD z żołnierzami, jeden z nich wyskoczył z samochodu z pepeszą i posłał serię do ciężarówki ZIS-5, która już skręcała w ulicę Prusa. Byłem świadkiem tego wydarzenia i jako dziecko poczułem respekt i strach przed tą formacją wojskową.

Obserwowaliśmy także przelatujące wysoko pojedyncze samoloty i próby ich zestrzelenia. Wieczorem lub wcześniej w nocy słychać było silniki samolotu i widoczne były przeszukujące niebo smugi reflektorów. Często samolot był łapany i prowadzony w skrzyżowanych smugach reflektorów, a szereg dział przeciwlotniczych starało się go zestrzelić. Był to bardzo spektakularny widok, ponieważ w kierunku samolotu podążały świetlne serie pocisków przeciwlotniczych a samolot próbował opuścić smugi reflektorów, co często mu się udawało. Biorąc pod uwagę bliskość Wisły (około 25km w kierunku Kazimierza), niemieckie smugi reflektorów i zgrupowania artylerii przeciwlotniczej (na

zachód od Nałęczowa), porę roku (koniec sierpnia, wrzesień), można przypuszczać, że były to samoloty lecące z Brindisi z pomocą dla Powstania Warszawskiego.

Służba wojskowa ojca

Ojciec przebywał nadal w Otwocku wypełniając swoje obowiązki lekarskie. W międzyczasie 2 października 1944r. zakończyło się Powstanie Warszawskie, powstańcy poddali się i zostali skierowani do niemieckich obozów jenieckich. Ludność cywilna została wysiedlona, a miasto na specjalny rozkaz Hitlera, z zemsty, było metodycznie rabowane, burzone i palone. Armia Czerwona i prokomunistyczne Wojsko Polskie na rozkaz Stalina stały nadal na linii Wisły a próba przeprawy oddziałów Berlinga z Pragi do Warszawy nie powiodła się. Dopiero zimą 17 stycznia 1945r. ofensywa ruszyła, sforsowano Wisłę i Warszawa została zdobyta. W początkach tego roku walki trwały po zachodniej stronie Wisły i front się przesuwał w kierunku Niemiec i Berlina. W końcu stycznia jednostka, w której służył Ojciec doszła do Bydgoszczy i w tym mieście zakończyła się jego służba wojskowa. Został on na stałe zwolniony ze służby wojskowej ze względu na bardzo zły stan zdrowia, orzeczeniem wydanym 22 stycznia 1945r. przez Główną Komisję Lekarską w Warszawie. Po powrocie do Nałęczowa, jako „*zdobycz wojenną*” przywiózł 2 wojskowe lampy naftowe i kilkanaście zeszytów w połowie zapisanych językiem niemieckim. Wśród wspomnień z okresu działań frontowych wyrażał się negatywnie o żołnierzach sowieckich mówiąc, że piją dużo wódki i uwodzą kobiety.

Po powrocie do Nałęczowa, partyzanci zrzeszeni w Placówce Nr 10 pod dowództwem Bogusława Tuory (ps. Warneńczyk, brat Włodzimierza) szybko nawiązali z nim kontakt. Opiekował się chorymi i rannymi partyzantami, a dla sanitariuszek członkiń AK organizował szkolenia. Wśród sanitariuszek były Irena Tuorówna ps. Iśka, Janina Wójcikówna, Emilia Zubrzycka ps. Milka (żona Alberta piekarza), Krystyna Ścibiorówna (później żona Włodzimierza Tuory) i kilka innych.

Utrwalanie nowej władzy

Prześladowania Armii Krajowej rozpoczęły się już na terenach wschodnich przedwojennej Polski. Akcja „Burza” – m.in. witanie Czerwonej Armii przez jednostki AK jako gospodarzy nie powiodła się. Dochodziło do rozbrajania tych jednostek np. rozbrojenie 27 Dywizji Wołyńskiej AK w Kozłówce koło Lubartowa, aresztowanie dowództwa i skierowanie partyzantów na Majdanek, a następnie wcielenie ich do II Armii Wojska Polskiego. Zmuszało także niektóre ugrupowania jak Brygada Wileńska AK do przemieszczania się, często w walce pomiędzy dwoma armiami – sowiecką i niemiecką - na tereny polskie na zachód od rzeki Bug. Na Lubelszczyźnie po ustanowieniu PKWN, Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, umocnieniu PPR (Polskiej Partii Robotniczej), stworzeniu MO (Milicji Obywatelskiej) i KBW (Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego), a na terenach okupowanych przez Niemców, po wzmocnieniu oddziałów Armii Ludowej sytuacja była bardzo trudna, a współdziałanie z NKWD pozwalało na dużą przewagę sił i środków ugrupowań prokomunistycznych nad AK.

Front wschodni przesunął się w kierunku Berlina, a po wylądowaniu 6 czerwca 1944r. (D-Day) w Normandii wojsk amerykańskich, angielskich i jednostek innych krajów powstał front zachodni, który także podążał w kierunku stolicy Niemiec. Armia Krajowa zeszła znowu do podziemia a następnie 19 stycznia 1945r. została formalnie rozwiązana, a na jej miejsce 2 września 1945r. stworzono WiN (Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość). WiN miał mieć charakter pokojowy, ale z powodu prześladowań zszedł także do podziemia i kontynuował walkę z nową władzą.

Na terenach, z których wyparto wojska niemieckie nasiliły się walki bratobójcze a także walki z oddziałami sowieckimi NKWD. Do takiej walki w Nałęczowie doszło 19 maja 1945r., kiedy oddziały AK Szatana (por. Kazimierza Woźniaka) opanowały dworce PKP Sadurki i Nałęczów, a następnie próbowały opanować posterunek milicji w Nałęczowie w willi Aniela. Przybyłe dwoma samochodami z Lublina oddziały NKWD, w walce za Lasem Zakładowym pokonały jednostki AK i zabiły 17 partyzantów.

Pamiętam dobrze to zdarzenie, ponieważ widziałem na cmentarzu przed pogrzebem zwłoki 15 partyzantów a jedną z zabitych była kobieta. Ludzie mówili, że zastrzeliła ona z rkm-u dużo Rosjan i z zemsty zginęła przebita bagnetem. Na grobie na krzyżu umieszczono tablicę o treści „*Żołnierzom Amii Krajowej poległym w obronie niepodległości Polski*”, która także była obiektem walki. W następnych latach w nocy tablica kilkakrotnie ginęła albo była niszczone przez ludzi z Urzędu Bezpieczeństwa lub organizacji prokomunistycznych. Po

kilku dniach zawsze pojawiała się nowa tablica przygotowana przez ludzi z antykomunistycznego podziemia.

Czasy były bardzo niespokojne, bo dochodziło także do napadów rabunkowych. Do naszego domu szereg razy wieczorem bandyci przyprowadzali pod bronią aptekarza mgr J. Koniecznego, który stojąc w drzwiach prosił Matkę o pożyczenie pieniędzy, bo grozili mu śmiercią. Nasza rodzina nie była majątna i najczęściej babcia Zofia, która zawsze była oszczędna przynosiła z 1 piętra trochę drobnych papierowych pieniędzy i to rozładowywało sytuację. Z czasem bandyci ci zostali rozpoznani, schwytani i ukarani przez partyzantów AK-WiN.

W późniejszych latach czterdziestych rodzice pracując zawodowo oszczędzali zarobione pieniądze na dalszą budowę dużego domu. Ojciec rozmawiał z ludźmi na temat możliwości kupienia drzewa na wykonanie stolarki w nowym budynku. O potencjalnie zgromadzonych pieniądzach dowiedziała się inna grupa bandytów. W tym czasie przebywał u nas brat Matki Mieczysław, który cudem przeżył Powstanie Warszawskie. Będąc w rękach Niemców na Woli był tłumaczem grupy Polaków palącej zwłoki, potem przedostał się kanałami ze Starego Miasta do Śródmieścia, a następnie został skierowany do obozu pracy i pod koniec wojny zatrudniony był przy kopaniu okopów w zachodnich częściach Niemiec. Wspominam o nim dlatego, że przyjechał do nas, żeby nabrać sił w „spokojnym Nałęczowie” po przeżyciach wojennych. Bandyci w nocy grożąc bronią sterroryzowali ojca, wujka i zabrali pieniądze oraz szereg rzeczy a wśród nich nasze dziecięce kożuchy. Wujek Mieczysław z własnej woli wręczył im jedyną wartościową rzecz jaką posiadał - zegarek, żeby nie robili nam krzywdy. Po jakimś czasie bandyci ci zostali aresztowani przez organa ścigania i skazani przez sąd na pobyt w więzieniu. Niestety, ani pieniędzy, ani żadnej ze zrabowanych rzeczy nie odzyskaliśmy.

Pomimo zakończenia wojny walki bratobójcze i prześladowania partyzantów AK-WiN trwały nadal szereg lat. Kiedyś siedzieliśmy w ogrodzie rozmawiając z Barbarą Szware i jej siostrą z rodziny Dr S. Polaczka, a obok nas przebiegł szybko mężczyzna i skrył się w ogrodzie sąsiadów. Po chwili pojawiła się tyraliera żołnierzy z bronią w rękach - jak się okazało z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Puławach - którzy biegli za tym mężczyzną przeszukując cały teren. Po jakimś czasie znaleźli go w sławojce, w której ukrył się w ogrodzie sąsiadki Tekli Majdało (Teklusi) i prowadzili pod bronią z rękami do góry. Okazało się, że był to Edek Ciozda ps. „Cichy”, syn dozorczy państwa Rudzkich, który został aresztowany i więziony w Puławach i na Zamku Lubelskim. Przebywając w więzieniach zachorował na gruźlicę i zmarł w 1960r. w wieku 33 lat.

Władze komunistyczne różnymi metodami próbowały zniszczyć podziemie niepodległościowe. Jedną z nich była pierwsza amnestia 2 sierpnia 1945r. powiązana z tzw. ujawnieniem. Chodziło o to, żeby pod płaszczykiem darowania wszelkich przewinień ujawniło się jak najwięcej partyzantów a potem żeby można było ich łatwo aresztować i w ten sposób unieszkodliwić ich walkę z nową władzą. Część akowców nie przeczuwała podstępów i ujawniła się, ale duża część partyzantów pozostała nadal w podziemiu. Pierwsza amnestia i ujawnienie nie spełniły oczekiwanych wyników, dlatego nowe władze znacznie wzmożyły prześladowania.

Wyrazem tego była pacyfikacja i spalenie pobliskiej Wąwolnicy 2 maja 1946r. Jednym z głównych wykonawców tego działania był por. Antoni Stefaniak, funkcjonariusz Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Puławach. Nastąpiły także wzmożone pacyfikacje innych rejonów oraz aresztowania i osadzanie partyzantów w więzieniach. Niepoślednią rolę w tych działaniach odgrywały jednostki NKWD i KBW.

W tych warunkach w czerwcu 1946r. odbyło się referendum Ludowe, którego wyniki całkowicie sfalszowano, w styczniu 1947r. odbyły się pierwsze wybory do Sejmu, które także zostały sfalszowane, a w lutym 1947r. ogłoszono drugą amnestię, ażeby ostatecznie rozprawić się z antykomunistycznym podziemiem.

Pamiętam dzień na wiosnę 1947r. jak por. Antoni Stefaniak z P.U.B.P. w Puławach w mundurze - ten sam który przyczynił się do pacyfikacji i spalenia Wąwolnicy - przemawiał na podwyższeniu przy schodach prowadzących do kościoła. W najbliższym otoczeniu było dużo ludzi, a wśród nich partyzanci AK-WiN, większość w wojskowych mundurach z białoczerwonymi opaskami. Od wkroczenia sowieckiego i polskiego wojska do Nałęczowa minęło już prawie 3 lata, ale tylko wtedy podczas pierwszych dni widziałem tylu partyzantów w mundurach z bronią, jawnie przebywających na ulicy. Potem walczyli w podziemiu i dopiero teraz ponownie zgrupowali się jawnie w pełnym uzbrojeniu i słuchali przemówienia funkcjonariusza UB, który namawiał ich do kolejnego ujawnienia się. Ja jako 10-letni chłopak nie bardzo rozumiałem wtedy treści jego przemówienia, zachwyciałem się natomiast nieznanym m.in. zachodnim uzbrojeniem partyzantów pochodzącym ze zrzutów. Syn A. Stefaniaka w latach 1951/1952 chodził z nami do Gimnazjum i po zrobieniu tzw. małej matury poszedł do Lotniczej Szkoły Oficerskiej w Dęblinie i został lotnikiem. Według późniejszych informacji, które do nas dotarły zginął on podczas lądowania samolotu.

Ustawa o amnestii z 22 lutego 1947r. zmieniała karę śmierci i dożywocie na 15 lat więzienia, wyroki od 5 do 10 lat łagodziła o jedną trzecią, a wyroki do 5 lat anulowała. Wszystkim członkom podziemia, którzy do 25 kwietnia ujawnią się i złożą broń, ustawa

gwarantowała bezkarność. Do końca amnestii tj. do 25 kwietnia 1947r. ogłoszono zawieszenie broni.

Ponieważ dalsza walka wydawała się być beznadziejna, dlatego znakomita większość członków podziemia niepodległościowego skorzystała z amnestii i ujawniła się.

Lata nauki w Szkole Podstawowej 1944 - 1950

Już w wieku przedszkolnym, w roku 1943/44 ja, Marysia Tuorówna, Teresa Zabiegła oraz Stanek Szczepiński, chodziliśmy na prywatne lekcje do pani Marii Chodorowskiej do willi „Pod Kraszewskim”, niedaleko od willi „Tolin”. Uczyliśmy się m.in. czytać, pisać i opanowaliśmy program 1 klasy.

Naukę w siedmioklasowej Szkole Podstawowej w Nałęczowie rozpoczęliśmy od 2 klasy w roku szkolnym 1944/45, jeszcze w czasie wojny, kiedy front stał na Wiśle. Szkoła mieściła się wtedy w willi Janina koło Jabłuszka, w której obecnie mieści się Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego. Bliżej ulicy Prusa były parterowe mury szkoły, której budowa rozpoczęła się jeszcze przed wojną i trwała wiele lat. Dzisiaj w kilkupiętrowym budynku mieści się tam Szkoła Podstawowa oraz Gimnazjum.

Pierwsze lata nauki, a były to lata powojenne, przyniosły nam nie tylko wiedzę, ale i nowe doświadczenia życiowe. Z powodu wojny i okupacji niemieckiej wiek dzieci/młodzieży zwłaszcza pochodzącej z pobliskich wsi, był bardzo zróżnicowany. Wśród dzieci i dorosłych zarówno na wsi jak i w mieście panował powszechnie analfabetyzm, z którym władze próbowały skutecznie walczyć.

Dzieci były biedne a często i chore. Z powodu rozpowszechnienia gruźlicy Ojciec wykonywał im badania rentgenowskie. Matka przez jakiś czas będąc szkolnym stomatologiem leczyła im zęby. Wśród dzieci powszechnie panowała wszawica i pamiętam dr Janinę Paczosową, która podczas specjalnych lekcji higieny sprawdzała włosy, zwłaszcza dziewcząt, poszukując ognisk wszawicy. Mnie również nie udało się ustrzec tej zarazy i kiedyś po przyjściu ze szkoły drapałem się w głowę i babcia z Mamą znalazły wszy i gnidy w moich włosach. Zostałem poddany skutecznej kuracji w postaci nacierania włosów naftą.

Przez przeżycia wojenne, młodzież była tragicznie doświadczona. Jednocześnie panowało ogólne niedożywienie młodzieży i dużą pomocą w walce z nim było dożywianie produktami UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration). Pomoc ta miała charakter charytatywny i pochodziła ze składek 32 państw, w których nie było okupacji. Głównymi darczyńcami były Stany Zjednoczone (70% pomocy) i Wielka Brytania.

Z ZSRS wracały rodziny wywiezione na Sybir lub do Kazachstanu i osiedlane były często na tzw. Ziemiach Odzyskanych m.in. rodzina brata mojego Ojca. Rodzina mojego Ojca w osobach matki i siostry z mężem i synem, która została wywieziona w 1939r. z Łucka do Kazachstanu także wróciła do Polski i jakiś czas przebywała w Nałęczowie. Opowiadali oni swoje straszne przeżycia podczas pobytu w ZSRS. W samym Nałęczowie osiedliło się kilka

rodzin repatriantów m.in. rodzina Żurków, a najmłodszy z trzech braci Zbyszek Żurek zwany „Zupą” pojawił się początkowo w naszej klasie. Robiliśmy postępy w nauce zdając do kolejnych klas, a okresowo braliśmy udział także w krajoznawczych wycieczkach.

Byliśmy w Krakowie i Wieliczce a w 1948r. na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Propagandowa Wystawa Ziem Odzyskanych trwająca 100 dni prezentowała osiągnięcia odbudowy terenów uzyskanych przez Polskę po II wojnie światowej. Jej częścią był 4-dniowy Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, propagandowa impreza sowieckich i polskich komunistów skierowana przeciwko „Amerykańskiemu imperializmowi”. My jako małe dzieci (5 klasa) z niewielkiej miejscowości byliśmy zachwyceni dużym miastem, Halą Ludową, Iglicą, Wieżą z wiader i eksponatami prezentowanymi w 3 sektorach. Ja doskonale pamiętam tą wycieczkę z dwóch powodów - ponieważ kupiłem sobie wiatrówkę ładowaną podobnie jak karabin, z której często strzelałem podczas następnych 3 lat oraz okradzenia mnie pierwszy raz w życiu z pieniędzy przekazanych mi przez rodziców. Po kradzieży szybko się pocieszyłem posiadaną wiatrówką, bo pamiętam, że strzelaliśmy z niej wzdłuż korytarza już w powracającym pociągu.

Po powrocie ze szkoły czas spędzaliśmy głównie na dworze przyjaźniąc się z Jankiem Krajewskim i Bartkiem Plucińskim, chłopcami z sąsiedztwa. Był taki okres w szkole podstawowej, w którym z Jankiem Krajewskim - niezależnie od pory roku (od wiosny do jesieni) - chodziliśmy do lasu piec ziemniaki. Ponadto chodziliśmy łowić ryby w pobliskiej rzeczce Bystrej lub raki używając do tego kancerek. Jako przynęty do łowienia raków używaliśmy często żab, także złowionych na żółte kwiatki. Chłopcy z pobliskiej wsi wchodzili do rzeki i z wprawą wyciągali gołymi rękami raki z ich jam. Ja jednak bałem się ich naśladować. Łowiliśmy także raki z Edkiem Ciozdą, po jego wyjściu z więzienia. Powiedział, że włoży sobie za koszulę kopę (60) raków i nic mu nie zrobią. Ja struchlałem, a za chwilę on wysypał worek żywych raków za koszulę obwiązaną na brzuchu paskiem, które kłębiły się wokół jego ciała a on nie reagował tylko śmiał się.

Babcia Zofia uczyła brata i mnie francuskiego, ale ja wolałem wyprawy z wędką nie na ryby ale do lasu na orzechy laskowe. Był to mój oryginalny sposób pozyskiwania często dorodnych orzechów w grupach ze szczytu drzewa. Po prostu gałązkę z takimi orzechami wkładałem pomiędzy żyłkę i wędzisko i przyginałem ją zrywając orzechy.



Z Rodzicami w Jastarni

Babcia Zofia uczyła nas także grać na pianinie. Olgierd był bardzo pracowity, dużo ćwiczył i pięknie grał utwory Chopina. Ja byłem mniej pracowity, męczyło mnie granie z nut i wolałem grać ze słuchu oraz improwizować. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ten sposób grania przyda mi się w przyszłości w wykonywaniu utworów taneczno-jazzowych.

Z bratem byliśmy na ogół zgodnym rodzeństwem i rzadko kłóciliśmy się i rozrabiali. Jeżeli byliśmy pod opieką babci i wybuchły między nami jakieś sprzeczki i objawy złego zachowania, to miała ona jeden niezawodny sposób na zaprowadzenie spokoju. Opuszczała dom kierując się do studni i oznajmiała, że idzie się utopić. Naturalnie myśmy ją zatrzymywali i ze łzami w oczach błagali, żeby tego nie robiła i w ten sposób znowu pojawiał się spokój.

Znajomość muzyki nie zawsze pomagała mi w życiu co potwierdziło się podczas służby Bogu jako ministrant. Było to w okresie, kiedy msze odprawiane były jeszcze po łacinie a my uczyliśmy się łacińskiego tekstu w specyficzny sposób – zdanie: „*Sed libera nos a malo*” uczyliśmy się jako „Szedł Libera niósł nie mało”. Poza służeniem do mszy „do wina” lub „do mszału” śpiewaliśmy w chórze gregoriańskim. Kiedyś naraziłem się na potępienie, bo z lekcji religii wyszedłem na wagary (rzekomo za potrzebą), a byłem na tyle nieroztropny, że bawiłem się na murach budującej się szkoły nie wiedząc, że ksiądz Kwiatkowski widzi mnie przez okno klasy. Do tego doszło jeszcze drugie przewinienie - na jakimś zebraniu ministrantów w kościele, siadłem do organów i włączając wszystkie registry (pełna głośność sic!) grałem skocznie boogie-woogie. Tego już było za wiele, ksiądz Kwiatkowski pouczył mnie, że nie powinno się uciekać z lekcji religii i robić imprez tanecznych w Domu Bożym. W efekcie zostałem wyrzucony z Ministrantów. Na drugi dzień kościelny, który lubił młodzież powiedział mi „Andrzej, ty się nic nie przejmuj, niedługo wyrzucą i księdza Kwiatkowskiego”. I rzeczywiście po jakimś czasie opuścił on parafię a na jego miejsce

przyszedł młody ksiądz katecheta obecnie Arcybiskup senior Archidiecezji Lubelskiej Prof. Bolesław Pylak, który ponownie przyjął mnie do Służby Bożej.

Po powrocie z wycieczki z Wrocławia dużo czasu spędzałem w ogrodzie z wiatrówką opanowując kunszt strzelecki. Jak już doszedłem do wysokiego poziomu, to wstyd mi się przyznać, ale strzelałem do ptaków. Czasem chwaliłem się Mamie pokazując jej wysoko na drzewie jakiegoś ptaka i po wystrzale najczęściej spadał on martwy. Matka bardzo mnie prosiła, żebym tego nie robił, ale nie bardzo się do tej prośby stosowałem. Dwa zdarzenia sprawiły, że przestałem w ogóle strzelać do celów żywych a jeżeli już to tylko do tarczy.

Pierwsze to fakt, że zraniłem w okolicy skrzydła pięknego kolorowego gila i on nie mógł latać. Zabrałem go do domu i bardzo troskliwie opiekowałem się nim kilka dni robiąc wszystko żeby nie zginął, bo bardzo mi go było żal. Stało się inaczej i po jakimś czasie zastałem gila martwego. Od tego czasu więcej do ptaków nie strzelałem. Strzelałem natomiast do celów martwych w postaci tarcz albo butelek.

Drugie zdarzenie było prawie tragiczne podczas strzelania z Jankiem Krajewskim do butelek. W pobliżu bawiła się jego młodsza siostra i nadbiegła na linię strzału jak ja nacisnąłem spust. W efekcie zamiast w butelkę zraniłem ją w policzek niedaleko od oka. Niewiele brakowało, żebym dziewczynce wybił oko. Zrobiła się niebotyczna awantura i dostałem od Matki straszne lanie. Nie pamiętam czym twardym mnie biła będąc w furii ale bardzo bolało. Było to drugie i ostatnie lanie jakie dostałem od Matki. Pierwszy „łomot” dostaliśmy z bratem jeszcze w Tolinie, za zamknięcie kota w małej nocnej szafce. Kot przeżył, ale mało się nie udusił z braku tlenu i brat wtedy dostał większe lanie, bo jako starszy powinien lepiej wiedzieć, że zwierzęta muszą mieć powietrze do oddychania.

W międzyczasie w dużym domu trwały prace wykończeniowe. Pan Marian Malicki wybitnej klasy specjalista, z okresową pomocą swojego najstarszego syna Maćka wykonał całą stolarkę w tym budynku a więc podłogi, schody, futryny, drzwi, okna i parapety a ponadto szereg szaf w ścianach z drzwiami pokrytymi artystycznie forniem. Na prośbę Ojca zrobił on dla nas także stół ping-pongowy, na którym graliśmy przez wiele następnych lat. Wykonane elementy stolarki były z najlepszych materiałów i tak solidne, że mija już blisko 70 lat a one nadal nie mają żadnych usterek.

Rok 1950 był szczególny i smutny dla naszej rodziny. Ja w wieku 13 lat miałem operację z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego i operował mnie prof. Feliks Skubiszewski w Lublinie. Ojciec był przy mnie podczas operacji, a mama opiekowała się mną w szpitalu po zabiegu. W tamtych czasach stosowano eter jako narkozę i po operacji spałem jeszcze kilka

godzin a potem mocno wymiotowałem. Rekonwalescencja przebiegła pomyślnie i po krótkim czasie powróciłem do szkoły.

Babcia Zofia w młodszym wieku także miała operację brzuszną jeszcze we Lwowie, ale po zabiegu pojawiły się powikłania w postaci zapalenia otrzewnej i powstały zrosty w jamie brzusznej. Powodowały one dolegliwości w postaci odwracalnej niedrożności jelit, na które babcia cierpiała praktycznie całe dorosłe życie. Przyczyną ich były najczęściej błędy dietetyczne, a ponieważ babcia była oszczędna i nic nie mogło się zmarnować to te dolegliwości pojawiały się dość często. Mama wówczas pomagała babci stosując typowe zabiegi fizyczne i dolegliwości jelitowe mijały. Podczas ostatniego ataku, wszelkie metody lecznicze zawiodły i babcia zmarła z powodu niedrożności jelit w stosunkowo młodym wieku.

Dla nas dzieci śmierć babci była czymś szczególnym, ponieważ po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z nieżyjącą osobą z najbliższej rodziny. Przed wyprowadzeniem do kościoła, ciało babci umieszczone w otwartej trumnie przebywało jakiś czas w narożnym pokoju dużego domu. Na pogrzebie byli najbliżsi wraz z przybyłym z Łodzi (bo tam osiedlił się po wojnie) jej synem wujkiem Mieczysławem.

W tym roku skończyłem szkołę podstawową i zostałem przyjęty do Liceum im. S. Żeromskiego, w którym od 3 lat uczył się Olgierd. Zakończono także w dużym domu ostatnie prace w postaci instalacji wodnej i kanalizacji. Przeprowadziliśmy się do niego w dwóch etapach przeznaczając piętro na mieszkanie dla całej rodziny, a na parterze urządzono 3 gabinety – gabinet lekarski Ojca, badań radiologicznych, gabinet stomatologiczny Matki oraz ciemnię, pokój do badań laboratoryjnych i poczekalnię.

Lata nauki w Liceum 1951 – 1954

Podczas niemieckiej okupacji Heinrich Himmler szef SS, Gestapo i policji, w referacie zatytułowanym „Kilka myśli o traktowaniu ludności obcoplemiennej na wschodzie”, już w maju 1940r. uważał, że dla polskich dzieci nie mogą istnieć szkoły wyższego typu niż czteroklasowa szkoła ludowa. Zadaniem takiej szkoły powinno być uczenie tylko prostego liczenia najwyżej do 500, pisania nazwiska i nauka, że boskim przykazaniem jest posłuszeństwo wobec Niemców. Uczenie czytania nie uważał on za konieczne. Hans Frank generalny gubernator okupowanych ziem uważał natomiast, że Generalne Gubernatorstwo (GG) jest rezerwuarem robotników i gigantycznym obozem pracy.

Pomimo tego w GG działały szkoły powszechne, jednakże z bardzo dużym ograniczeniem programu nauczania zwłaszcza w zakresie historii, literatury i geografii oraz dwuletnie szkoły zawodowe, wszystkie z obowiązkowym nauczaniem języka niemieckiego. W Nałęczowie była to Szkoła Spółdzielcza w Wąwozach i Szkoła Handlowa dr Wandy Wierzbickiej w willi Zacisze a później w Ludowcu. Konspiracyjne „komplety” dotyczyły głównie szkolnictwa średniego oraz wyższego i obejmowały tylko wybraną młodzież spośród inteligencji.

Prywatne Gimnazjum Ogólnokształcące a potem i Liceum rozpoczęło naukę już w październiku 1944r. w willi „Pod Matką Boską”. W 1945r. zostało przeniesione do „Centrali” domu państwa Rejmaków, gdzie obecnie znajduje się Urząd Miejski w Nałęczowie. W 1946r. nastąpiło połączenie Gimnazjum Ogólnokształcącego i Gimnazjum Kupieckiego.

W 1948r. szkoła otrzymała uprawnienia do kształcenia na poziomie licealnym i przeprowadzania egzaminu dojrzałości. W 1950r. nastąpiło upaństwowienie szkoły i Liceum otrzymało imię Stefana Żeromskiego.

Będąc jeszcze w szkole podstawowej przyjaźniłem się lub obcowałem z kolegami Olgierda z Liceum - Tadkiem Dymlem, Januszem Traczem, Gienkiem Muratem, Januszem Całkowskim i innymi. Przebywanie w gronie chłopców o 3 lata starszych ode mnie przyspieszało mój rozwój umysłowy, nobilitowało mnie a w kilku dyscyplinach sportowych np. w grze w ping-ponga próbowałem ich nawet przewyższyć.

Okres nauki w szkole średniej był równie piękny jak okres studiów, jednakże mam pewne luki pamięciowe, być może z uwagi na to, że studiowałem na dwóch uczelniach, w dwóch miastach, a po studiach doznałem szeregu dalszych przeżyć w kraju i w wielu miejscach za granicą.

Naukę w Liceum rozpocząłem w roku szkolnym 1950/51 w klasie zwanej VIII ze względu na 11 letni cykl nauki. W naszej stosunkowo małej klasie „a” były 23 osoby (12 chłopców, 11 dziewcząt). Po zakończeniu IX klasy (małej maturze) kilka osób opuściło szkołę przechodząc albo do nauki rzemiosła (Witek Piech – Szkoła Przemysłu Drzewnego) lub do Szkoły Oficerskiej Lotnictwa (Stefaniak). Równoległa klasa VIII „b” liczyła 38 osób (9 chłopców, 29 dziewcząt).

Grono pedagogiczne było na wysokim poziomie i składało się z nauczycieli w większości z cenzurem wyższego wykształcenia. Nazwiska kilku osób utkwiły mi w pamięci ze względu na dużą wiedzę oraz doskonałe umiejętności dydaktyczne – Irena Gutsche polonistka i wychowawczyni naszej klasy, Franciszek Stach matematyka, Włodzimierz Kowalik biologia, Stanisław Kucharski fizyka i inni.

Podczas gdy byłem w VIII klasie, Olgierd chodził do tej samej szkoły do XI – maturalnej klasy. Był to już okres utrwalającego się stalinizmu - po zjednoczeniu PPR z PPS i powstaniu PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) oraz powstaniu ZMP (Związku Młodzieży Polskiej) wzorowanym na sowieckim Komsomole. Obie organizacje powstały w 1948r. W szkole prowadzono indoktrynację komunistyczną w tym prześladowania dzieci „kułaków” (chłopi posiadający 15ha) i walkę z kościołem.

Przykładem pierwszego typu działania był referat na temat różnic klasowych na wsi wygłoszony przez przewodniczącego ZMP szkoły Tadeusza Dadosa w obecności wszystkich uczniów zgromadzonych w sali gimnastycznej. Na zakończenie zebrania podjęto uchwałę o usunięciu z organizacji ZMP J. Głosa jako syna gospodarza mającego kilkanaście hektarów ziemi, co wiązało się z trudnością dostania się na wyższe studia. Z tego powodu Głos rzeczywiście kilka razy nie dostał się na medycynę i w końcu ukończył farmację.

Przykładem drugiego typu walki był skutek wygłoszenia przez Olgierda referatu na lekcji religii (wtedy jeszcze lekcje religii były w szkołach). Olgierd jako wzorowy uczeń dobrze przygotował i wygłaszał referat na temat wiary i traf chciał, że akurat do klasy przyszedł wizytator z Kuratorium w Lublinie. Po tej lekcji było duże poruszenie i wprawdzie Olgierd nie ucierpiał, ale księdza Aleksandra Mischzuka usunięto ze szkoły i skończyły się także lekcje religii.

Pomimo tego chyba wszyscy uczniowie należeli do ZMP i ja też się zapisałem, a nawet zostałem przewodniczącym tej organizacji w X klasie, żeby w przyszłości dostać się na studia.

Oprócz regularnego zdobywania wiedzy braliśmy udział w szeregu rozrywek. W pierwszym roku nauki często graliśmy w ping-ponga. Grając bardzo dobrze rozgrywałem

mecze z kolegami ze starszych klas (np. z Januszem Deptą) i z kolegami z klasy Olgierda. Często wygrywałem, jednakże podczas meczów dochodziło do nieporozumień i głośnych kłótni. Starsi koledzy nie mogąc łatwo wygrać „z gówniarzem” próbowali oszukiwać mnie podczas liczenia punktów na co ja głośno protestowałem. Dozorca szkoły sympatyczny „Uzio” Józef Maciążek zorientowany w przyczynach głośnych kłótni już z daleka krzyczał, że „*Andrzej ma rację*” co łagodziło nieco sytuację.

W sali gimnastycznej odbywały się pokazy filmów, a co jakiś czas wieczorki taneczne. Wieczorki wspominam bardzo miło, bo byliśmy w okresie dojrzewania, poznawaliśmy różne tańce i różne utwory muzyczne do tańca. Szkoła posiadała przeciętny komplet płyt, dlatego płyty z ciekawymi utworami tanecznymi pożyczaliśmy od Wieśka Malickiego. Muzyka zachodnia była „na indeksie” dlatego preferowaliśmy utwory jazzowe a szczególnie boogie-woogie.



Z sympatią Dzidką Kasprzykówną

W tym czasie zakochałem się w Dzidce (Marysi) Kasprzykównie, koleżance z wyższej klasy, z rodziny nauczycielskiej z Łubek. Podczas wieczorków tanecznych chłopcy lubili tańczyć szczególnie z Basią Koziarzówną, ponieważ miała ona duży biust.

W lipcu 1951r. przyjechał z Buska do Nałęczowa Mietek Rokosz, syn Dyrektora Uzdrowiska. Było to dla mnie ważne wydarzenie, ponieważ zostaliśmy kolegami w jednej klasie i przyjaciółmi na całe życie.

Drugim ważnym wydarzeniem, które miało także wpływ na moje życie było kupno przez Ojca w 1952r. motocykla BMW R 61 o pojemności 600cm³, (lata produkcji 1938-1941), z dwucylindrowym silnikiem typu bokser i prawostronnym koszem. Motocykl był wojskowy w świetnym stanie technicznym a piękny i wygodny kosz z nową tapicerką przerobiony na prawą stronę pochodził od przedwojennego polskiego motocykla Sokoła 600. W kupnie motocykla i nauczaniu nas jego obsługi, nieocenioną pomocą służył nam Wiesiek Malicki, z którym do dzisiaj serdecznie się przyjaźnimy.



Olgiert na naszym motocyklu

W 1953r. będąc w X klasie i mając 16 lat zrobiłem prawo jazdy na samochody i motocykle. Od tego czasu dużo jeździliśmy na motocyklu, ciągle coś ulepszaliśmy przy nim lub usuwaliśmy usterki. Najczęściej robiliśmy to razem z Mietkiem Rokoszem i podejrzewam, że miało to wpływ na kierunek jego wykształcenia, ponieważ ukończył on wydział mechaniczny Politechniki Krakowskiej, ze specjalnością budowy samochodów i ciągników. Ojciec kupił motocykl z koszem z przekonaniem, że będzie bezpieczniej, ale w krótkim czasie kosz odkręciliśmy i jeździliśmy często bez „przyczepy”.

Motocykl tej kategorii stał się znany w Nałęczowie i okolicy, ponieważ często jeździliśmy nim z Olgiertem do Kazimierza, Puław i Lublina. Jeździli nim także nasi koledzy, bracia Malicy, Mietek Rokosz, Stanek Szczepiński i inni. Na temat wydarzeń z motocyklem mógłbym napisać osobną książkę, ponieważ jeździłem nim kilkanaście lat bez wypadku w kraju i zagranicą. Dlatego traktuję go z wdzięcznością jak „członka rodziny” i jako zabytek w bardzo dobrym stanie pozostał w rodzinie do dzisiaj.

Kiedyś zdarzyła się zabawna historia, bo Mietek ze Stankiem podjechali pod miejscową restaurację „Gospodę” napić się oranżady lub nawet piwa. Miejscowe kobiety widząc

motocykl z 2 chłopakami pod Gospodą doniosły mojemu Ojcu „*że pana synowie piją wódkę*”. Nie było żadnej reprimendy, a skończyło się tylko na wyjaśnieniu sytuacji.

A propos picia to przypominam sobie kilka prywatek u Stanka, w mieszkaniu Dr W. Szczepińskiego, w domu „Pod Werandkami”. Dr Szczepiński przygotowywał różne wspaniałe owocowe alkoholowe nalewki. Podczas prywatek myśmy podpijali je dolewając wody i po kilku zabawach zawartość butelek traciła nie tylko swoją moc, ale i kolor.

Prywatki, lub raczej spotkania taneczne były organizowane przez Mamę także i u nas w nowym domu na dużym północnym tarasie. Mama była wspaniałą wychowawczynią i opiekunką a u młodzieży z naszego otoczenia cieszyła się opinią „kumpla” z którym można było konie kraść, jednocześnie chciała nad nami mieć kontrolę. Muzyka pochodziła z radia AGA (obok Pioniera, pierwsze po wojnie produkowane w Polsce radio sprzedawane na przydziały tzw. talony) połączonego z czeskim adapterem Supraphon. Starsi chłopcy podrywali już dziewczyny, myśmy nie wiedzieli jeszcze jak to się robi.

Od początku mojej edukacji w liceum mieszkaliśmy w nowym domu. Po wielu latach mieszkania w Domu Olgierda, w którym nie było bieżącej wody ani kanalizacji odrabialiśmy poprzedni brak wygód kąpiąc się obecnie w wannie i w ciepłej wodzie. Po południu dom rozbrzmiewał piękną muzyką gry na pianinie. Ojciec w odróżnieniu od Matki nie grał na żadnym instrumencie, ale kochał muzykę i po śmierci babci Zofii namawiał nas do dalszej nauki gry na pianinie. Ja na lekcje gry na pianinie jeździłem motocyklem do Lublina do Prof. Mieczysława Dawidowicza.

Olgierd po kilkuletniej nauce przez babcię Zofię ćwiczył nadal już tylko sam i grał znacznie lepiej ode mnie. Urządzał często koncerty grając dla znajomych i rodziny a szczególnie dla Ojca. Repertuar miał bogaty i w domu w jego wykonaniu rozbrzmiewały często piękne utwory Chopina takie jak Polonez A-dur, Scherzo B –mol, Walc Es-dur (Grand Valse Brilliante), Nocturn Es-dur, Mazurek „Żydek”, Mazurek Cis-mol, Preludium Deszczowe, Marsz Żałobny, Etiuda Rewolucyjna, lub Sonata Księżycowa Beethovena i inne utwory.

Po zrobieniu matury Olgierd rozpoczął w 1951r. studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Lublinie. Rodzice wynajęli mu w mieście pokój z pianinem, ale na weekendy przyjeżdżał pociągiem do Nałęczowa. Ja wtedy jeździłem motocyklem z koszem na dworzec kolejowy i przywoziłem go do domu.

Na wyższych uczelniach indoktrynacja komunistyczna studentów była szczególnie silna. Niezależnie od rozniecania walki klasowej na wsi forsowano wtedy potrzebę zakładania spółdzielni produkcyjnych. Olgierd jako student pierwszego roku i członek ZMP otrzymał od

politycznych władz uczelni zadanie przekonywania chłopów o korzyściach jakie wiążą się z zakładaniem spółdzielni produkcyjnych i agitowania do ich zakładania. Społeczność wsi Szczekarków, w gminie Wilków, powiecie Opole Lubelskie została powiadomiona o zebraniu w określonym terminie celem spotkania z młodzieżą studencką. Olgierd pojechał motocyklem z Wieśkiem Malickim i w remizie straży pożarnej, w której zgromadziło się dużo ludzi wygłosił referat na temat potrzeby zakładania spółdzielni produkcyjnych. Po referacie wywiązała się burzliwa dyskusja, w której mocno krytykowano plany zakładania spółdzielni. Zakończył ją jeden z uczestników informując, że to co przedstawił prelegent to wszystko nieprawda ale to są synowie Dr Kapuścińskiego z Nałęczowa i on ich zna, że to są porządne chłopaki ale przedstawiciele władz kazali im tak mówić. Olgierd z Wieśkiem wrócili do Nałęczowa nawet zadowoleni z takiego zakończenia ich działalności agitacyjnej.

W dużym domu mieliśmy już radio - starego Telefunkena, które Mama kupiła gdzieś na bazarze. Prawdziwych wiadomości politycznych słuchaliśmy z Głosu Ameryki i Wolnej Europy, walcząc z permanentnym zagłuszaniem tych radiostacji. Sytuacja z odbiorem nieco się poprawiła jak udało się nam kupić także przy pomocy Wieśka Malickiego wspomniane już radio AGA.

Odnosnie motocykla, to mieliśmy ambitne plany i pomysły, techniczne, które zmierzały do zwiększenia jego mocy i prędkości. Zwiększenie mocy zrealizowaliśmy przez dokupienie większych cylindrów i przerobienie silnika na 750cm³, natomiast nie udało się uzyskać zwiększenia prędkości. Ja wtedy nie miałem wiedzy technicznej i dentystycznym wiertłem Matki rozwierełem otwory w rozpylaczach gaźników na większą średnicę myśląc, że silnik będzie „lepiej chodził”. W efekcie Wiesiek Malicki musiał dokupić nowe rozpylacze, bo silnik w ogóle nie chciał pracować. Zastanawialiśmy się także – już tylko teoretycznie - nad możliwością dorobienia 5 biegu, żeby szybciej jeździć. Każdy kto zna budowę synchronicznej skrzyni biegów w pojazdach wie, że była to utopia.

Zdarzały się także dolegliwości zdrowotne. W zimie jeździliśmy dużo na nartach, najczęściej w Lesie Zakładowym na stoku zwanym Diabelska Góra. Zbudowaliśmy na nim skocznię narciarską i wykonywaliśmy skoki nawet kilkunastu metrowe. W pobliżu znajdował się stok zjazdowy zwany „Jajecznicą” związany ze zjazdem Gienka Murata, który podczas upadku uderzył się w krocze. Mietek, który był ryzykantem, po maksymalnym wybiciu się z progu skoczył kiedyś nie tylko daleko, ale i wysoko, niestety upadł na głowę i złamał obojczyk. Podczas jednej z zim na nartach jeździli także starsi od nas Barbara i Andrzej Nawratowiczowie. Imponowali mi nie tylko dobrą jazdą, ale i wspaniałym sprzętem

narciarskim. Obecnie po trasach narciarskich nie ma ani śladu. W okolicy ujęcia źródeł wody tzw. grzyba rosną wysokie drzewa Lasu Zakładowego.

Dolegliwości zdrowotne najczęściej traumatyczne zdarzały się także latem. Na lekcji Wychowania Fizycznego wśród wielu konkurencji sportowych skakaliśmy w dal. Podczas jednego ze skoków odbiłem się mocno z deski i wylądowałem w nadmiernym przysiadzie. Młody i rosnący prawy staw kolanowy nie wytrzymał takiego obciążenia i doznałem złamania przyśrodkowej części łąkotki. Ograniczyło to moją aktywność fizyczną na wiele lat, jak gra w piłkę nożną i szereg innych dyscyplin sportowych. Dotyczyło to także zajęć na Studium Wojskowym na pierwszym roku studiów i było podstawą uzyskania kategorii D (Niezdolny do czynnej służby wojskowej w czasie pokoju) w ocenie stanu zdrowia podczas pierwszej Wojskowej Komisji Lekarskiej.

Po skończeniu X klasy w 1954r., mając 16 lat czuliśmy się już prawie dorośli i chcąc się sprawdzić w samodzielnym życiu ochotniczo zgłosiliśmy się do Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”. Była to organizacja paramilitarna utworzona 25.02.1948r. dla młodzieży w wieku 16 – 21 lat. Jako Brygada obejmująca powyżej 100 chłopców z całej Lubelszczyzny pojechaliśmy specjalnym pociągiem na północne „ziemie odzyskane” do PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne) w miejscowości Ponary, poczta Boguchwały koło Morąga. Brygada składała się z 3 drużyn i jako plutonowy dowodziłem drużyną (około 30 junaków). Zakwaterowani byliśmy w pałacu tej miejscowości w pobliżu jeziora Narie i pracowaliśmy w różnym charakterze w miejscowym PGR-ze. Ja z Mietkiem posiadaliśmy już prawa jazdy i jeździliśmy traktorami orząc rozległe pola. Indoktrynacja polityczna nie była duża i polegała np. na rozkazie zbierania lnu lub pielenia w niedzielę, żeby młodzież nie myślała o religii i kościele. Nie byliśmy jednak dostatecznie żywieni i czasem chodziliśmy głodni.

Dowiedzieli się o tym rodzice i zdarzyła się śmieszna sytuacja. Mama przysłała mi paczkę żywnościową, ale nie znalazła się na stopniach wojskowych i podczas apelu całej kompanii dowódca czytając adres na awizo ogłosił informację, że *„Junak, Plutonowy A.Kapuściński otrzymał paczkę żywnościową wagi 12 kg”*. Wszyscy ryknęli gromkim śmiechem z 2 powodów – adresu (junak, plutonowy to tak samo jak żołnierz, podoficer) a poza tym z powodu masy paczki. Ja czułem się trochę ośmieszony, ale razem z Frankiem Pawlakiem poszliśmy na pocztę do Boguchwał i po przyniesieniu paczki do Ponar zawieźliśmy ją łódką na wysepkę jeziora Narie, żeby koledzy nam nie zjedli zawartości. Z kilkoma najbliższymi kolegami jedliśmy przez tydzień wspaniałe kiełbasy, pieczony schab i inne wiktuały.

Kolejne klasy zaliczyliśmy bez powtórek i w końcu nadszedł czas zdawania matury. Z przygotowań pamiętam, że Prof. Gutsche zapoznawała nas ze streszczeniami niektórych obowiązkowych lektur słusznie przypuszczając, że nie wszystkie zostały przeczytane. Przebieg samego egzaminu maturalnego słabo pamiętam z powodu dziesiątków egzaminów, kolokwii i zaliczeń, które zdawałem potem w życiu. Świadectwa maturalne otrzymaliśmy w czerwcu 1954r.

Mnie oceniono bardzo dobrze, miałem tylko dwie czwórki a nawet otrzymałem Dyplom Przodownika Nauki i Pracy Społecznej, który upoważniał do dostania się bez egzaminów na wiele kierunków studiów.

Wycieczka po maturze do Zakopanego.

Podczas wakacji po maturze, w lipcu 1954r. wybraliśmy się z Mietkiem motocyklem do Zakopanego. Zatrzymaliśmy się krótko w Busku, z którego przeniósł się on z rodziną do Nałęczowa. Jego ojciec Jan Rokosz był dyrektorem i osobą wielce zasłużoną dla tego uzdrowiska, dlatego uhonorowano go nazwą ulicy jego imienia. Mietek opowiadał o latach nauki, w szkole podstawowej i pierwszej klasie gimnazjum w tym mieście oraz graniu na trąbce w orkiestrze szkolnej. Następnie po krótkim postoju w Krakowie jechaliśmy w kierunku Zakopanego. Na drodze ruch był dość duży i sporo motocykli z rejestracjami krakowskimi. Na jednej ze stacji benzynowych podczas tankowania paliwa zobaczyliśmy chłopaka na czechosłowackim motocyklu Jawa o pojemności 350 cm³ zwanym Ogarem także z krakowską rejestracją. Ruszyliśmy razem w kierunku Tatr i zauważyłem, że jeździ on w specjalny sposób – przed zakrętami wyjeżdża na środek drogi a nawet na przeciwległy pas i kładąc motocykl na zakręcie ścina zakręt. Pomyślałem, że tak jeżdżą „Krakusy” mające wprawę na górskich drogach.

Zacząłem naśladować sposób jego jazdy i nie wiele brakowało ażeby skończyło się to tragicznie. W pobliżu Skomielnej Białej, Mietek twierdzi, że wcześniej, był duży zakręt w prawo. Jechaliśmy około 90km/h i zbliżając się do linii środkowej już przechylałem motocykl ażeby pokonać zakręt. Jednakże zakręt był bardzo długi i powoli „wyrzucało mnie” na lewą stronę aż znaleźliśmy się prawie na środku przeciwległego pasa. Z za zakrętu zobaczyłem samochód Warszawę jadącą prosto na nas. W ułamku sekundy musiałem zdecydować, czy dodać gazu i jeszcze bardziej przechylić motocykl, czy przymknąć gaz i przyhamować. Zdecydowałem się na pierwszy manewr, a kierowca samochodu zjechał maksymalnie na prawą stronę mając część samochodu poza jezdnią. Minęliśmy się w odległości centymetrów i po chwili byliśmy już za zakrętem. Pamiętam doskonale, że oblał mnie zimny pot, zatrzymałem motocykl, przeżegnałem się i podziękowałem Bogu za łaskawość i opiekę nad nami. Analiza sytuacji przemawiała za tym, że zginęlibyśmy obaj na miejscu w czołowym zderzeniu. To przykre doświadczenie spowodowało, że już nigdy nie znalazłem się na drodze w podobnym śmiertelnym zagrożeniu. Wprawdzie jeszcze trzy razy w życiu mogłem mieć poważne wypadki zasypiając za kierownicą podczas jazdy, ale zdarzenia te opiszę w następnych rozdziałach. Po ochłonięciu pojechaliśmy dalej do Zakopanego.



Na Giewoncie



W dolinie Kościeliskiej

W Zakopanym już raz byłem z Mamą i bratem ale zimą podczas nauki w szkole podstawowej. Uczestniczyliśmy wtedy w kursie jazdy na nartach doskonaląc swoje umiejętności. W lecie natomiast byłem po raz pierwszy dlatego pokonałem kilka tras w wysokich Tatrach. Jedną z nich było przejście przez Orłą Perć, Zawrat, do Pięciu Stawów a wróciliśmy do miasta trasą przez Zadni i Skrajny Granat.

Wracając z Zakopanego do Nałęczowa zatrzymaliśmy się w Krynicy, w której także już raz byłem w młodszym wieku. Cała wycieczka nie trwała zbyt długo, ponieważ musieliśmy wracać ażeby przygotować się do egzaminów wstępnych na uczelnie.

Rok w zawieszeniu 1954/55

Po powrocie z wycieczki do Zakopanego przystąpiłem do intensywnego uczenia się do egzaminu wstępnego na Akademię Medyczną w Lublinie. Decyzję o studiowaniu medycyny powziąłem sam w X klasie motywując tak samo racjonalnie jak po wielu latach mój syn – że jeżeli nie będzie czegoś wiedział, to zapyta rodziców – a ja, że zapytam Ojca lub brata. Pomimo posiadania Dyplomu Przodownika Nauki i Pracy Społecznej obowiązywał mnie egzamin wstępny na medycynę, podobnie jak kandydatów na architekturę. Uczyłem się dużo biologii, fizyki i chemii oraz pilniej słuchałem radia z wiadomościami, bo obowiązywał wówczas także egzamin z ideologicznego przedmiotu Nauka o Polsce i Świecie Współczesnym. Godnym podkreślenia jest fakt, że w tamtych czasach w liceum nauka chemii kończyła się w X przedmaturalnej klasie.

Egzaminu nie zdałem a na ustnym egzaminie z chemii pytano mnie na poziomie zaawansowanej biochemii zamiast na poziomie chemii w liceum. Rodzice a przede wszystkim Matka nie zgodzili się z moją porażką i złożyli podanie do dziekana o zgodę na powtórny termin egzaminu motywując moim złym stanem zdrowia w dniu egzaminu. Uzyskałem zgodę na ponowny egzamin i przygotowałem się do niego niezwykle intensywnie. Ponownego egzaminu także nie zdałem. Rodzice czynili jeszcze pewne starania, ale bezskutecznie, bo jak ktoś nie zdał egzaminu wstępnego, to pomimo posiadania Dyplomu Przodownika Nauki i Pracy Społecznej nie było mowy o przyjęciu na studia. Jako człowiek ambitny byłem bezsilny i załamany, bo w perspektywie miałem utratę roku a moi koledzy rozpoczynali wyższe studia. Dopiero później poufnymi drogami dowiedziałem się, że czynniki do tego powołane zdecydowały, że nie będą tworzyć „dynastii lekarskich...”.

Rodzice zastanawiali się co powinienem robić podczas tego roku i ustalili, żebym pojechał do Łodzi - ponieważ mieszkał tam brat mojej Mamy Mieczysław Gołąb z rodziną – i przygotowywał się do egzaminu wstępnego w przyszłym roku na Akademię Medyczną w tym mieście.

Jesienią 1954r., pojechałem do Łodzi, zamieszkałem u wujka i cioci w centrum miasta, przy ulicy Sienkiewicza i intensywnie uczyłem się pobierając korepetycje z fizyki, biologii i chemii. Ponadto w roli wolnego słuchacza chodziłem na wykłady I roku Wydziału Lekarskiego i uczyłem się anatomii tak, że przed rozpoczęciem studiów dobrze już znałem osteologię (naukę o kościach). Byłem bardzo zdesperowany, żeby zostać studentem i z zazdrością patrzyłem na faktycznych studentów jak uczestniczyli w ćwiczeniach na które ja nie miałem wstępu. Kupiłem sobie nawet czapkę studencką – białą rogatywkę z zielonymi

otoczkami - i czasem chyłkiem nosiłem ją poza terenem uczelni wiedząc, że nie mam do tego prawa.

W tym czasie codzienne życie nabierało więcej atrakcyjności, ponieważ powoli zbliżał się Polski Październik. Pomimo, że byłem z rodziny inteligenckiej, to pochodziłem z małej miejscowości więc pilnie obserwowałem życie wielkiego miasta, zwłaszcza, że Łódź nie była zniszczona podczas wojny. W kinach pojawiły się ciekawe filmy włoskie i francuskie, a na pokazach w Szkole Filmowej i filmy amerykańskie, często organizowane były koncerty jazzowe z udziałem takich melomanów jak Andrzej Trzaskowski, Jerzy „Duduś” – Matuszkiewicz, Witold Sobociński, i inni, w radio królowały piosenki Marii Koterbskiej m.in. bardzo melodyjna „Pod parasolem”: *Popatrz jaki deszcz, pada od godziny...*, a życie stawało się coraz bardziej kolorowe, zwłaszcza, że miałem prawie 18 lat.

Na święta jeździłem do Nałęczowa i dzieliłem się z rodzicami moimi postępami w nauce oraz wrażeniami z życia w dużym mieście. W tym czasie znowu zwiększyły się moje zainteresowania muzyką do tego stopnia, że nie mając pieniędzy rozważałem możliwość kupienia perkusji Zygmunta Szpaderskiego (w owym czasie najlepsza perkusja w Polsce produkowana przez niego w Łodzi) i akordeonu. Coraz częściej grałem na pianinie ze słuchu znane standardy jazzowe, a nawet myślałem o założeniu orkiestry taneczno-jazzowej w Nałęczowie. Rodzice nie mieli oszczędności, ale udało mi się namówić Mamę na kupno upatrzonego średniej wielkości akordeonu Weltmeister 80. Pojechalśmy do Lublina i w sklepie Jubiler Mama sprzedała „na wagę” swoją złotą bransoletkę. W ten sposób stałem się właścicielem akordeonu, na którym sam nauczyłem się grać. Ponieważ instrument ten z prawej strony ma klawiaturę, więc umiejętności gry na pianinie były niezwykle pomocne, natomiast gry lewą ręką na akordeonie nigdy dobrze nie opanowałem.

Ziściły się moje plany założenia w Nałęczowie kilkusobowej orkiestry, którą nazwaliśmy KAROMA od nazwisk jej członków: Kapuściński, Rokosz, Malicki (najmłodszy brat Leszek). Ja grałem na akordeonie, Mietek na trąbce i klarncie a Leszek na perkusji. Raz wystąpiliśmy nawet na wieczorku tanecznym FWP (Funduszu Wczasów Pracowniczych) w Gioi. Wtedy graliśmy w pełnym składzie – Olgierd grał na pianinie a solistką śpiewającą piosenki była Marynka Tuora.

Nasze występy w Nałęczowie nie trwały długo, ale jeden występ pamiętam szczególnie dobrze. W parku w Pałacu Małachowskich odbywała się zabawa i grała orkiestra taneczna Saby (akordeon), która wykonywała tradycyjne utwory taneczne. Myśmy mieli wtedy przeciwiczonych kilka utworów jazzowych i byliśmy gotowi je zaprezentować. Mietek przyniósł ze sobą trąbkę i czekaliśmy na stosowną chwilę. Jak ogłoszono dłuższą przerwę, to

zajęliśmy miejsca na scenie i zaczęliśmy grać boogie-woogie. Sala jak oszalała ruszyła do tańca, tańcząc zawzięcie w rytmie naszej muzyki. Nie trwało to jednak długo, bo do sceny podszedł Janek Murat i chwytając za Saby akordeon na mojej piersi ogłosił, że „*Kapuścińskie nie będą grać...*”. Nie pamiętam, czy był on pod wpływem alkoholu, ale po tym fakcie zakończyliśmy nasz koncert. Istnienie zespołu KAROMA nie trwało długo, ponieważ ja wróciłem do swoich obowiązków w Łodzi, a Mietek do Krynicy kontynuować swoją praktykę robotniczą przed studiami na Politechnice w Krakowie.

Wiosna 1955r. była dla mnie szczególnie pracowita, bo w Łodzi miałem nadal korepetycje z przedmiotów egzaminacyjnych wymaganych podczas rekrutacji oraz pogłębiałem wiedzę słuchając wykładów dla I roku medycyny.

W przewidzianym terminie zdałem dobrze egzaminy wstępne na Wydział Lekarski i zostałem studentem pierwszego roku cywilnej Akademii Medycznej w Łodzi w roku akademickim 1955/56.

Po zdaniu egzaminów, już jako student wakacje spędzałem w Nałęczowie. Przyszło nam do głowy, żeby wybrać się na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie. Nie byliśmy przez nikogo delegowani, ale razem z Olgierdem i Wieśkiem Malickim



V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów

ubraliśmy się w służbowe stroje ZMP - w zielone koszule z czerwonymi krawatami – i na stacji w Nałęczowie wsiedliśmy do „gwiazdzistego” pociągu z Lublina do Warszawy wiozącego delegacje młodzieży z województwa lubelskiego.

Festiwal odbywał się w Warszawie w atmosferze zbliżającej się odwilży gomułkowskiej, zgromadził tysiące młodych gości z całego świata i miał stać się dowodem wyższości komunizmu nad kapitalizmem. Dla warszawiaków i młodzieży z całej Polski atrakcją stanowiły różnokolorowe stroje egzotycznych gości i ich swobodny styl życia. Dodatkową atrakcją Festiwalu był świeżo oddany do użytku Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina oraz Stadion Dziesięciolecia. Związane to było z dziesięcioleciem istnienia PRL (Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej). Festiwal odbywał się w dniach od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 roku i przyczynił się w znacznym stopniu do wydarzeń Października 1956 roku.

Gospodarzem i przewodnikiem po Warszawie dla nas był brat Wieśka – Maciek Malicki, który po studiach w SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki, obecnie SGH Szkoła Główna Handlowa) pracował w NBP (Narodowym Banku Polskim). Przed Politechniką Warszawską kupiliśmy na straganie chusty oraz emblematy festiwalowe i dekorując się nimi, upodobniliśmy się do delegatów. Po pokonaniu kilku barier dotarliśmy do miasteczka namiotowego na Polach Mokotowskich, gdzie zrobiliśmy kilka pamiątkowych zdjęć z prawdziwymi delegatami - górnikami, hutnikami, żołnierzami itd.

Z Maćkiem uczestniczyliśmy w wielu imprezach a jedną z nich był pokaz akrobacji samolotów nad lotniskiem Okęcie. Pokaz ten pamiętam szczególnie dobrze, ponieważ filmowano zarówno akrobacje jak i obserwujących je ludzi. W kilka tygodni potem oglądając w kinie kronikę filmową, na której relacjonowano przebieg Festiwalu, przy propagandowym słownym komentarzu, że „uczestnikami byli najlepsi wybrani delegaci...” pojawiła się głowa Olgierda prawie na cały ekran.

Studia medyczne w Łodzi 1955/56

Podczas studiów mieszkałem w willi państwa Kowalskich przy ulicy Małachowskiego w pobliżu Parku 3 maja. Było to blisko ulicy Narutowicza, przy której znajdowało się dużo Zakładów Akademii Medycznej, a całkiem blisko przy ulicy Kopcińskiego był Szpital Kliniczny Nr 1 im. Norberta Barlickiego. Po raz pierwszy mieszkałem dłużej poza domem rodzinnym, dlatego stołowałem się w restauracjach i barach, a śniadania i kolacje robiłem sobie sam.



Na motocyklu kolegi podczas studiów w Łodzi

Na pierwszym roku studiów większość wykładów mieliśmy wspólnie ze studentami WAM (Wojskowej Akademii Medycznej). Natomiast zajęcia w prosektorium, ćwiczenia i inne zajęcia mieliśmy rozdzielnie. Trafiłem do ambitnej i pracowitej grupy studenckiej, w której były trzy Marie - Maria Erecińska, córka profesora pediatrii, Maria Kocińska, córka



Szpital im. Barlickiego
z lewej M. Erecińska, w środku M. Kocińska

inżyniera i Maria Wyszogrodzka, córka chirurga. Rywalizacja naukowa w grupie była duża, ale najbardziej pracowita była Marysia Erecińska, która już w średniej szkole opanowała kilka języków, a podczas studiów jak oceniano ją na 4+, to poprawiała ocenę na 5. Dzięki swojej pracowitości uzyskiwała w nauce jako biochemik wysoką pozycję na poziomie światowym. Przy pierwszym spotkaniu zaskoczyło mnie jej stwierdzenie, że zna moją rodzinę. Okazało się, że jej ojciec pracował z moim w szpitalu wojskowym w 1944r. w Otwocku i bardzo pozytywnie wyrażał się o wiedzy medycznej i cechach charakteru mojego Ojca. Przyznaję, że informacje te przyjąłem z prawdziwą przyjemnością.

Nauka anatomii szła mi dobrze ze względu na znajomość osteologii oraz posiadanie całego kośćca, który został zakupiony dla Olgierda jak był na pierwszym roku studiów. Chemia i fizyka także szły mi dobrze, ponieważ dużą ilość czasu poświęciłem tym przedmiotom w poprzednim roku. Pomimo tego uczyłem się dużo, bo pierwszy rok studiów na medycynie nie jest łatwy.



W prosektorium

Poza nauką znowu interesowałem się muzyką. Sprzedałem średni akordeon i kupiłem sobie nowy duży instrument Weltmeister 120 w kolorze czerwono-złotym. Bywałem w Klubie Medyka przy ulicy Kilińskiego i zaprzyjaźniłem się z kolegami lubiącymi muzykę i grającymi na różnych instrumentach. Było tam pianino, ja przywoziłem akordeon, koledzy gitarę i kontrabas i początkowo próbowaliśmy swoich sił i umiejętności a potem założyliśmy studencką orkiestrę taneczno-jazzową. Graliśmy głównie ze słuchu. Na pianinie bardzo dobrze grał uzdolniony muzycznie Zbyszek Rychlewski, od którego nauczyłem się kilku utworów o ciekawej harmonizacji. Okazało się, że jesteśmy drugą orkiestrą w Akademii Medycznej, ponieważ pierwsza była z wyższych roczników.

Zaczęliśmy grać regularnie i zarobkowo w soboty na wieczorkach tanecznych w Klubie Medyka, potem także w domach akademickich zwłaszcza w Nr 4 przy ulicy Bystrzyckiej (obecnie Lumumby), a później w fabrykach włókienniczych i raz w liceum na studniówce.

Nasz kontrabasista z wyższego rocznika studiów był bardziej od nas „obrotny ekonomicznie”. Na wieczorkach w Klubie Medyka sprzedawał bilety wejściowe, potem grał kilka utworów i znowu „stawał na bramce” sprzedając kolejną partię biletów. Po zakończeniu wieczorku wypłacał nam gażę, i co jakiś czas wyjeżdżał na kilka dni wypocząć do Zakopanego.

Na bardziej uroczyste wieczorki poszerzaliśmy skład zespołu zapraszając zawodowego muzyka - jedyne w tym czasie studenta Konserwatorium w klasie trąbki - Andrzeja Rokickiego. Grał on fenomenalnie, a przy „Karawanie” Duke Ellingtona, którą grał z tłumikiem, ludzie zamiast tańczyć stawali i patrzyli na niego. Po zakończeniu takiego wieczorku nasz „ekonomista” wypłacał mu gażę cztery razy większą niż nam, ponieważ traktował go jako zawodowego muzyka.

Ja nie chciałem „pozostawać w tyle” i grać tylko na akordeonie, dlatego kupiłem klarnet i załatwiłem sobie prywatne lekcje gry na tym instrumencie. Po pewnym czasie do gry w stylu dixieland zdejmowałem z ramion akordeon i sięgałem po klarnet. Wówczas nie sądziłem, że kiedyś w życiu będę w Nowym Orleanie. Byłem tak mocno zaangażowany w działalność muzyczną, że czasem na wykładach zapisywałem sobie przychodzące mi do głowy melodie, żeby na ich bazie potem improwizować w zespole.

Uczestniczyłem we wszystkich zajęciach na uczelni i zaliczałem kolejne kolokwia i egzaminy. Zauważyłem jednak, że z odległości gorzej widzę, co pojawiło się po raz pierwszy już w klasie maturalnej. W wyniku badania okulistycznego stwierdzono u mnie krótkowzroczność i zalecono noszenie okularów. Od tego czasu noszę okulary zaczynając od -1,25 Dioptrii; w dalszym życiu wada się nasilała i doszedłem maksymalnie do -5,5D a w starszym wieku zmniejszała się i ustabilizowała na -3,0D.

Na święta jeździłem pociągiem do Nałęczowa. Wiosną 1956r. po Świątach Wielkanocnych wróciłem do Łodzi motocyklem bez kosza. Od tego czasu jeździłem nim po mieście. Pan Kowalski miał także motocykl DKW 250cm³ i podczas weekendów jak nie byliśmy zajęci, to jeździliśmy dwoma motocyklami do Spały lub innych atrakcyjnych miejscowości w pobliżu Łodzi.

W tym czasie przyjaźniłem się z Marylą Kocińską i byłem zapraszany do mieszkania jej rodziców, gdzie uczyliśmy się do kolejnych kolokwii i egzaminów. Czasem byłem zapraszany na obiad, bo jej matka mając troje dzieci nie pracowała prowadząc dom. Nasz

zespół muzyczny grał nawet na studniówce brata Maryli, który właśnie kończył klasę maturalną.

Z Marylą łączyły mnie wyłącznie relacje koleżeńskie, dlatego zaskoczyła mnie sytuacja, która zdarzyła się po jakimś czasie. Matka Maryli zapytała mnie, czy ja ją Kocham. Na co ja odpowiedziałem, że bardzo ją lubię, ale stwierdzenie, że ją Kocham byłoby równoznaczne z oświadczeniami, a ja nie mam 20 lat, jestem na początku studiów, nie mam żadnego zabezpieczenia materialnego i nie planuję małżeństwa. Na to ona poinformowała mnie, że jej mąż oświadczył się na długo przed małżeństwem. Zawołała Marylę i powiedziała – widzisz pan Andrzej ciebie nie Kocha. Maryla się rozplakała, jak sądzę nie z powodu braku uczucia z mojej strony, ale z powodu niefortunnej ingerencji matki w jej życie osobiste.

O wydarzeniu tym poinformowałem państwa Kowalskich, którzy jako bezdzietne małżeństwo traktowali mnie bardzo serdecznie. Czar goryczy się przelał, jak po kilku dniach otrzymałem pocztą list o następującej treści: *„Wobec popełnionego nietaktu z Pana strony w naszym domu, dobrze byłoby gdyby zechciał Pan nie odwiedzać nas więcej”*. Podpisano: *„Oktawian Kociński”*.

Ja nie należałem do uwodzicieli, a życie w tym czasie dzieliłem głównie pomiędzy naukę i muzykę. Po jakimś czasie Maryla spotykała się z jakimś mężczyzną, którego widywałem jak przychodził po nią na uczelnię po zajęciach. Pod koniec trzeciego roku byliśmy z kolegami w kościele na jej ślubie.

Zbliżało się lato 1956r. i miasto tętniło pełnym życiem. Studenci Filmówki (PWSF - Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa) królowali na różnych imprezach i zabawach, ale my nie mieliśmy z nimi bliskich kontaktów. Widywaliśmy ich w kultowej kawiarni Honoratka przy ulicy Moniuszki lub w śródmieściu w okolicach ulicy Piotrkowskiej. Osobiście nie znałem, ale doskonale pamiętam Romana Polańskiego, wówczas 23-letniego studenta 2 roku Wydziału Reżyserii PWSF, który w późniejszym czasie jeździł skuterem Lambrettą ze swoją sympatią a potem pierwszą żoną Barbarą Kwiatkowską. Pamiętam także Wojtkę Frykowskiego, wtedy 20-latek, także studenta PWSF ze swoją dziewczyną niezwykle atrakcyjną Ewą, która w 1958r. została jego pierwszą żoną. Wojtkę Frykowskiego widziałem kilkakrotnie także w Warszawie po moim przeniesieniu się do tego miasta, a przed jego wyjazdem do Francji a potem do Ameryki.

Sytuacja polityczna w Polsce zaostrzała się i stawało się coraz bardziej niespokojnie. Już od wiosny 1956 nasiliły się społeczne żądania dotyczące przeprowadzenia reform gospodarczych, ograniczenia cenzury i rehabilitacji osób niewinnie represjonowanych w latach 1944 – 1955. Napięta sytuacja w poznańskich Zakładach im. Józefa Stalina (Hipolita

Cegielskiego) trwała już od kilku miesięcy. Postulaty robotników dotyczyły podwyżek płac, poprawy warunków bytowych, zmiany źle organizacji pracy oraz poprawy bezpieczeństwa i higieny pracy.

Podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich 28 czerwca doszło do buntu w postaci pochodu i manifestacji około 100 tysięcy ludzi, która została stłumiona siłą przez władze partyjno – rządowe, zginęło wtedy ponad 70 osób cywilnych. W przemówieniu radiowym premier rządu Józef Cyrankiewicz groził „*odrzębaniem ręki podniesionej przeciwko władzy ludowej*”.

W Łodzi również dochodziło do wieców i manifestacji w fabrykach i na uczelniach. Podczas wykładów dowiadaliśmy się od kolegów z WAM, że planowane są zmiany we władzach wojskowych, bo domagano się powrotu do ZSRS marszałka Konstantego Rokossowskiego.

Niezależnie od niepokojów społecznych, zajęcia na uczelni odbywały się bez zakłóceń. Zaliczyłem wszystkie kolokwia i zdałem egzaminy i jako student drugiego roku pojechałem na wakacje do Nałęczowa.

Wakacje 1956

Na wakacje do Nałęczowa pojechałem motocyklem. W okresie letnim przyjechało grono kolegów z liceum, bo jako studenci różnych kierunków mieli przerwę i dołączyli do „tubylców” - kolegów stale tu mieszkających. Znowu stworzyliśmy grupę „drakusów” i zastanawialiśmy się jak by tu zorganizować jakąś imprezę, żeby było ciekawie. Na pomysł wpadł Krzysio Foryś, student 4 roku prawa, żebyśmy w specjalny sposób podrywali młode kuracjuszki często studentki. Ja byłem szczególnie zadowolony, bo wiedziałem, że do sanatorium w Nałęczowie przyjedzie z Łodzi moja koleżanka atrakcyjna studentka z roku. Planowałem, żeby po zakończeniu pobytu w sanatorium zabrać ją motocyklem na rajd po północnej Polsce. Pomysł Krzysia wprowadzaliśmy w życie przedstawiając się dziewczynom, jako grupa chłopaków „z tutejszego PGR-u” zapraszając do lasu na pieczenie ziemniaków. Krzysio był przewodnikiem i wyprowadzał towarzystwo do lasu szukając w nim „pozostawionego” drzewa na ognisko oraz ziemniaków. Najczęściej nie mógł niczego znaleźć a dziewczyny szybko się orientowały, że pieczenie ziemniaków to tylko pretekst i wszyscy bawili się znakomicie. Ja nieopatrznie, zamiast zajmować się koleżanką spełniałem rolę gospodarza, przynosząc w koszyku pieczony schab z kminkiem, oraz domowe wino. Stanek Szczepiński zwany „Kostią” nie tracił czasu tylko uwodził dziewczynę. Z docierających informacji dowiedziałem się, że podczas jej pobytu spotykali się w nowo wybudowanym domu Państwa Szczepińskich przy ulicy Armatnia Góra.

Moje męskie ambicje wpłynęły negatywnie na realizację rajdu motocyklowego w jej towarzystwie. Uczestnictwo w rajdzie zaproponowałem koledze o kilka lat starszemu ode mnie Wieskowi Borowiczowi.

Pojechaliśmy na Mazury i zatrzymaliśmy się w Mikołajkach. Tutaj zetknąłem się po raz pierwszy w życiu z żeglarstwem. Z przystani na półwyspie wypożyczyliśmy łódź żaglową typu bączek (podobny do biblijnej barki). Po założeniu i wciągnięciu żagla przy pomocy pracownika przystani odpłynęliśmy kilkadziesiąt metrów od brzegu i pomimo małego, ale wiejącego wiatru zatrzymaliśmy się. Pojęcia nie miałem o żeglarstwie i nie wiedziałem co mam robić, a koło nas dwóch facetów w Omedze przepływało blisko to w jedną, to w drugą stronę. Bezradny zapytałem ich co mam zrobić i odpowiedź otrzymałem natychmiast – żeby bom z żaglem wypchnąć wiosłem do boku a ster trzymać prosto. Ponieważ nie bardzo zrozumiałem, to powtórzyli „*żeby ten poziomy drąg z żaglem ustawić prostopadle do łodzi, a ster trzymać w linii łodzi*”. Zrobiłem tak i patrzę na wodę a my rzeczywiście płyniemy... Wy płynęliśmy na środek jeziora Mikołajskiego i wiatr całkiem „zdechł” nastąpiła flauta.

Niezbyt zadowoleni pracowaliśmy dość długo pagajami (wiosłami), żeby wrócić do brzegu. Po opanowaniu żeglarstwa (o tym w przyszłości) już nie zastanawiałem się, dlaczego w ogóle wypożyczono nam łódź pomimo braku uprawnień. W przystani wiedzieli, że umiemy pływać „piechotą”, w łodzi było koło ratunkowe, a ponadto bączek zwłaszcza większy to taka łódź, że jakby ktoś nawet chciał to bardzo trudno go wywrócić.

Jadąc z Mikołajek w kierunku zachodnim odwiedziliśmy miejscowość Ponary koło Morąga, gdzie służyłem w brygadzie SP i orałem pola. Jadąc dalej zobaczyliśmy człowieka na furze, który do nas machał chcąc nam coś powiedzieć i dopiero po przejechaniu niestrzeżonego przejazdu kolejowego zorientowaliśmy się, że jadący pociąg był bardzo blisko drogi.

Po przygodach na Mazurach pojechaliśmy na północ w kierunku Helu, zatrzymując się w Toruniu. Zwiedzając to miasto utkwiło mi w pamięci, że prawie na każde pytanie dotyczące lokalizacji jakiegoś adresu/obiektu padała odpowiedź „za tramwajem”. Dopiero po jakimś czasie skojarzyłem, że były tam dwie a w zasadzie jedna długa linia tramwajowa i trzymając się torów „wszędzie” można trafić.

Pobyty na kempingu w Kamiennym Potoku w Sopocie utrwalił mi się szczególnie w pamięci. Były tam namioty dwuosobowe z łózkami piętrowymi. Wiesiek spał na dole a ja na górze. Na wysokości bioder miałem małe okienko dla dopływu powietrza. Rano zamiast wyjść z namiotu celem oddania moczu wystawiałem fujarkę przez to okienko i lałem jak z cebra. Wiesiek tego nie tolerował i mnie mocno rugał.

Wreszcie dojechaliśmy do Jastarni na Helu, gdzie w ośrodku PTTK (Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze) wynajęliśmy domek campingowy. W Jastarni przebywaliśmy jakiś czas opalając się i kąpiąc w Bałtyku. Do Nałęczowa wróciliśmy przez Warszawę, ponieważ kończył się już okres wakacyjny.

Dalszy ciąg studiów w Łodzi 1956/57

Rok akademicki 1956/57 był ciekawy, bo Olgierd po ukończeniu V roku A.M. w Lublinie zdecydował się odrabiać staż przed-dyplomowy (tzw. VI rok) w Łodzi, a ponadto był to rok bardzo burzliwy politycznie.

Olgierd mieszkał w wynajętym pokoju z pianinem w willi przy ulicy Tkackiej, blisko mojego miejsca zamieszkania i pracował w różnych szpitalach jako lekarz stażysta. Staż obejmował pracę po 2 i 1/2 miesiąca w 4 specjalnościach: interna, pediatria, chirurgia i ginekologia z położnictwem. W wolnych chwilach grał nadal na pianinie ażeby nie wyjść z wprawy.

Ja od początku października uczestniczyłem w normalnym toku studiów i dużo pracowałem, bo II rok medycyny był także trudny. Widywaliśmy się stosunkowo rzadko, ponieważ obaj mieliśmy dużo obowiązków, a dodatkowo Olgierd pełnił także szereg całodobowych dyżurów.

Sytuacja polityczna w całym kraju była bardzo napięta, bo groziła Polsce inwazja wojsk sowieckich. Nie musiały one przekraczać granicy, bo duże jednostki sowieckie oficjalnie przebywały na terenie Polski na Śląsku i Pomorzu. Łódź znalazła się na osi marszu zmotoryzowanych kolumn wojsk sowieckich, idących z Dolnego Śląska na Warszawę. W dniu 19 października, w czasie trwania obrad VIII Plenum KC PZPR wkroczyły one na teren województwa Łódzkiego. Zaskoczona ludność z przerażeniem obserwowała długie kolumny czołgów, transporterów opancerzonych, samochodów i motocykli. Po drodze Sowieci opanowywali obiekty o znaczeniu strategicznym między innymi opanowali ważne lotnisko wojskowe w Łasku. Przemarsz odbywał się na ogół bez incydentów, chociaż nastroje ludności były nieprzychylnie wobec obcych wojsk. Zaczęto wykupywać podstawowe artykuły żywnościowe. Władze administracyjne i partyjne nie znały zamiarów „sojuszników”.

Sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR Michalina Tatarkówna - Majkowska interweniowała w dowództwie KBW w Warszawie, ostrzegając, że wejście wojsk sowieckich do Łodzi może przynieść nieobliczalne skutki. Na szczęście wojska do Łodzi nie weszły, ich pochód został wstrzymany, a 24 października zaczęły wycofywać się do swoich baz.

W sytuacji, gdy władze paraliżował strach, do głosu doszło społeczeństwo. Prym wiedli studenci łódzkich uczelni, którzy organizowali wiece, pojawiali się z ulotkami na ulicach i brali udział w zebraniach na terenie największych zakładów pracy. Często przejmowali inicjatywę zamiast dyrekcji fabryk czy komitetów partyjnych. Na wiecu na Uniwersytecie Łódzkim burzliwie dyskutowano o pobycie wojsk sowieckich w okolicach Łodzi.

Najgłośniejszym wydarzeniem w Łodzi był wiec młodzieży 23 października w hali WIMY na Widzewie, w którym brałem udział. Uczestniczyło w nim kilkanaście tysięcy osób, w tym studenci, uczniowie, robotnicy a nawet słuchacze uczelni wojskowych. Obecna była również sekretarz Tatarkówna-Majkowska, która relacjonowała przebieg VIII Plenum KC PZPR, na którym powołano nowe kierownictwo partii z Władysławem Gomułką na czele. Wiec miał niezwykle burzliwy przebieg. Łódzkie władze partyjne oskarżano o hamowanie procesu demokratyzacji i brak działania. Najwięcej emocji budziła obecność wojsk sowieckich w okolicach Łodzi oraz plan Komitetu Łódzkiego PZPR użycia siły wobec studentów. Na wiecu wystąpił Roman Polański w imieniu studentów łódzkiej „*Filmówki*”.

Przygotowano rezolucję wzywającą do wyjaśnienia sprawy Katynia, naprawienia krzywd wyrządzonych Polakom wywiezionym w głąb Rosji, domagano się wycofania wojsk sowieckich, usunięcia z Wojska Polskiego rosyjskich oficerów, prowadzenia niezależnej polityki zagranicznej i ograniczenia cenzury. Dano także wyraz poparcia dla Gomułki, który, jak się wtedy wydawało, działał na rzecz demokratyzacji kraju i przywrócenia Polsce pełnej niepodległości. Na Węgrzech wybuchła krwawa rewolucja i wkroczyły wojska sowieckie.

Manifestacje i wiece odbywały się także w Akademii Medycznej oraz w pobliżu akademików. Na jednym z nich spaliliśmy legitymacje ZMP, jednakże cykl nauki nie był w dużym stopniu zaburzony i zajęcia odbywały się normalnie.

Mając w pamięci niedawne wydarzenia w Poznaniu, władze za wszelką cenę starały się nie dopuścić do współpracy młodzieży z robotnikami. Formowały tzw. samoobronę robotniczą na wypadek wybuchu zamieszek, organizowały masówki w łódzkich fabrykach, na których potępiano „wybryki” studentów i zakazały opublikowania w prasie postulatów z wiecu w WIMIE. Można stwierdzić, że w styczniu Polski Październik już się zakończył.

Obszerny zakres wiedzy, którą trzeba było sobie przyswoić na II roku studiów, spowodował, że coraz mniej udzielałem się muzycznie. Nie przeszkodziło mi to w kupieniu za zarobione pieniądze jeszcze jednego akordeonu czarno-białego Weltmeistra 120, który posiadam do dzisiaj. Poza zaliczaniem kolokwiiów i zdawaniem kolejnych egzaminów, zapisałem się do AZS-u (Akademicki Związek Sportowy) i uczestniczyłem w teoretycznym kursie żeglarskim, celem uzyskania stopnia żeglarza.

Wakacje 1957

Pod koniec roku akademickiego zdałem egzamin teoretyczny na stopień żeglarsza i zapisałem się w AZS-ie na dwutygodniowy rejs na Mazurach celem opanowania manewrówki i zaliczenia sprawdzianu praktycznego. Po zakończeniu II roku studiów pojechałem wypocząć do Nałęczowa. Olgierd przyjechał nieco później, bo kończył staż przed-dyplomowy. Udało mi się namówić go na uczestniczenie w rejsie na Mazurach. Pojechaliliśmy motocyklem z koszem do Giżycka i Wilkasów jako bazy początkowej. Klub PZŻ (Polski Związek Żeglarski) A.M. w Łodzi miał na Mazurach swój sprzęt w postaci kilku jachtów klasy Omega.



Obóz żeglarski na Mazurach

Byliśmy wyposażeni w dwuosobowe namioty i kochery do gotowania pokarmów. Butle z płynnym gazem oraz kuchenki nie były wtedy jeszcze rozpowszechnione. Do dyspozycji mieliśmy kilka Omeg. Na początku nauczyliśmy się taklować jachty, a potem zwrotów przez sztag i przez rufę, pływania różnymi kursami, dobijania do kei przy różnych kierunkach wiatru, manewrów „człowiek za burtą”, wiązania węzłów i szplajsów żeglując 2-tygodnie typowym rejsiem „Północ – Południe”. Rozpoczęliśmy od jeziora Mamry, a następnie przez jezioro Dargin i Kisajno wróciliśmy do Wilkas nad jeziorem Niegocin. Następnie przez jezioro Jagodne i Tałty dopłynęliśmy do Mikołajek. Co kilka dni rozbijaliśmy namioty w innym miejscu. Kierując się na południe płynęliśmy przez jezioro Mikołajskie, Bełdany i służę w Guziance do Rucianego. A z Rucianego-Nidy na jezioro Nidzkie. Podczas powrotnej drogi „zajrzeliśmy” krótko na Śniardwy. Niezależnie od postępów w nauce żeglarstwa

byliśmy zachwyceni Wielkimi Jeziorami Mazurskimi i przyjeżdżaliśmy tutaj wiele razy w następnych latach. Po zakończeniu rejsu zdawałem egzamin praktyczny z manewrówki i uzyskałem stopień żeglarza jachtowego.

Po powrocie do Nałęczowa nasze drogi z Olgierdem na jakiś czas się rozeszły. On w A.M. w Lublinie odebrał dyplom lekarza medycyny, przeniósł się do Warszawy i rozpoczął pracę w Zakładzie Radiologii Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc (słynny Szpital Wolski przy ulicy Płockiej 26), w którym przed wojną Ojciec uczył się radiologii u Dr M. Werkenthin. Ja natomiast wróciłem do Łodzi ażeby kontynuować studia medyczne na III roku.

Trzeci rok studiów w Łodzi 1957/58

Wypoczęty i pełen wrażeń po rejsie żeglarskim na Mazurach rozpocząłem kolejny rok studiów. Na III roku studia zaczynają być coraz bardziej ciekawe z powodu włączenia dyscyplin klinicznych. Należą do nich m.in. Propedeutyka Chorób Wewnętrznych na której uczyliśmy się zbierania wywiadu, pisania historii chorób, badania pacjenta (osłuchiwanie, opukiwanie) itd.

Słuchaliśmy także pierwszych wykładów z interny. Pamiętam jak wybitny dydaktyk Prof. Wacław Markert na wykładzie z chorób wewnętrznych na sali w Szpitalu Barlickiego prezentował pacjenta mającego atak duszności z powodu astmy oskrzelowej. Jak pacjent wchodził na salę wykładową to już było słychać świsty, rżenia, tzw. stridor – „całą orkiestrę” spowodowaną zwężeniem oskrzeli. Pokazał on jak można szybko pomóc takiemu pacjentowi i wstrzyknął mu podskórnie adrenalinę w przednią część klatki piersiowej. Po kilkunastu sekundach nastąpiła cisza, ponieważ oskrzela się rozkurczyły i pacjent mógł swobodnie oddychać.

W moim życiu nastąpiły pewne niekorzystne zmiany – w przerwach między zajęciami dołączałem do palących i sam zacząłem palić papierosy. Początkowo paliłem mało, ale potem doszedłem przeciętnie do paczki dziennie. Paliłem papierosy przez 34 lata i rzuciłem palenie w 1992r. z powodu choroby wieńcowej.

Wśród innych zmian było ograniczenie działalności muzycznej a w końcu zaprzestanie grania w zespole z powodu dużej ilości zajęć na uczelni i przyswajania obszernej już klinicznej wiedzy medycznej. Jednakże życie nie toleruje próżni i pojawiły się nowe zainteresowania w postaci chęci wyjazdu za granicę. Próbowałem wyjechać turystycznie na wycieczkę z Orbisem. Małe kontakty z zagranicą a zwłaszcza z krajami zachodnimi



Studencki bal karnawałowy (Łódź)

powodowały, że była duża ilość chętnych do wyjazdów. Ja jednak chciałem wyjechać i stałem całą noc w kolejce do biura Orbisu przy ulicy Piotrkowskiej, żeby w jakiś czas po otwarciu biura dowiedzieć się, że miejsc już nie ma. Pomimo tego okazało się, że są inne możliwości wyjazdu do krajów zachodnich.

Nasz kolega z roku Ludwik Marks był doświadczony w sprawach administracyjnych, miał starszego brata i pochodził ze Śląska. Posiadał on dobrą znajomość języka niemieckiego. Pojawiła się koncepcja wyjazdu za granicę kilkusobowej grupy studenckiej. Brat Ludwika znał nauczycielkę z miejscowości Drammen w pobliżu Oslo w Norwegii i poprosił ją o przysłanie zaproszenia dla 4 studentów z naszego roku. Byli to Grzesio Stadnicki, Bogdan Filipowicz, Ludwik Marks i ja. Pomysłodawcą i głównym organizatorem całej wycieczki był Ludwik. Wybór Grzesia nie był przypadkowy, ponieważ pochodził on z łódzkiej rodziny lekarskiej posiadającej samochód Warszawa, którym mieliśmy podróżować. Żeby można było dostać paszport, trzeba było wykazać się legalnym posiadaniem odpowiedniej ilości zachodniej waluty. My jako studenci nie mieliśmy żadnej możliwości spełnienia tych wymagań. Ludwik prawdopodobnie przez brata wiedział jak te wymagania pokonać. Po otrzymaniu zaproszenia przygotowania do wyjazdu ruszyły energicznie.

Ludwik od zagranicznych studentów z Afryki kupił dla nas dolary i pojechaliśmy do Warszawy, żeby je wpłacić na konto ZSP (Zrzeszenia Studentów Polski). Sprawy administracyjne wpłaty załatwialiśmy w siedzibie ZSP przy ulicy Dworkowej 3, w budynku w którym potem mieściło się Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej Polskiej Akademii Nauk i ja w nim pracowałem przez szereg lat. Po wpłacie waluty, ZSP potrąciło 25 % a resztę wypłacono nam jako legalna waluta – pochodząca jak gdyby z ZSP – która była podstawą wydania paszportów i którą można było wywieźć za granicę.



Zdjęcie z okresu studiów w Łodzi

Po złożeniu podań o wydanie paszportów okazało się, że Grzesio Stadnicki z nieznanymi nam przyczyn otrzymał odmowę wydania paszportu. Myśmy paszporty otrzymali. Powstał więc poważny problem braku transportu. Po krótkiej naradzie podjęliśmy decyzję, że jedziemy moim motocyklem z koszem. Przyjechaliśmy drugi raz do Warszawy odebrać paszporty z ambasad z następującymi wizami: norweską pobytową i szwedzką oraz duńską wizy tranzytowe.

W międzyczasie rok akademicki zbliżał się ku końcowi a my zaliczaliśmy kolejne kolokwia oraz wymagane egzaminy. Ja wtedy już rozważałem możliwość przeniesienia się na dalsze lata studiów do A.M. w Warszawie, gdzie się urodziłem oraz pracował mój brat.

W tym okresie u mojej gospodyni stwierdzono guz piersi i skierowano ją na operację do szpitala im. Barlickiego. Jako studentowi III roku medycyny pozwolono mi uczestniczyć w zabiegu, o co prosił jej mąż. Po usunięciu guza, w czasie operacji tkankę przesłano na szybkie badanie histopatologiczne, które wykazało cechy złośliwe, co było powodem wykonania radykalnego rozległego usunięcia piersi - operacji wg Urbana. Po jakimś czasie w kontrolnych badaniach rtg stwierdzono przerzuty do kości. Będąc w Warszawie postarałem się dla niej o Endoksan – lek cytostatyczny, który wtedy nie był łatwo osiągalny.

Po zdaniu ostatnich egzaminów zdecydowaliśmy, że każdy z nas najbliższe dni spędzi na przygotowaniach do wyjazdu, które podzieliliśmy w następujący sposób - ja miałem pojechać do Nałęczowa, przygotować do drogi motocykl z koszem i powrócić do Łodzi, skąd mieliśmy wyruszyć; Ludwik miał pozostać w Łodzi i w warsztacie zbudować wózek z kołami rowerowymi, który miał być przymocowany „na dyszlu” za motocyklem celem transportu bagażu; a Bogdan mając znajomości w Radomiu miał kupić szynkę i polędwicę w puszkach jako mięso dla nas na drogę. Poza tym każdy z nas w miarę możliwości miał kupić różne rzeczy na handel, żeby uzupełnić skromne środki dewizowe, które starczały na kilka dni a nie jak planowaliśmy kilka tygodni pobytu za granicą.

Ponieważ rozpoczęły się już wakacje, to po kilku dniach spotkaliśmy się znowu w Łodzi prawie gotowi do wyjazdu robiąc jeszcze ostatnie zakupy, głównie w postaci produktów do jedzenia dla nas podczas wycieczki oraz alkoholu na handel.

Wycieczka do krajów skandynawskich

Mój pierwszy wyjazd na zachód

Po przymocowaniu wózka na rowerowych kołach do motocykla okazało się, że „dyszel” jest za krótki i przy zakrętach zaczepia o kosz, więc zrezygnowaliśmy z niego. Wyjęliśmy z kosza siedzenie i oparcie, a włożyliśmy jako siedzenie wypożyczony z PTTK 2-osobowy namiot oraz koce. W ten sposób zyskaliśmy więcej miejsca z przodu i z tyłu w koszu. Ponadto pomiędzy kosz i motocykl postawiliśmy sporą walizkę. Kaski w tamtym czasie nie były obowiązkowe.

Na sprzedaż zabraliśmy następujące towary: rosyjski aparat fotograficzny Zorki 4, aparat Fed 2, radio Szarotka, kilka tabliczek czekolady, paczek papierosów Belweder (dla siebie Giewonty), kilka butelek spirytusu i wódki oraz moją kolekcję znaczków. Dla nas do jedzenia mieliśmy sporo paczek makaronów i ryżu, mleko w proszku, mięsne i rybne konserwy, kostki bulionowe, herbaty i inne produkty.

W końcu po przygotowaniach i spakowaniu się ruszyliśmy w drogę. Pierwszego dnia wieczorem dojechaliśmy za Poznań kilkadziesiąt kilometrów do granicy z NRD (Niemiecka Republika Demokratyczna). Rozbiliśmy namiot i robiąc sobie z użyciem kochera kolację słuchaliśmy radia (Szarotki). Wiadomości podały, że znowu są niepokoje na morzu Chińskim pomiędzy Chinami i Tajwanem, bo Chiny chcą odzyskać jedną z wysp, która leży w pobliżu ich kontynentu. Ludwik gotowy był pakować się i jechać dalej mówiąc, że może wybuchnąć wojna, a wtedy lepiej już być na zachodzie. Pomimo tego poszliśmy spać, bo byliśmy bardzo zmęczeni.

Rano ruszyliśmy do granicy w Słubicach, ale nie mając wschodnio-niemieckiej waluty po drodze kupiliśmy 10-litrową bańkę i zatankowaliśmy ją benzyną, żeby przejechać przez NRD bez kupowania paliwa. Posiadając paszport na kraje Europy można było wtedy przekraczać granicę do Berlina Zachodniego, ale planowaliśmy zrobić to powrotną drogą. W NRD pojechaliśmy przez Berliner Ring do Oranienburga a następnie na północ przez Neustrelitz, Neubrandenburg, Greifswald, Stralsund do portu Sassnitz na wyspie Rugia. Jak było do przewidzenia nie starczyło nam paliwa i musieliśmy zatankować 10l na stacji benzynowej za tabliczkę czekolady i paczkę papierosów Belweder.

W porcie zastaliśmy szwedzki prom Trelleborg kursujący do portu o tej nazwie. Podczas kupowania biletów miny nam zrzedły, bo za 3 bilety i motocykl zapłaciliśmy połowę naszych zasobów dewizowych. Po przekroczeniu pierwszy raz w życiu granicy („żelaznej kurtyny”)

zaokrętowaliśmy się stawiając nasz wehikuł wśród ładnych aut zachodnich marek i zaczęliśmy zwiedzać statek. W sklepach na promie były różne wspaniałe towary, których nie oglądaliśmy w Polsce. Podróżni byli elegancko ubrani a w powietrzu rozchodził się zapach dobrej kawy i cygar. Następnie przebywaliśmy na pokładzie, bo pogoda była słoneczna a morze spokojne. Podróż trwała około 3 godzin i po południu dobiliśmy do Trelleborga.

Zjeżdżając z promu przeszliśmy przez kontrolę paszportową, kontroli celnej praktycznie nie było. Zjechaliśmy od razu na lewą stronę drogi, bo w Szwecji obowiązywał nadal ruch lewostronny. Pojechaliśmy na pobliski kemping i rozbiliśmy namiot. Było późne popołudnie, nadal słoneczna pogoda, brak wiatru, cisza i spokój. Po trudach podróży odpoczywaliśmy. Słychać było tylko pokrzykiwania mew latających nad bliskim morzem. Ta cisza i spokój skłoniły mnie do rozważań – w Polsce walki bratobójcze, umacnianie się „władzy ludowej”, dominacja jednej komunistycznej partii z KC na czele, ciągłe braki w zaopatrzeniu itd., a tutaj – królestwo, jest król, postać znana mi tylko z historii, państwo neutralne, dostatek – na kempingu czystość, na zewnątrz rury z nierdzewnej stali i krany z zimną i ciepłą (!!!) wodą, w ubikacji jest papier toaletowy, zastanawiałem się czy to jest rzeczywistość czy mi się tylko wydaje? W końcu zmęczeni poszliśmy spać, bo rano czekała nas dalsza droga.

Rano ruszyliśmy w kierunku Malmö i Göteborga. Na początku cały czas powtarzałem sobie, że pierwszeństwo mają ci z lewej strony i muszę ich puszczać na skrzyżowaniach. W okolicy Landskrony zatankowaliśmy paliwo i skorzystaliśmy z toalety. Ja przed myciem rąk zdjąłem złoty sygnet, który na drogę dała mi Mama z myślą, że jak nam zabraknie pieniędzy to złoto można wszędzie sprzedać. Jechaliśmy nadal na północ i w pobliżu Helsingberga (około 30min jazdy) zorientowałem się, że sygnet zostawiłem w toalecie. Wracaliśmy w pobliże Landskrony z mieszanymi uczuciami – podobno w Szwecji nie ma kradzieży, ale czy to prawda? W końcu dojechaliśmy do tej stacji benzynowej i ja szybko wszedłem do toalety, patrzę a na umywalce sygnet leży tam gdzie go zostawiłem.

Ruch był spory i niewątpliwie z toalety korzystało sporo osób, ale nikt sygnetu nie ruszył. Utwierdziło mnie to, że jesteśmy w niezwykłym kraju.

Jadąc nadal do Göteborga zrobiliśmy krótką przerwę dla wypoczynku. Pomyśleliśmy, że warto do motocykla przymocować polską flagę, żeby zwrócić uwagę ewentualnym polskim emigrantom na naszą grupę turystyczną. Z przodu motocykla przy lampie był tylko proporczyk PTTK, dlatego z tyłu na skosie kosza przymocowaliśmy dość dużą dobrze widoczną polską flagę. Tak udekorowani jechaliśmy dalej na północ. Podczas jazdy zauważyłem coraz gorszą pracę sprzęgła objawiającą się ślizganiem przy szybszym dodawaniu gazu. Znając dobrze budowę tego silnika zmartwiłem się czy w ogóle dojedziemy

do Göteborga i zdawałem sobie sprawę, że wytarły się okładziny tarczy sprzęgła i konieczna jest ich wymiana. Delikatnie dodając gazu w końcu dotarliśmy do Göteborga.

Zaparkowaliśmy motocykl w pobliżu stacji benzynowej i zastanawialiśmy się nad naszym przyszłym losem. Tym razem ja byłem szybszy w decyzji od Ludwika. Znając dobrze budowę tego motocykla, odkręciłem i wyjąłem wałek napędowy, zdemontowałem skrzynię biegów, odkręciłem docisk ze sprężynami i wyjąłem tarczę sprzęgła. Moja wstępna diagnoza potwierdziła się, okładziny tarczy sprzęgła były całkiem zużyte i należało je wymienić, a najlepiej byłoby kupić nową tarczę.

Gdy zastanawialiśmy się co mamy robić, podszedł do nas młody Szwed i doradził, żebyśmy zostawili ten motocykl, kupili tanio od niego podobny, przykręcili kosz i podróżowali dalej. Ponieważ mieszkał blisko oglądaliśmy ten motocykl - BMW R51, 500cm³, górnozaworowy. Motocykl był w dobrym stanie, nie miał tylko akumulatora. Chciał on 100 koron (wtedy około 20\$), więc decyzja była szybka i kupiliśmy ten motocykl dla Ludwika. Nalaliśmy benzyny do zbiornika, zamontowali akumulator od mojego motocykla i przyjechaliśmy nim na stację benzynową. Nie planowaliśmy wymiany motocykli tylko reperację mojego. Przez zakup drugiego motocykla nasz budżet dewizowy był mocno nadszarpnięty, ale zostało jeszcze trochę pieniędzy na kupno tarczy sprzęgła.

Okazało się, że tarczy do motocykla BMW (produkcji wojennej) nie można było kupić, ale pasowała do niego tarcza od samochodu Volkswagen. Zapłaciliśmy za nią 25 koron co spowodowało, że nasz budżet całkiem zmałał. Pomimo niepowodzeń wziąłem się szybko do pracy i zamontowałem nową tarczę sprzęgła do motocykla.

Po uruchomieniu motocykla powstał nowy problem, okazało się, że można było nim jeździć, ale okładziny tarczy były zbyt grube i nie można było wysprzęglać. Tego nie dało się wcześniej przewidzieć a było to bardzo duże utrudnienie. Na szczęście skrzynia biegów w tym motocyklu jest mocna i wytrzymała i jak tylko się ruszy, to operując obrotami silnika można zmieniać biegi bez używania sprzęgła. Nie mieliśmy innego wyjścia tylko jechać dalej, zmieniając sposób jazdy – tylny pasażer musiał trochę popchnąć stojący motocykl a potem ja już zmieniałem biegi. W praktyce wyglądało to tak, że dojeżdżając do skrzyżowania na czerwonych światłach ja przełączałem skrzynię biegów na luz pomiędzy 1 i 2 biegiem. Jak światła zmieniały się na żółte lub zielone, to tylny pasażer pchał trochę motocykl i ja wtedy wrzucałem jedynkę a potem już dalsze biegi.

Nieprzewidziane usterki techniczne zatrzymały nas na kilka dni w Göteborgu a nasze zasoby dewizowe zmniejszyły się prawie do zera. Jednakże mieliśmy szczęście dzięki fladze - na ulicy zatrzymali nas Polacy emigranci zainteresowani naszą podróżą, a co ważniejsze także

naszymi towarami. Sprzedaliśmy im za dobrą cenę 2 aparaty fotograficzne, które uważane były za rosyjskie kopie aparatów firmy Leica. Oprócz pieniędzy dostaliśmy zegarek i zapalniczki w kształcie pistolecików firmy Fly-Corona. Radio Szarotka poszło „patriotycznie” bez zysku - za równowartość ceny w kraju.

Pomogli nam także „załatwić” sprawę motocykla Ludwika – jeden z nich w Ratuszu formalnie darował ten (kupiony) motocykl Ludwikowi sporządzając oficjalny Akt Darowizny co pozwalało legalnie wywieźć go ze Szwecji. Co równie ważne, umówiliśmy się, że Ludwik zostawi ten motocykl u nich w Göteborgu, a zabierzemy go jadąc z powrotem z Norwegii.

Uzupełniliśmy już wzmocniony budżet sprzedając kilka butelek spirytusu w porcie tego miasta – jako studenci z Wielkiej Brytanii... Pozostało nam jeszcze kilka butelek wódki, które trzymaliśmy albo na sprzedaż (handel alkoholem był karalny...) lub raczej na podarunki dla osób, które by nas do siebie zaprosiły. Wzmocnieni finansowo ruszyliśmy ochoczo na północ do Oslo.

W dobrym nastroju pełni energii dojechaliśmy do granicy Szwecji z Norwegią. Stanowią ją fiord Svinesund a nad nim przebiega most o tej samej nazwie. Po przejechaniu mostu zmieniliśmy pas drogi, bo w Norwegii obowiązywał ruch prawostronny. Jadąc nadal na północ, już niedaleko do Oslo zatrzymaliśmy się w ładnej okolicy z decyzją wypoczynku. Rozbiliśmy namiot w lesie nad jeziorem i biwakowaliśmy poza terenem kempingowym co raczej jest rzadkością w tych krajach. Pamiętam, że wtedy jedliśmy szprotki z puszki i mleko w proszku a właściwie proszek mleczny, bo nie chciało się nam gotować wody. Na drugi dzień rano jeszcze przed śniadaniem powstał pomysł, żeby się wykąpać w jeziorze i popłynąć do pobliskiej wyspy. Wspominam o tym dlatego, że do wyspy dopłynęliśmy, natomiast z powrotem miałem duże kłopoty – byliśmy na czczo, wyczerpani podróżą, nie bardzo wyspani (we trzech w dwuosobowym namiocie) a poza tym było tam już chłodniej. Pomimo, że dobrze pływam, to ledwo wróciłem odpoczywając kilka razy w pozycji na plecach. Pomyślałem wtedy, że nie wszystkie nasze pomysły są mądre i należy je realizować...

Tego dnia dojechaliśmy do Oslo. Zwiedzając miasto widzieliśmy Ratusz, słynny Park Vigelanda w którym jest 212 rzeźb z kamienia i brązu przedstawiających prawie 600 często nagich postaci ludzkich, Muzeum Łodzi Wikingów, słynną skocznię narciarską Holmenkollen, Pałac Królewski, i inne atrakcje.

O odwiedzeniu nauczycielki, która nas zaprosiła nawet nie myśleliśmy. Myśleliśmy natomiast jak zdobyć korony norweskie, których nie mieliśmy. Wybraliśmy się do sklepu filatelistycznego, w którym chciałem ewentualnie sprzedać swoją kolekcję znaczków. Właściciel sklepu rzucił okiem na mój klaser i pokazał nam kilka swoich klaserów z

nowiutkimi (nieostęplowanymi) znaczkami z całego świata oferując nam ich kupno. Miny nam zrzedły, bo moja kolekcja to makulatura w porównaniu z jego ofertą.

Nie dawaliśmy jednak za wygraną i próbowaliśmy sprzedać wódkę w pobliskim porcie. Zrezygnowaliśmy, bo oferowano nam ½ ceny jaką dostawaliśmy w Szwecji. W Norwegii można było płacić także szwedzkimi koronami, co pozwoliło nam na tankowanie paliwa i dalszą podróż. Już od jakiegoś czasu pogoda się zmieniała na niżowo – deszczową. Myśmy jednak kontynuowali podróż tym razem na zachód w kierunku Bergen. Deszcz zaczął padać w sposób ciągły i podróżowanie motocyklem było raczej przykrością niż atrakcją, a poza tym był to teren górski, geograficznie już na północy i pomimo pory roku było chłodno. Zgodnie zdecydowaliśmy, że nic tu po nas i wracamy do Szwecji.

Znana nam już powrotna droga mijiała bez specjalnych przygód. Przyjechaliśmy ponownie do Göteborga i od naszych znajomych Polaków emigrantów odebraliśmy motocykl Ludwika. Dokupiliśmy do niego nowy akumulator, ponieważ jego własny coś wysiadał. Wracając dwoma motocyklami na południe jeszcze nie wiedzieliśmy, że w motocyklu Ludwika prądnica nie ładuje i jego silnik pracuje tylko na prądzie z akumulatora. Ja podejrzewałem, że może zużyły się szczotki w prądnicie, ale nie miałem chęci na kolejne „dłubanie” w silniku. Ludwik jechał „na samym akumulatorze”, co wystarczało na 2 – 3 dni jazdy, nawet używając okresowo oświetlenia. Z tym problemem technicznym poradziliśmy sobie w prosty sposób – jak jemu już całkiem „wysiadał” akumulator, to zamienialiśmy w motocyklach akumulatory i ja jadąc ładowałem jego wyładowany akumulator. W taki sposób dojechaliśmy do Malmö, gdzie zaplanowaliśmy dłuższy pobyt. W Malmö biwakowaliśmy na kempingu wypoczywając po sporych trudach dotychczasowej podróży. Patrząc jak małe zahartowane szwedzkie dzieci kąpią się w morzu, myśmy woleli raczej obserwować, bo woda dla nas była zbyt zimna. Na kempingu przebywaliśmy około 2 tygodni rzadko wyjeżdżając do miasta. Zastanawiało nas dlaczego Szwedzi tak śmieją, bo przed namiotami zwłaszcza rano leżały kupki śmieci. Wytłumaczono nam, że jest to celowe, ażeby ułatwić personelowi kempingu sprzątanie. Nawiązaliśmy znajomości z sąsiadującymi turystami i zachowywaliśmy się już swobodnie, bez kompleksów.

Przyłączył się do nas Holender, syn profesora filologii z Rotterdamu, który mówił, że jego ojciec włada 20 językami a on sam zna 8 języków. Podróżował autostopem i jak dowiedział się, że będziemy jechać przez Kopenhagę, obiecał, że pokaże nam to miasto, bo świetnie go zna, a ponadto poinformował, że ma tam znajomą. Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. Zorientowawszy się, że posiadając szwedzką wizę tranzytową już dawno

powinniśmy opuścić ten kraj, zmierzaliśmy do portu na prom do Kopenhagi już dwoma motocyklami i razem z Holendrem.

Wjeżdżając na prom kontrola paszportowa naszego motocykla z Holendrem była szybka i raczej formalnością. Ludwik w ogóle nie miał kontroli paszportowej, bo jego motocykl miał szwedzkie numery. Podróż trwała kilkadziesiąt minut, pogoda była znowu słoneczna i cały czas widzieliśmy brzegi Danii. Po dobieciu do portu w Kopenhadze kontrola paszportowa była podobna jak w Szwecji, a na Ludwika tylko machnęli żeby jechał dalej.



W Kopenhadze

W ten sposób znaleźliśmy się w Kopenhadze, w której przebywaliśmy kilka dni rozbijając namiot na kempingu w środku miasta. Zwiedziliśmy obiekty turystyczne jak park Tivoli, syrenkę w porcie i inne znane miejsca. Zainteresował mnie szczególnie budynek giełdy, ponieważ w owym czasie pojęcia nie miałem co to jest giełda i co tam się dzieje w tym budynku. W ogródku kawiarni w parku Tivoli mieliśmy sympatyczne, ale krępujące zdarzenie, bo jak z Ludwikiem siedliśmy przy stoliku celem zrobienia zdjęcia, to natychmiast pojawiła się kelnerka z pytaniem co zamawiamy... Zdjęcie jednak zrobiliśmy i mam je do dzisiaj.

Któregoś dnia przygotowaliśmy specjalnie kosz motocykla (zbędne rzeczy umieściliśmy w namiocie), ażeby było wygodne miejsce dla znajomej Holendra, podjechaliśmy dwoma motocyklami po nią i pojechali potańczyć do Międzynarodowego Klubu Studenckiego.

Następnego dnia byliśmy przez jej rodziców zaproszeni do domu na obiad. I tu był problem, bo nie bardzo mieliśmy się w co ubrać. Nasze „motocyklowe” stroje oczyściliśmy i przyozdobili czym się dało. Obiad był domowy, rodzinny i znakomity, po tylu dniach jedzenia dań z kochera lub nawet bez niego (szprotki z mlekiem, sic!). Była to kulturalna duńska rodzina, córka studiowała filologię i przy stole rozmawiano w kilku językach a nasz Holender posługiwał się rzeczywiście 8 językami. Podczas obiadu zauważyłem po raz pierwszy sposób jedzenia w niektórych krajach, z którym spotkałem się potem w życiu, że te same półmiski krążą aż do ich opróżnienia. Nie chodzi tu o „dokładanie” poszczególnych pokarmów, ale o zjedzenie wszystkiego co przygotowano. Obiad był kilkudaniowy, a po deserze zostaliśmy zaproszeni do salonu na koniak i palenie cygar.

Śmieszne zdarzenie rozweseliło wszystkich, bo jak zaserwowano nam wysokiej klasy koniak, to zamiast smakować go i pić powoli, któryś z kolegów wypił go jednym haustem tak jak się pije wódkę. Biesiadujący ze śmiechem analizowali czy jest to sposób picia koniaku w Polsce. Z cygarami było równie ciekawie, bo nikt z nas jeszcze cygar nie palił i nie wiedział o sprawdzaniu jakości przez „trzeszczenie” przy uchu, obcinaniu końca specjalnymi „nożyczkami do cygar” i wreszcie, że dymem z cygar się nie zaciąga tak jak papierosami. Niezależnie od braku umiejętności przygotowania cygar do palenia, samo palenie na początku powodowało u nas kaszel pomimo, że paliliśmy papierosy. Ale my także umieliśmy się znaleźć, ponieważ w rewanżu wręczyliśmy gospodarzom butelkę oryginalnej polskiej wódki, która była stosownym prezentem do okoliczności.

Po opuszczeniu Kopenhagi jechaliśmy na południe przez wyspę Zelandię do miasta portowego Gedser. Prom do Warnemünde niedaleko Rostocku mieliśmy po południu. Do portu Warnemünde w NRD dopłynęliśmy wieczorem. Dało się wyczuć, że jesteśmy znowu w „strefie komunistycznej”, bo port był obstawiony żołnierzami z karabinami na ramionach.

Po przejściu kontroli paszportowej, podczas kontroli celnej zaczęły się kłopoty. Celnicy nie wiedząc, że znamy język niemiecki rozmawiali między sobą, że *„prawdopodobnie motocykl został przez nas skradziony, a jeżeli nawet nie, to trzeba dla zasady dać Polaczkom po kolanach ...”*. Na to Ludwik płynnym niemieckim powiedział, *„że oni mogą nam skoczyć...”*, a motocykl nie został skradziony, bo ma wszystkie potrzebne dokumenty. Jedynym ich obowiązkiem jest dopilnować, żebyśmy tego motocykla nie sprzedali w NRD.

Oni niechętnie, ale się zgodzili i zakończyli kontrolę celną. Wyjechaliśmy z portu w kierunku Rostocku podejmując decyzję, że dalej będziemy jechać nocą.

Przez NRD podróżowaliśmy w „oszczędny” sposób – żeby oszczędzić paliwo ja jechałem swoim motocyklem z Bogdanem w koszu a na lince z tyłu ciągnąłem Ludwika na jego motocyklu przy niepracującym silniku. Posiadając jeszcze trochę dewiz jechaliśmy z planem, żeby wpaść do Zachodniego Berlina i kupić kilka tanich zegarków tzw. „lipek” na sprzedaż w Polsce. Podczas jazdy na południe przez NRD nocą zdarzyły się dwie niemiłe sytuacje. Za Rostockiem w leśnym terenie wyskoczyła na drogę duża sarna i musiałem silnie hamować.

Drugie zdarzenie miało miejsce nad ranem po długiej jeździe w nocy. W pewnym momencie przy prędkości około 80km/h poczułem silne szarpnięcie i zobaczyłem, że zjeżdżamy z drogi na prawo, prosto na grube drzewo. Odbiłem silnie w lewo zahamowałem i stanęliśmy. Analiza sytuacji wykazała, że prowadząc motocykl zasnąłem i zacząłem wolno zjeżdżać w prawo. Ludwik z tyłu zorientował się i silnie przyhamował co spowodowało szarpnięcie mojego motocykla i obudziłem się. Dokładna analiza przemawiała za tym, że prawdopodobnie zginąłby Bogdan, bo kosz uderzyłby w środek drzewa. Było to jedyne moje zaśnięcie za kierownicą motocykla. Zdarzyło mi się jeszcze dwa razy zasnąć za kierownicą samochodu, ale opiszę to w innych miejscach.

Zdecydowaną decyzją było przerwanie podróży rozstawienie namiotu i wyspanie się, co natychmiast zrealizowaliśmy. Po wyspaniu się podróż kontynuowaliśmy dalej. W pobliżu miejscowości Oranienburg, gdzie od północy zaczyna się Berliner Ring zatrzymali nas policjanci ze stałej placówki drogowej. Po informacji, że wracamy do Polski, ale chcemy odwiedzić Berlin Zachodni, pomimo posiadania paszportów na całą Europę nie wyrażono zgody i skierowano nas na wschód w kierunku Frankfurtu i Słubic. Wprawdzie moglibyśmy jeszcze spróbować wjechać do Berlina Zachodniego od strony południowego korytarza w Potsdamie, ale musielibyśmy nadłożyć sporo drogi i zrezygnowaliśmy.

Jechaliśmy więc dalej, ale już na wschód i nagle usłyszeliśmy za sobą syrenę policyjnego Wartburga z dwoma policjantami, którzy nas zatrzymali informując, że jazda z drugim motocyklem na miękkim holu jest niedozwolona. Wytłumaczyliśmy im, że jesteśmy biednymi studentami wracającymi do Polski i nie mamy już pieniędzy na paliwo do drugiego pojazdu. Policjanci zastanawiali się co mają zrobić i za chwilę usłyszeliśmy *Warten Sie bitte* – proszę zaczekać i gdzieś pojechali.

Po kilku minutach zobaczyliśmy ich wracających i już z daleka jeden z nich machał 5-litrową bańką z paliwem. Wręczył nam bańkę z podejrzeniem czy ich nie oszukujemy.

Ludwik nalał benzynę do swojego motocykla odpiął hol, uruchomił silnik ku zadowoleniu obu policjantów i ruszyliśmy w dalszą drogę dwoma motocyklami słysząc za sobą *Gute Reise*. Przejechaliśmy około 10km, zatrzymaliśmy się, ja przelałem paliwo do swojego zbiornika, Ludwik podczepił hol i znowu podróżowaliśmy „oszczędną metodą”.

W niedługim czasie dobrnęliśmy do Frankfurtu gdzie granica przebiega na moście nad Odrą. Z pewnym wzruszeniem znaleźliśmy się znowu na Ojczystej Ziemi, ale rzeczywistość ostudziła nieco nasze wzruszenie. Po kontroli paszportowej, celnicy delikatnie zapytali nas czy coś przywozimy, na co Ludwik odpowiedział, że tak – stoi tam na sznurku wskazując drugi motocykl. Reakcja celników była już mniej delikatna, bo stwierdzili, że trzeba będzie zapłacić cło.

Ludwik nie miał przy sobie polskich pieniędzy, dlatego jego motocykl został w Słubicach, a on miał niedługo przyjechać, zapłacić cło i odebrać motocykl.

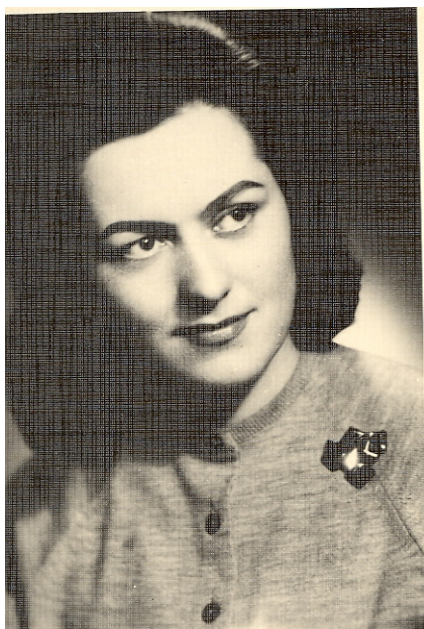
Myśmy cało i zdrowo wrócili do Łodzi i rozjechali się do domów, bo były jeszcze wakacje.

Postowie: *Ludwik w niedługim czasie odebrał motocykl, a Mietek Rokosz zrobił w nim całą nową instalację elektryczną.*

Ludwik jeździł tym motocyklem szereg lat.

Dalszy ciąg studiów medycznych w Warszawie 1958/59

Po wycieczce do Skandynawii wrzesień spędziłem w Nałęczowie. Na inaugurację IV roku pojechałem już do Warszawy. Dziekanat A.M. (mieścił się wtedy przy ul. Filtrowej) zaliczył mi 3 lata studiów w Łodzi i zostałem przyjęty na IV rok. Na listach studentów szukałem grupy, która rozpoczynała ćwiczenia z farmakologii na początku roku, ponieważ program tego przedmiotu w Łodzi był szybciej realizowany niż w Warszawie. Wybrałem grupę 1, która rozpoczynała ćwiczenia z pediatrii w szpitalu przy ulicy Litewskiej. Zgłosiłem się do starosty Barbary Parafińczuk, z prośbą o przyjęcie do grupy, zostałem przyjęty i mile zaskoczony stwierdzeniem, że wiedziała o moim przeniesieniu się do Warszawy. Okazało się (świat jest mały...), że Maciek Malicki pracował w Banku NBP i mieszkał u państwa Borowińskich a oni znali rodzinę Barbary i stąd informacja.



Barbara - zdjęcie do dyplomu

Skład grupy był ciekawy, 5 osób było starszych, już po skończeniu jednego fakultetu – farmaceuta, stomatolog i 3 biologów. Ponadto w grupie było 2 Chińczyków. Wszyscy uczyli się dużo i studia traktowali poważnie. Starosta roku Krzysztof Bielecki był niezwykle sympatyczny i umiejący walczyć o prawa studentów. Wykłady i ćwiczenia miały już charakter czysto kliniczny. Pamiętam wykłady Prof. Benjamin Jochwedsa z kardiologii, które były bardzo ciekawe. Podobnie duży dar dydaktyczny miał Prof. Tadeusz Bulski, który uczył nas ginekologii i położnictwa. Prof. Stefania Jabłońska na wykładach z dermatologii prezentowała dużo przypadków chorób wenerycznych. Pomimo posiadania wojskowej

kategorii „D”, obowiązywało mnie wykszolenie medyczno – wojskowe. Po zakończeniu studiów otrzymaliśmy karty mobilizacyjne na wypadek wojny. Ja miałem się zgłosić na lotnisku Okęcie.

Zaliczenia końcowe w postaci egzaminów czy kolokwium szły mi dobrze i nie powtarzałem żadnego egzaminu. Z ćwiczeniami było różnie. Zaliczałem drugi raz sprawdzian po ćwiczeniach z pediatrii bo nie pamiętałem składu mieszanek dla noworodków. Podobnie na higienie – Prof. Marcin Kacprzak wyrzucił mnie do powtórki, bo na pytanie kiedy stosuje się surowicę przeciw wścieklicznie odpowiedziałem, „że po wystąpieniu objawów”. Pamiętam także reakcję Prof. Stanisława Leszczyńskiego jak podczas zaliczania kolokwium z radiologii na rtg płuc rozpoznałem gruźlicę i „naciek Hassmana” zamiast Assmana. Bardzo się rozweselił i powiedział – Hameryka zamiast Ameryka.

Wykłady i ćwiczenia odbywały się w szpitalach i zakładach A.M. położonych w różnych częściach miasta, jednakże większość z nich koncentrowała się w pobliżu ulicy Oczki. Było to powodem, że wędrowaliśmy grupami studenckimi. W przerwach między zajęciami wpadaliśmy do kawiarni Klubu Medyka na kawę. Było tam pianino i czasem grałem standardy jazzowe dla „rozprostowania palców”. W Klubie organizowano także większe imprezy w postaci zabaw tanecznych, na które ochoczo chodziliśmy. W mniejszych gronach bawiliśmy się także w mieszkaniach i kwaterach prywatnych. Jednym z takich spotkań były



Bal karnawałowy w Domu Medyka

Andrzejkę zorganizowaną przez Mieczysława Śmiałkę w akademiku na Jelonkach. Mieszkania studenckie mieściły się tam w domach sprowadzonych z Finlandii w latach pięćdziesiątych,

dla robotników budujących Pałac Kultury i Nauki. Spotkanie to szczególnie miło wspomina kilka małżeństw, które zawarto po studiach.

Podczas pierwszego roku pobytu w Warszawie mieszkałem w służbowym mieszkaniu ciotki Lewandowskiej (siostry Ojca) w szkole przy ulicy Przybyszewskiego na Bielanach. Jest to dość daleko od śródmieścia, dlatego przywiozłem z Nałęczowa motocykl i jeździłem nim na niektóre zajęcia. Wcześniej nareperowałem tarczę sprzęgła nitując okładziny o prawidłowej grubości. Olgierd od początku pobytu w Warszawie mieszkał w wynajętym pokoju w dzielnicy Koło przy ulicy Bolecha.

Zachęcony wycieczką do Skandynawii chciałem wybrać się w wakacje na praktykę studencką do zachodniego kraju. Niestety oblałem egzamin z angielskiego z powodu trudnego tekstu, w którym były nieznane mi słowa jak *burglar* (włamywacz) i inne.

Zakończenie IV roku nie było łatwe, bo zdaliśmy egzaminy z następujących pięciu klinicznych trudnych przedmiotów: Farmakologia, Dermatologia, Neurologia, Radiologia i Higiena.

Zdecydowaliśmy z Barbarą, że na wakacje pojedziemy motocyklem nad morze i umówiliśmy się z kolegami z grupy - Tadem Rohozińskim i Bożeną Wójcicką, że spotkamy się w Łebie. Wyruszyliśmy z Barbarą motocyklem z koszem i pełnym ekwipunkiem kempingowym. Zamiast kochera, mieliśmy już butlę z płynnym gazem oraz kuchenkę gazową. Planowaliśmy jechać przez Mazury do Krynicy Morskiej i dojeżdżając do Ostrów Mazowiecka zacząłem słyszeć stukanie a potem dzwonienie w silniku. Myśląc, że zbyt często zdarzają mi się awarie motocykla, podjechałem do stacji benzynowej wymienić olej. Przy spuszczeniu oleju zauważyłem w nim kawałki metalu, świadczące o bardzo poważnej awarii.

Uzyskaliśmy zgodę gospodyni pobliskiego domu na rozstawienie namiotu w ogrodzie i zatrzymanie się na jakiś czas. Pracowałem kilka godzin, rozebrałem silnik i wyjąłem wał korbowy. Okazało się, że jedno z łożysk stopy korbowodu jest uszkodzone i wał wymaga regeneracji. Zdecydowaliśmy, że pojedę do Warszawy zregenerować wał a Barbara na miejscu na mnie poczeka. Pojechałem autostopem z wałem w plecaku motocyklem do Warszawy i w znanej firmie „Potajały” w sklepie/warsztacie przy ulicy Polnej prosiłem o szybkie zregenerowanie wału. Pracownicy sklepu po zapoznaniu się z moją sytuacją, zregenerowali wał bardzo szybko i na drugi dzień wracałem z powrotem tym razem autobusem. Po powrocie złożyłem silnik i uruchomiłem go. Trwało to ogółem 3 dni i ruszyliśmy dalej na północ. W związku z awarią zrezygnowaliśmy z pobytu na Mazurach i ruszyliśmy do Krynicy Morskiej.

Był to środek sezonu i było dużo ludzi, a wśród nich Maryla Kocińska z rodziną, bo widziała nas jej siostra relacjonując, że Andrzej jechał na motocyklu z jakąś atrakcyjną dziewczyną z dużym dekoltem. W Krynicy kemping był daleko od morza, a w lesie za wydmiami nie wolno było biwakować. Dlatego po spędzeniu jednej nocy pojechaliśmy na kilka dni do Jastarni, a potem do Łeby.

W Łebie po spotkaniu Tada i Bożeny raz nocowaliśmy u gospodarza w stodole, a następnie rozbiliśmy namiot na wydmach niedaleko morza i przy pięknej pogodzie odpoczywaliśmy wiele dni.

Wakacje w okresie studiów trwają 3 miesiące, dlatego po powrocie do Warszawy, pojechałem na dalszy wypoczynek do rodzinnego domu do Nałęczowa.

Ostatni rok studiów medycznych 1959/60

Ten rok był z wielu względów szczególny, bo był bardzo ciężki z powodu dużej ilości zajęć klinicznych, konieczności zdania dalszych egzaminów dyplomowych oraz szeregu innych zdarzeń niezwiązanych z nauką.

Na początku tego roku akademickiego zamieszkałem na Woli przy ulicy Syreny, w parterowym domu w ogrodzie Dr Rawy, za kościołem Św. Wojciecha. Dzisiaj na tym terenie stoją bloki mieszkalne. Osoby, które mnie odwiedzały dziwiły się, że w środku miasta, które zostało tak zniszczone podczas wojny, może istnieć taka „farma”. Teren był ogrodzony i posiadał zamykaną bramę, dlatego miałem dobre i bezpieczne warunki do trzymania motocykla a z czasem i samochodu.

Olgierd mieszkał nadal na Kole i kolejny rok specjalizował się w rentgenodiagnostyce, w Zakładzie Radiologii Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc, pod Kierunkiem Prof. Krystyny Ossowskiej. Współpracując ze znanym urologiem Prof. Stefanem Wesołowskim pracował także nad swoją pracą doktorską związaną z zastosowaniem uretrocystografii w urologii. W nielicznych wolnych chwilach bywaliśmy razem na różnych imprezach, a także w Klubie Medyka.

Na V roku studiów oprócz dużych specjalności medycznych takich jak Interna, Chirurgia i Pediatria, doszły węższe jak Ortopedia, Choroby Zakaźne, Okulistyka, Laryngologia i Psychiatria. Doszła także Anatomia Patologiczna oraz Medycyna Sądowa. Większość dyscyplin wykładali wybitni specjaliści, że wspomnę tylko Prof. Adama Grucę – Ortopedia oraz Prof. Wiktora Grzywo - Dąbrowskiego - Medycyna Sądowa. Wykłady z ginekologii i położnictwa trwały nadal.

Wśród klinicznych zajęć praktycznych godne podkreślenia były tzw. internaty z położnictwa. Mieszkaliśmy przez dwa tygodnie w piwnicach Szpitala Ginekologiczno-Położniczego przy placu Starynkiewicza będąc 24 godziny na dyżurze. Byliśmy wzywani do wielu przypadków a rodzących było dużo. Piszę o tym, dlatego, że uczestniczyliśmy nie tylko przy wielu prawidłowych porodach, ale i przy porodach z powikłaniami. Szczególnie utkwił mi w pamięci szybki poród przez cesarskie cięcie z powodu zagrożenia życia matki i dziecka. Dziecko po urodzeniu było pobudzane do życia podczas mycia pod kranem i po pierwszym oddechu dziecka wszyscy odetchnęli z ulgą. Poród zakończył się szczęśliwie – matka i dziecko przeżyli. Przypomniałem sobie wtedy dużą i wszechstronną wiedzę Ojca, który przez jakiś czas prowadził także Izbę Porodową w Nałęczowie i którego kilka razy wozilem w koszu motocykla do skomplikowanych porodów na wsi.

Bardzo ciekawe były także wykłady z Medycyny Sądowej, na które chodzili wszyscy studenci, nie tylko dlatego, że był to ostatni trudny egzamin na studiach, ale Profesor rozważał szereg prawniczo-medycznych problemów np. kiedy może dojść do gwałtu a kiedy zbliżenie seksualne nie jest gwałtem, analizował rodzaje błon dziewiczych lub opisywał metody wykrywania różnych sposobów zatruć. Warto podkreślić, że Profesor jako wybitny specjalista brał udział po wojnie w wielu ekshumacjach Powstańców AK w Warszawie.

Podczas krótkich wolnych dni lub świąt, jeździłem do Nałęczowa dzielić się z rodzicami swoimi wrażeniami i osiągnięciami. Zauważyłem, że Ojciec zrobił się jakiś smutny, w rozmowach nawiązywał do swojego odejścia jak gdyby przygotowywał nas do swojej śmierci. Okazało się, że wyczuł w okolicy lewej pachwiny zgrubienie i rozpoznał u siebie raka jelita grubego. Wiedząc, że jest świetnym diagnostą, błąd strach padł na całą naszą rodzinę, że młodego 64 letniego Ojca nam wkrótce zabraknie. Nie chcieliśmy tej myśli do siebie dopuścić, a z drugiej strony wiedzieliśmy, że rokowanie w takich przypadkach bywa niepomysłne. Nie było łatwo Ojca przekonać o konieczności przeprowadzenia dokładnego badania w Warszawie, ale udało się to Olgierdowi. Ojciec z Mamą przyjechał do Warszawy i w Katedrze Radiologii A.M. przy ulicy Chałubińskiego, Prof. Stanisław Leszczyński wykonał u niego badanie radiologiczne dolnego odcinka przewodu pokarmowego. Okazało się, że jest to colon irritabile, tzw. jelito drażliwe a nie żaden rak. Radość nasza była tak duża, że Olgierd bez dogłębnej analizy finansowej „zarządził”, że kupujemy samochód.

Samochód Moskwiacz 407, z górnorozwarowym silnikiem, koloru kawy z mlekiem kupiliśmy na raty. W drugiej połowie spłaty rat, rodzice mieli spore kłopoty finansowe, ale je pokonali i mieliśmy w rodzinie pierwszy samochód osobowy.

Obciążenie bieżącymi zajęciami oraz kolejnymi egzaminami było bardzo duże, do tego stopnia, że często uczyliśmy się także w nocy. Ja co jakiś czas zdawałem kolejny egzamin i coraz częściej myślałem o końcu studiów.

Razem z Barbarą, Leszkiem Prządką, starostą roku Krzysiem Bieleckim i innymi kolegami zdecydowaliśmy, że studia zakończymy uroczystym absolutorium. Za zgodą J.M. Rektora powołaliśmy Komitet Organizacyjny Uroczystości, którego zadaniem było wydrukowanie tradycyjnych dyplomów na papierze czerpanym, sporządzenie metalowego okolicznościowego znaczka, sporządzenie dużego tableau zdjęć Władz, Profesorów oraz absolwentów A.M., indywidualnych albumów, zorganizowanie części oficjalnej w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki oraz balu absolwentów.

W czerwcu 1960r., w rocznicę dziesięciolecia powstania A.M. mieliśmy uroczyste absolutorium w Sali Kongresowej. Ostatniej nocy przed uroczystościami, w mieszkaniu

rodziców Barbary wpisywaliśmy nazwiska powyżej 300 studentów do tradycyjnych pamiątkowych dyplomów, które wręczane były podczas uroczystości. W imieniu studentów zagranicznych przemawiał Chińczyk z naszej grupy Dr Wei. Uroczystości zakończono odśpiewaniem „Gaudeamus igitur”. Wieczorem tańczyliśmy na balu absolwentów, który zorganizowany był w restauracji Kongresowa także w Pałacu Kultury i Nauki.

W 2010r. Prof. Mieczysław Śmiałek z Prof. Krzysztofem Bieleckim (dużo studentów z naszego roku uzyskało tytuł profesora) zorganizowali Zjazd Absolwentów w 50-tą rocznicę



Nad morzem Czarnym

absolutorium rocznika 1955 – 1960. Jako przewodniczący Komitetu Absolutoryjnego z 1960r., korzystając z postępu technicznego, umieściłem w internecie dawne i współczesne materiały dotyczące naszych studiów i przebiegu Zjazdu Absolwentów.

Po uzyskaniu absolutorium, w roku akademickim 1960/61 nie mieliśmy już żadnych zajęć ani wykładów, natomiast od jesieni 1960 do końca czerwca 1961 zdawaliśmy 12 egzaminów z następujących przedmiotów: Choroby Wewnętrzne, Pediatria, Chirurgia, Ginekologia z Położnictwem, Ftyzjatria, Ortopedia, Choroby Zakaźne, Wyszkolenie medyczno - wojskowe, Psychiatria, Laryngologia. Okulistyka i Medycyna Sądowa. Dopiero po zdaniu wszystkich egzaminów i odbycia rocznego stażu przed-dyplomowego otrzymaliśmy dyplomy lekarza medycyny, najwcześniej w 1962r.

Ażeby miło spędzić wakacje w 1960r. zgłosiliśmy z Barbarą w ZSP chęć uczestniczenia w Międzynarodowym Obozie Młodzieży Akademickiej w ZSRS nad morzem Czarnym.

Podróżowaliśmy pociągiem do Moskwy, zwiedziliśmy miasto a potem dalej pociągiem na południe do Tuapse na wschodnim wybrzeżu morza Czarnego. Jest to miejscowość do której podczas II wojny światowej najdalej na południe doszli Niemcy i na wschodzie w Kaukazie zdobyli szczyt Elbrus. Poniżej tej linii - w dzisiejszej Gruzji – wojny, czyli walk z Niemcami nie było.

Obóz był rzeczywiście międzynarodowy, bo skupiał studentów z krajów bloku wschodniego. Nie odczuwaliśmy dużej indoktrynacji ideologicznej, raczej chęć zintegrowania młodzieży z różnych krajów. Czas mijał nam na plaży na opalaniu i kąpaniu się w morzu, na pogadankach i wycieczkach. Podczas 3-tygodniowego pobytu byliśmy autobusami na wycieczkach w Soczi, Suchumi i Batumi. Studenci z innych krajów sympatyzowali z naszymi dziewczynami a my ze studentkami z ich krajów. Było także kilka wieczorków na których należało zaprezentować tradycje kulturalne poszczególnych krajów. My z Polski byliśmy „zbieraniną” studencką i nie bardzo umieliśmy grać ani tańczyć, ale bardzo chcieliśmy zaprezentować nasze tradycje narodowe. Któryś z naszych studentów usiadł do pianina, a drugi zaczął grać na akordeonie, to ja chwyciłem puzon i włączyłem się z grą na tzw. „kapeluszu” – nie mając pojęcia o grze na puzonie mocno dmuchałem w ustnik i przesuwałem suwak puzonu „po uważaniu”. Wyszła z tego kakofonia, ale wszystkim się podobało. Jeszcze lepszy numer zaprezentowaliśmy tańcząc krakowiaka. Ja w życiu nawet w szkole nigdy krakowiaka nie tańczyłem, ale puściłem się w tany z jakąś dziewczyną i „dawałem czadu...”. Śmiechu było dużo, bo nigdy nie wiedziałem w którą stronę mam się zakręcić i tylko słyszałem na sali uwagi „o, *oszibilsja*” (o, pomylił się). Pobyt był sympatyczny i po raz

pierwszy odwiedziliśmy kraj Wielkiego Brata. Powrotną drogę mieliśmy także miłą, pociągiem wróciliśmy przez Kijów, Moskwę do Warszawy.

Staż przed – dyplomowy 1961/62

Staż przed – dyplomowy trwał po 2 i 1/2 miesiąca w czterech specjalnościach. Pediatrię odbywałem w szpitalu przy ulicy Kopernika obok Pałacu Staszica. Pamiętam sprawność manualną chirurgów dziecięcych Dr Bibiany Mossakowskiej oraz Dr Marii Niemirskiej - absolwentki A.M. w Lublinie z roku Olgierda.

Staż w trzech innych specjalnościach odbywałem w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc - Choroby Wewnętrzne w Klinice kierowanej przez Prof. Benjamina Jochwedsa, Ginekologię i Położnictwo w Oddziale kierowanym przez Prof. Jacka Ruszkowskiego, a Chirurgię w Klinice Chirurgii Klatki Piersiowej i Kardiochirurgii kierowanej przez Prof. Leona Edwarda Manteuffela – Szoega.

W każdej ze specjalności uczyłem się praktycznych zagadnień medycyny klinicznej a ponieważ były to kliniki kierowane przez liderów nauki, wprowadzające najnowsze osiągnięcia medycyny światowej, bardzo dużo korzystałem.

Prof. Jochweds miał zasadę spędzania codziennie kilku godzin na salach chorych prowadząc długie obchody, podczas których dokładnie badał pacjentów i analizował przebieg ich leczenia. Była to prawdziwa kopalnia wiedzy w zakresie chorób wewnętrznych.

W Oddziale Ginekologiczno-Położniczym Dr Jan Zieliński uczył stażystów działań manualnych. Wśród innych wykonywanych zabiegów odklejałem własnoręcznie łożysko w macicy po porodzie.

Jednakże najciekawszy był mój staż w Klinice Chirurgii Klatki Piersiowej i Serca kierowanej przez Prof. Manteuffla. Klinika posiadała dwie sale operacyjne, na których praktycznie bez dłuższych przerw odbywały się różne operacje. W dużym zespole oprócz takich doświadczonych kardiochirurgów jak Waław Sitkowski, Andrzej Turski czy Jacek Michałowski, pracowała także Dr Maria Waśniewska, niezwykle doświadczona specjalistka kardiologii. W klinice wprowadzano najnowsze metody chirurgii serca z zastosowaniem krążenia pozaustrojowego (sztuczne płuco-serce), którym szczególnie zajmował się Dr Michałowski.

Niezależnie od zabiegów kardiochirurgicznych, na jednej z sal operacyjnych okresowo pojawiał się Prof. Stefan Wesołowski ze swoim teamem i wykonywał operacje urologiczne.

Między salami krążył Doc. Mieczysław Justyna – wówczas głowa polskiej anestezjologii – który prowadził znieczulenia podczas operacji, co jakiś czas dostrzykując do kroplówek środki nasenne lub przeciwbólowe.

W innych częściach Instytutu Klinika posiadała pomieszczenia doświadczane, gdzie wykonywano operacje na psach ucząc się nowych zabiegów przed zastosowaniem ich u ludzi. Wszyscy byli niezwykle zaangażowani w rozwój nauki i wprowadzanie nowych metod. Był to okres przed przeszczepianiem serc u ludzi (na świecie 1967r., w Polsce 1985r.), natomiast rozwijano wtedy operacje kardiochirurgiczne w głębokiej hipotermii, na otwartym sercu, z zastosowaniem krążenia pozaustrojowego. Śmiem twierdzić, że w owych czasach była to szkoła kardiochirurgii na najwyższym poziomie w Polsce. Prof. Manteuffel uważany jest za twórcę polskiej szkoły chirurgii klatki piersiowej i serca.

Po raz pierwszy wtedy zetknąłem się z wielką nauką na poziomie międzynarodowym, współuczestniczyłem w działalności kliniki i byłem naładowany różnymi pomysłami.

Wiedząc, że podczas stosowania krążenia pozaustrojowego dochodzi do hemolizy krwinek czerwonych nie tylko w oksygenatorze, ale i z powodu stosowania pomp pulsacyjnych (im dłużej trwało krążenie tym rokowanie było gorsze), zastanawiałem się nad możliwością zastosowania pompy wirowej zamiast pulsacyjnej. Rozważałem także możliwość zastosowania takiej pompy jako przyszłego sztucznego serca.

W moim zaangażowaniu pomagał mi Olgierd, który pracował w Zakładzie Radiologii tego Instytutu i który był już specjalistą w zakresie rentgenodiagnostyki. W klinice Prof. Manteuffla znajdowała się aparatura rtg w postaci dwupłaszczyznowego seriografu do wykonywania cewnikowania serca i angiokardiografii – badania naczyń i serca z użyciem kontrastu. Była to podstawowa metoda szczególnie do diagnostyki wad serca. Olgierd opanowując także kardio-radiologię wykonywał i interpretował te badania na użytek kliniki. Ja ucząc się pomagałem mu w tych badaniach.

U 9-letniego chłopca angiokardiografia wykazała wadę w postaci prawostronnego położenia serca, otworu między-przedsionkowego i nadciśnienia płucnego.

Z zastosowaniem krążenia pozaustrojowego wykonano operację serca i zamknięto ubytek. W jakiś czas po operacji chłopiec zmarł wśród objawów niewydolności krążenia.

Pozwolono wykonać mi sekcję, podczas której stwierdziłem dodatkową wadę w postaci wrodzonego braku żyły głównej dolnej. Wada została udokumentowana zdjęciami rtg pośmiertnego preparatu narządów wypełnionych kontrastem. Przypadek został opisany i opublikowany, jako moja pierwsza praca naukowa, współautorska z bratem. Ma ona nie tylko charakter kazuistyczny, ale i znaczenie praktyczne, ponieważ wykryta wada przed operacją wpływa na taktykę połączeń cewników sztucznego płuca-serca z układem krążenia pacjenta.

Zdarzały się również chwile dużych stresów. Jednym z nich było dyżurowanie wraz z pielęgniarką w sali pooperacyjnej przy młodej dziewczynie, po niedawnej operacji wady

serca, z zastosowaniem krążenia pozaustrojowego. Ja jako lekarz stażysta czuwałem nad stanem tej pacjentki, która niedawno się wybudziła po zabiegu operacyjnym. Mieliśmy napisaną długą listę czynności i leków, które w odpowiednim czasie należało jej podawać. Nadszedł czas podania jej środka przeciwbólowego Dolantyny. Siostra stosunkowo młoda pobrała do strzykawki Dolantynę i wstrzykiwała ją do gumowego łącznika dożylnego drenu kroplówki. Zauważyłem, że podczas wstrzykiwania pacjentka blednie z objawami spadku ciśnienia tętniczego i zaburzeniami oddychania. Natychmiast zrobiłem alarm i z pobliskiej sali operacyjnej przybyła Dr Waśniewska i Dr Werner, którym powiedziałem co się stało. Dr Waśniewska niezwykle spokojnie nabrała do strzykawki Cardiazol i powoli wstrzykiwała go dożylnie. Podczas wstrzykiwania pacjentka jakby wracała z tamtego świata, ciśnienie tętnicze wzrosło do wartości prawidłowych a zaburzenia oddychania minęły. Dr Waśniewska podziękowała mi za wyjaśnienie i szybką reakcję.

Jak moje ciśnienie tętnicze także wróciło do normy, to doszedłem do wniosku, że medycyna to nie tylko sztuka, ale i nauka... i przeanalizowałem zdarzenie. Okazało się, że młoda pielęgniarka była podobnie niedoświadczona jak ja i zamiast domięśniowo, podała Dolantynę dożylnie. Środki przeciwbólowe podawane dożylnie działają nasennie i pacjentka w sposób niezamierzony „otrzymała dodatkową narkozę”. Wstrzyknięty Cardiazol działał odwrotnie, poprawił jej krążenie i wybudził ją. Pan Bóg czuwał nad pacjentką i nade mną, że szybko zareagowałem, ponieważ pacjentka przeżyła okres pooperacyjny i wyzdrowiała. Od tamtego czasu nigdy w życiu nie podawałem Dolantyny dożylnie.

Życie po otrzymaniu dyplomu lekarza

Po pięciu latach studiów i zaliczeniu szóstego roku w postaci stażu klinicznego, 11 maja 1962r. otrzymałem dyplom lekarza medycyny. Stanowił on dowód ukończenia szkoły wyższej, uprawniał do ubiegania się o stopień naukowy doktora oraz o prawo wykonywania zawodu.

Już na IV roku studiów podczas zajęć z radiologii, nestor i twórca polskiej radiologii Prof. Witold Zawadowski namawiał mnie, żebym po studiach zajął się zastosowaniem izotopów promieniotwórczych w medycynie, bo to jest nowa dziedzina, przed którą jest wielka przyszłość. Podczas gdy ja kończyłem studia, Dr Jan Doroszewski przyszły profesor, syn znanego profesora polonistyki, autora Słownika Polskiego Prof. Witolda Doroszewskiego, w latach 1958-59 przebywał w Instytucie Gustave Rossy w Villejuif pod Paryżem i w innych ośrodkach francuskich, studiując zastosowanie izotopów w medycynie. Po powrocie stworzył jeden z pierwszych w Polsce Zakład Radioizotopów w Katedrze Radiologii Lekarskiej A.M. w Warszawie. Zdecydowałem się rozpocząć pracę w tym Zakładzie, ale nie było to łatwe.

Przyczyną był brak mojego stałego zameldowania na terenie miasta Stołecznego Warszawy. Pomimo, że urodziłem się w tym mieście, to dla mnie jako przybyłego z Nałęczowa, Warszawa była miastem zamkniętym. Barbara żartowała sobie ze mnie, że „jestem elementem napływowym”. Stałe zameldowanie było konieczne nie tylko dla otrzymania prawa wykonywania zawodu na tym terenie zatrudnienia, ale i możliwości zapisania się do Spółdzielni Mieszkaniowej. Było to charakterystyczne dla różnych ustaw i zarządzeń w PRL-u. Ażeby otrzymać zgodę na stałe zameldowanie, trzeba było mieć mieszkanie, a żeby mieć mieszkanie (zapisanie się do Spółdzielni Mieszkaniowej) to trzeba było mieć stałe zameldowanie.

O etacie akademickim nie było mowy, ponieważ etaty te posiadało tylko kilku starszych asystentów, dlatego pomimo braku stałego zameldowania w Warszawie, po dłuższych staraniach uzyskałem zatrudnienie w postaci stypendium SDL-u (Studium Doskonalenia Lekarzy). Ponadto z Ministerstwa Zdrowia uzyskałem zgodę na rozpoczęcie specjalizacji I^o bez odbywania stażu podyplomowego, co zrekompensowało mi rok życia po nie dostaniu się na studia medyczne zaraz po maturze. Jako stypendysta SDL-u pracowałem tylko kilka miesięcy, ponieważ uzyskałem kolejne zatrudnienie w postaci studiów doktoranckich Polskiej Akademii Nauk, które obligowały do zrobienia doktoratu podczas 4 lat. Pomimo pracy w Zakładzie Radioizotopów przez 7 lat, etatu akademickiego nie otrzymałem.

Po długich staraniach udało się w końcu 1963r. uzyskać zgodę na stałe zameldowanie. Jednym z uzasadnień konieczności zameldowania mnie w stolicy było stwierdzenie w decyzji czynników wyższych, że „specjalistyczny charakter pracy z izotopami promieniotwórczymi i posiadane kwalifikacje mają doniosłe znaczenie dla wykorzystania energii jądrowej jak również zagadnień obrony przeciwoatomowej, dlatego jest on pracownikiem niezbędnym na terenie Warszawy”.

W międzyczasie Olgierd ożenił się z Bogusławą Benendo, lekarką, która specjalizowała się w radiologii. Po ślubie zamieszkał w jej mieszkaniu, co pozwoliło mi wprowadzić się do wynajmowanego pokoju, który zajmował na Kole. Dzięki staraniom ciotki Lewandowskiej zostałem zapisany także do Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowo-Budowlanej i po 4 latach oczekiwania w 1966r. otrzymałem do zamieszkania i spłacenia własnościowe 2-pokojowe mieszkanie przy ulicy Grójeckiej.

Praca w Zakładzie Radioizotopów była ciekawa i wielokierunkowa. Ucząc się wykonywałem badania diagnostyczne z zastosowaniem izotopów, prowadziłem zajęcia ze studentami IV roku medycyny, wykłady w szkole techników radiologii, pracowałem nad doktoratem, przygotowywałem się do egzaminu specjalistycznego I^o z rentgenodiagnostyki (wymagane warunkujące dopuszczenie do egzaminu II^o z medycyny nuklearnej), pogłębiałem znajomość języka niemieckiego i angielskiego, publikowałem prace naukowe oraz wygłaszałem referaty na zjazdach i sympozjach naukowych w kraju i za granicą.

W zakresie diagnostyki obrazowej, już w 1962r. mieliśmy w Zakładzie scyntygraf z zapisem fotooptycznym głównie do badań tarczycy, zbudowany przez wybitnie zdolnego lekarza i absolwenta Wydziału Elektroniki Medycznej Politechniki Warszawskiej Dr Aleksandra Stefanowicza. W 1965r. został zakupiony scyntygraf firmy Nuclear Chicago i od tego czasu prowadziliśmy badania wielu narządów.

Wśród szeregu badań diagnostycznych zająłem się szczególnie badaniami czynnościowymi i scyntyografią nerek.

Był to okres pierwszych przeszczepów nerek u ludzi i badaniem z wyboru była renocystografia izotopowa oraz scyntygrafia nerek. Współpracując z Kliniką Chirurgii Prof. Jana Nielubowicza w której przeszczepami nerek zajmował się Dr Wojciech Rowiński oraz z Kliniką Chorób Wewnętrznych Prof. Tadeusza Orłowskiego wraz z jego teamem nefrologów, wykonywałem większość tych badań. Po pewnym czasie klinicyści bardzo cenili dużą wartość diagnostyczną tych badań, dostosowując sposoby leczenia w zależności od ich wyników. Opublikowałem w kraju i za granicą szereg prac naukowych dotyczących diagnostyki izotopowej nerek.

W związku z tematem pracy doktorskiej dotyczącym badań nad mechanizmem znakowania erytrocytów chromem promieniotwórczym (^{51}Cr) i nad wiązaniem chromu z białkami, zbudowałem 2 aparaty – aparat do elektroforezy i radio-chromatograf. W Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN przeszedłem także staż praktyczny dotyczący metod rozdziału związków chemicznych jak chromatografia kolumnowa, bibułowa i elektroforeza z zastosowaniem związków znakowanych izotopami. Ponadto uczestniczyłem w 3-miesięcznym kursie biochemii zakończonym testem, zorganizowanym przez SDL.

Niezależnie od licznych zajęć, dwa razy w tygodniu spotykałem się z Waltherem Dietrichem, rodowitym Niemcem i nauczycielem języka niemieckiego, celem pogłębiania znajomości tego języka. Warto podkreślić, że do 1969r. referaty naukowe na sympozjach za granicą wygłaszałem w języku niemieckim i opublikowałem kilka prac w tym języku.

W międzyczasie Barbara po odbyciu stażu przed-dyplomowego i odebraniu dyplomu zakończyła także staż podyplomowy i pracowała w Przychodni Rejonowej. Urlopy spędzaliśmy najczęściej razem pływając na jachtach na Mazurach lub przebywając nad morzem. Podczas urlopu w 1963r. byliśmy w Jastarni na teoretycznym i praktycznym kursie celem zdobycia patentów - przez Barbarę stopnia żeglarza a przeze mnie sternika śródlądowego i pływaliśmy po Zatoce Puckiej i Gdańskiej na pełnomorskich jachtach kilowych.

W 1964r. wyjechałem na drugą wycieczkę za granicę - do Japonii. Przebieg tej wycieczki oraz wrażenia opisuję obszernie w kolejnym rozdziale.

Na wiosnę 1964r. jechałem tramwajem alejami Jerozolimskimi i rozmyślałem, że prawie 6 lat znamy się z Barbarą, obecnie pracujemy w różnych miejscach i z powodu licznych zajęć spotykamy się rzadko i byłoby mi przykro, gdyby ona z kimś się związała i wyszła za mąż. Pamiętam dokładnie, że jadąc w kierunku Pragi i mijając hotel Polonia, zdecydowałem, że powinniśmy się pobrać. Wyjawiłem moje myśli i uczucia Barbarze i ona się zgodziła. Zdecydowaliśmy, że się pobieramy. Po załatwieniu wszystkich formalnych spraw, poinformowałem pracowników w Zakładzie Radioizotopów, że jutro biorę ślub i w przyszłości pojawię się już jako żonaty. Początkowo sądzili, że żartuję, ale przyjęli to do wiadomości. Osiemnastego kwietnia, 1964r. wzięliśmy ślub cywilny i wierząc, że nic tak nie wiąże jak wspólna praca. Kombinowałem jak tu ściągnąć Barbarę do naszego Zakładu.

Po ślubie zamieszkaliśmy w pokoju na Kole, ale Barbara bywała także w mieszkaniu swoich rodziców przy ulicy Bagatela. Moje plany wspólnej pracy ziściły się i 1 kwietnia 1965r. Barbara rozpoczęła pracę w Zakładzie Radioizotopów jako doktorantka Ministerstwa

Zdrowia. Teraz razem przez 2 lata przyjeżdżaliśmy z Koła do pracy czasem motocyklem a później Moskwiczem.



Z Dr Wartakiem przy naszym Moskwiczu

W 1965r. po wypełnieniu obowiązków zawartych w przepisach i egzaminie z języka obcego, zdałem egzamin uzyskując specjalizację I° w dziedzinie rentgenodiagnostyki.



Wakacje na Helu

W 1966r. otrzymaliśmy klucze do swojego mieszkania w ładnym 13-piętrowym budynku przy ulicy Grójeckiej 19/25 na VI piętrze.

Barbara jako doktorantka zajmowała się diagnostyką izotopową oraz doktoratem wykonywanym również pod kierunkiem Dr Doroszewskiego. Tematyka jej doktoratu dotyczyła rozmieszczenia znakowanych chromem promieniotwórczym (^{51}Cr) komórek limfoidalnych w narządach szczura po allogenicznej transplantacji.

Współpracowała ona także z Dr Wiesławem Grabanem oraz Kliniką Neurologii Prof. Ireny Hausmanowej, wykonując badania przepływu krwi w mięśniach metodą z promieniotwórczym ksenonem (^{133}Xe) w różnych chorobach mięśni.



Kongres Radiologów Polskich (1968r.)

Opublikowaliśmy wspólnie kilka prac naukowych, które ja wygłaszałem na zjazdach (Karlovy Vary, 1968; Kongres Radiologów Warszawa, 1968; Bad Gastein 1969).

Na przełomie 1968/69 Barbara nie prowadziła badań diagnostycznych z izotopami promieniotwórczymi, ponieważ była w ciąży. W 1969r. 14 kwietnia urodził się Paweł i Barbara przebywała na urlopie macierzyńskim.

Ja obroniłem doktorat w 1967r., a Barbara po urlopie macierzyńskim zakończyła czteroletnie studia doktoranckie i pracowała przez dalsze 2 lata w Państwowym Zakładzie Higieny, a swój doktorat obroniła w 1972r., po powrocie z Ameryki.

Wycieczka do Japonii

Był rok 1964, od 2 lat pracowałem jako doktorant PAN-u w Zakładzie Radioizotopów Katedry Lekarskiej A.M. w Warszawie opanowując radiologię a szczególnie diagnostykę izotopową. Pracowałem także nad swoim doktoratem pod kierunkiem Dr Jana Doroszewskiego. Mieszkałem wtedy razem z bratem w wynajmowanym pokoju w dzielnicy Koło. W miejscu pracy wśród starszych kolegów był Dr A. Stefanowicz lekarz medycyny i absolwent Politechniki Warszawskiej, konstruktor pierwszego w Polsce scyntygrafu. Władał on dobrze kilkoma językami obcymi i nadal pogłębiał znajomość języka angielskiego.

Mój brat był oszczędnym i oszczędzającym człowiekiem. W dzieciństwie po otrzymaniu 2 czekolad, ja swoją najczęściej zjadałem, a on połowę odkładał na potem. Później napraszałem się mówiąc „z bratem się nie podzielisz?” i on najczęściej „odpalał” mi część swojego kawałka. W efekcie zjadałem prawie zawsze większą część podarowanych nam słodczy. Podobnie było i w tym okresie – ja wydawałem na bieżąco zarobione pieniądze, a on odkładał.

W międzyczasie od Dr Stefanowicza dowiedziałem się, że Orbis organizuje wycieczkę do Japonii nie rozgłaszając tego specjalnie, bo byłoby zbyt wielu chętnych. Udany studencki wyjazd do krajów skandynawskich w 1958r. zachęcił mnie do odwiedzenia Japonii. Po konsultacji z Matką (wyraziła zgodę mówiąc, że „pieniądze Olgierdowi zwrócimy”) opłaciłem wycieczkę z jego oszczędności informując go po fakcie o zaistniałej sytuacji. Był bardzo niezadowolony i pomimo, że pieniądze zostały mu zwrócone wypominał mi szereg razy w życiu mój niegodny czyn. W owym czasie po dokonaniu opłaty na taką wycieczkę można było wykupić legalnie tylko 10 czy 15\$ i tyle wziąłem ze sobą. Inni uczestnicy (doświadczeni w podróżach za granicę) mieli ze sobą spore sumy, bo ich celem był głównie handel i zarobek, a turystyką zajmowali się przy okazji.

Samolotem LOT-u poleciliśmy do Moskwy lądując na lotnisku Szeremietiewo, a następnie zostaliśmy przewiezieni autobusem na lotnisko Wnukowo zajmując miejsca w dużym sowieckim 4-silnikowym turbodrzutowym samolocie Tu-114. Takimi samolotami Rosjanie latali wtedy bez lądowania nas trasach Moskwa-Hawana na Kubie.

Wylot do Japonii nastąpił późnym wieczorem co jest regułą przy lotach na wschód. Ponieważ leci się zgodnie z kierunkiem obrotu ziemi, to noc trwa bardzo krótko. I rzeczywiście po około 2 godzinach niebo zaczęło się rozjaśniać i za chwilę pojawił się świt. Lot był spokojny, wysoko nad chmurami i trwał około 8 godzin. Widoczne były duże

syberyjskie rzeki Ob, Jenisej i wreszcie zniżając się przelecieliśmy na niedużej wysokości nad rzeką Amur i wylądowaliśmy w Chabarowsku w stolicy Primorskiego Kraju.

Następnie mieliśmy dobrą przerwę w podróży, dzięki czemu mogliśmy zwiedzić to miasto. Wg ówczesnych danych Primorski Kraj miał powierzchnię większą niż Anglia i 1 milion ludności z tego w Chabarowsku, miście wielkością zbliżonym do Lublina mieszkało około 250 tys. ludzi. Zwiedziliśmy miasto i wybrzeże rzeki Amur, w której łowiono bardzo smaczną rybę o nazwie Amur. Jako grupa Polaków podróżujących do Japonii byliśmy niezwykle atrakcją dla tutejszych mieszkańców. Napisano nawet o nas w miejscowej prasie.

Jedno zdarzenie było dla mnie bardzo smutne. Na ulicy spotkaliśmy lekarza polskiego pochodzenia, który był biednie ubrany, ale kilkoro z nas zaprosił do domu na herbatę. W domu wyczuwało się dużą biedę, nie miał nawet 4 jednakowych kubków do herbaty. Poinformował nas, że jest potomkiem Polaka zesłanego na Sybir, że zarabia 95 rubli/miesięcznie i że od szeregu lat chce emigrować do Polski. Jednakże nie może, bo przelot do Moskwy kosztuje 130 rubli, a tylko w Moskwie są stosowne urzędy, w których można złożyć papiery. Załatwienie tego w Chabarowsku lub korespondencyjnie wg niego wtedy nie było możliwe. Dopiero później analizując tragiczną historię Polski, zdałem sobie sprawę, że Chabarowsk był głównym miastem na dalekim wschodzie, z którego odchodziły transporty Polaków dalej na wschód do portów nad wybrzeżem Morza Japońskiego, z których statki ze skazańcami płynęły na Kołymę, a stamtąd zwłaszcza zimą nie było już powrotu.

Nie zdając sobie sprawy, że niedługo i ja znajdę się w takim porcie, jechaliśmy półtorej doby pociągiem trasą trans-syberyjską w kierunku Władywostoku. Po prawej stronie mieliśmy rzekę Ussuri na której w przeszłości rozgrywały się walki chińsko-rosyjskie, dalej wielkie Chiny, a przed nami granicę z Północną Koreą i Półwysep Koreański. Była to jesień, ale jechaliśmy na południe i robiło się coraz cieplej. Ja z pociągu robiłem dużo zdjęć otaczającej nas dalekiej Syberii. Władywostok był wówczas miastem/portem zamkniętym ze względów wojskowych. W końcu dojechaliśmy do portu Nachodka. Poruszenie wśród tamtejszych mieszkańców było duże, pojawili się nawet dziennikarze, żeby opisać podobno pierwszą po wojnie grupę turystyczną z Polski.

Zaokrętowaliśmy się na sowiecki statek Ordżonikidze kursujący na trasie Nachodka-Jokohama. Po krótkim czasie wypłynęliśmy na Morze Japońskie kierując się przez Cieśninę Tsugaru na Ocean Spokojny, płynąc na południe równoległe do wschodniego brzegu Japonii do Jokohamy. Ja nie lubię pływać statkiem (pomimo posiadania patentu śródlądowego sternika jachtowego), ponieważ cierpię na morską chorobę lokomocyjną. Dlatego pomimo spokojnej pogody większość czasu spędzałem na pokładzie. Zachwycałem się po raz



Odplywamy z Nachodki - w głębi Dr Stefanowicz

pierwszy w życiu widokiem towarzyszących nam grup delfinów wykonujących salta po obu stronach statku. Zbliżaliśmy się do brzegów Japonii mijając coraz więcej japońskich statków.

Z tego rejsu pamiętam szczególnie 2 zdarzenia – rozmowę z Japonką, która wracała do domu z Moskwy po studiach o kierunku turystycznym. Po 10 latach spotkałem i gościłem ją w Warszawie, kiedy jako przewodniczka turystyczna przyleciała do Europy z grupą japońskich kobiet.

Ponadto pamiętam spotkanie z japońskim lekarzem. Z tym lekarzem to do dzisiaj nie wiem o co chodziło. Leżąc wieczorem na leżaku na pokładzie zauważyłem dziwnie zachowującego się starszego Japończyka, który patrzył na niebo i gwiazdy (pogoda była bezchmurna), i wykonywał jakieś dziwne gesty jakby się modlił, następnie patrzył na mnie widząc, że mu się bacznie przyglądam. Wreszcie podszedł do mnie i nie znając chyba żadnego obcego języka próbował w łamanym rosyjskim poinformować mnie, że jest japońskim lekarzem i znowu patrzył na niebo, morze i wykonywał dziwne ruchy. Wreszcie wziął mnie za przegub ręki (tak jak się liczy puls) i po chwili zakomunikował, że „*u mnie elektrolitnyj balans niecharoszy*”. Potem odszedł jak czarownik i więcej już go nie widziałem.

Będąc lekarzem długo myślałem, co on może powiedzieć o moim balansie elektrolitowym na podstawie trzymania za przegub ręki, patrzenia na gwiazdy itd. Doszedłem jednak do wniosku, że jest on podobnie jak Chińczycy z narodu o wieloletniej kulturze i nie należy kpić z jego obserwacji gwiazd, przecież oni wprowadzili wiele wschodnich diagnostycznych i terapeutycznych metod jak akupunktura i szereg innych i może patrząc na gwiazdy wiedzą więcej niż my z badań morfologii, opadów OB, elektrolitów itd. Zastanawia mnie tylko na którą gwiazdę należy patrzeć, żeby wiedzieć takie rzeczy...

W końcu do naszego statku stojącego na redzie podpłynęła motorówka straży przybrzeżnej z japońskimi policjantami i celnikami, którzy po trapie weszli na statek. Kontrola paszportowa i celna odbyła się szybko i po krótkim czasie zacumowaliśmy przy jednym z pirsów portu Jokohama. W porcie było dużo statków, ale szczególne wrażenie zrobił na mnie stojący na przeciwko ogromny amerykański statek liniowy „President Line”.



Tradycyjny strój japoński kimono

Pobyt w Japonii był tak zorganizowany, że mieszkaliśmy na statku w kajutach i przez okres tygodnia codziennie wyjeżdżaliśmy na organizowane przez Japońskie Biuro Turystyczne wycieczki do Tokio i w promieniu około 100km od miasta do znanych turystycznie miejscowości. Poza tym kilka razy mieliśmy czas na podróże indywidualne. Wsiadaliśmy wtedy w Jokohamie w pociąg elektryczny do Tokio ażeby zwiedzać to miasto.

Jedna sprawa była dla nas przykra – załoga rosyjskiego statku nie była wypuszczana na ląd i widać było smutek na twarzach kelnerów i innych członków załogi. Statek był obstawiony przez japońską policję i tylko uczestnikom wycieczki zezwalano na swobodne wychodzenie na ląd.

Zwiedziliśmy Tokio, Hakone, okolice góry Fuji-san (najwyższy szczyt Japonii, stratowulkan) i inne miejsca. Byliśmy także na spektaklu tradycyjnego japońskiego teatru Kabuki. Japonią byliśmy zachwyceni m.in. architekturą, postępem techniki, organizacją ruchu

w dużych miastach oraz starą tradycją i kulturą. Podobało mi się praktycznie wszystko, dlatego zrobiłem bardzo dużo kolorowych slajdów i zdjęć.



Świątynia Szintoistyczna



Wycieczka szkolna przy pomniku religijnym

Podczas jednego indywidualnego zwiedzania, pojechaliśmy z Dr Stefanowiczem do Tokio i spacerując po mieście, przed jakąś restauracją spotkaliśmy przedstawicieli załogi statku President Line w osobach maty i telegrafisty. Byli oni wtedy w cywilnych ubraniach a nie w marynarskich mundurach. Rozmawialiśmy o naszych wrażeniach z pobytu w Japonii. Jak oni się dowiedzieli, że jesteśmy z Polski z kraju w strefie komunistycznej, to gorąco i szczerze namawiali nas do zaniechania powrotu, zaokrętowania się na ich statek i płynięcia do Kaliforni celem emigracji. Podkreślali, że sprawy opuszczenia Japonii i przekroczenia granicy USA oni załatwią bez problemu, a na pierwsze miesiące w Ameryce możemy zatrzymać się u rodziny jednego z nich (chyba matki) na dużej farmie w Kaliforni. Piszę o tym dlatego, że o emigracji wówczas nawet nie myślałem, natomiast Dr Stefanowicz później wyemigrował i całe swoje dalsze życie spędził w Ameryce. Dopiero w starszym wieku powrócił do Polski i dokonał tutaj swojego żywota.

Powrót z Japonii był także ciekawy, ponieważ przed odpłynięciem z Jokohamy uaktywniły się osoby mające „ekstra fundusze” i wiedzące jak je pomnożyć. Jestem przekonany, że szereg osób dowiedziało się, że Dr Stefanowicz znakomicie zna się na elektronice i przekazało mu swoje pieniądze wyszczególniając zamówienia. Wiedziałem, że

był on człowiekiem doświadczonym w podróżach zagranicznych, ale nie wiedziałem, że aż tak doświadczonym. Na dwie godziny przed odpłynięciem, w porcie przy pomoście na statek pojawiła się japońska półciężarówka wypełniona pudłami z elektroniką. Po czasie muszę przyznać, że był to genialny pomysł, bo nikt już nie mógł sprawdzić faktycznych cen wytworów elektroniki japońskiej, a Dr Stefanowicz kupował je hurtowo, często na wagę. Ja sam kupiłem sobie radjko tranzystorowe na fale średnie za równowartość 3\$, a jako „biedny” od „ludzi biznesu” dostałem japoński koszyk, który po przyjeździe podarowałem Barbarze. Po rozdzieleniu przez Dr Stefanowicza towarów elektronicznych osobom, które je zamówiły, wracaliśmy tą samą drogą do Warszawy. Już w Moskwie sprzedano część towarów, przy dobrym przeliczniku zarobkowym.

Moja droga do Ameryki

Jest to kraj o nieprawdopodobnych możliwościach. Uważam, że jeżeli ktoś chociażby raz w życiu nie odwiedził Ameryki, to bardzo dużo stracił. W naszej rodzinie do mojego pokolenia nie mieliśmy ani tradycji ani związków z tym krajem. Nasi przodkowie – matki, ojcowie i babki kultywowały związki z Galicją, Austro-Węgrami, Lwowem i Europą (Paryż). Nawet brat mojej matki Mieczysław, Dr nauk prawnych Uniwersytetu Łódzkiego i poliglota odwiedzał tylko kraje europejskie. Z tego powodu do naszego pokolenia w rodzinie nie było tradycji znajomości języka angielskiego, a dominowała głównie znajomość języka niemieckiego i francuskiego. Pomimo geograficznego sąsiedztwa, znajomość języka rosyjskiego była znikoma lub żadna. Dopiero my „wprowadziliśmy” do rodziny język angielski, a częściowo także i rosyjski.

Pierwszy raz do Ameryki wybrałem się w 1971r. a doprowadziły do tego specjalne okoliczności. Wprawdzie już w 1965r. starałem się o stypendium naukowe Mallinckrotda w Saint Louis, ale konkursu wówczas nie wygrałem. W 1969r. specjalne okoliczności związane były z moją sytuacją w miejscu pracy.

W 1968r. odszedł kierownik Zakładu Dr Jan Doroszewski zmieniając swoje zainteresowania z diagnostyki izotopowej na biomatematykę i kontynuował pracę naukową w CMKP (Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego), którego w przyszłości został dyrektorem. Zakład po nim objął Dr Wiesław Graban przygotowujący się do habilitacji. Ja wówczas byłem już specjalistą I stopnia w radiologii, po doktoracie i dobrze opanowałem metodę scyntygrafii narządów, która dopiero była wprowadzana w kraju. Miałem także zgromadzony spory materiał naukowy zwłaszcza w zakresie diagnostyki izotopowej i scyntygrafii nerek, również przeszczepianych u ludzi. Dr Graban był niezadowolony, że moja żona była w ciąży i nie mogła kontynuować badań przepływu krwi w mięśniach metodą klirensu promieniotwórczego Xe-133, co było tematem jego pracy habilitacyjnej.

Ja natomiast już od dłuższego czasu starałem się administracyjnie o możliwość zdawania egzaminu specjalizacyjnego II^o z medycyny nuklearnej, a ponieważ tej specjalizacji jeszcze w Polsce nie było to byłbym pierwszy, który ją wprowadził (zresztą tak się stało). Ponadto pomimo, że nie pretendowałem do stanowiska kierownika zakładu, to miałem już naszkicowaną swoją pracę habilitacyjną.

Dr Graban w tym czasie nie miał jeszcze habilitacji i gdybym zdał egzamin II^o z medycyny nuklearnej, to zostałbym pierwszym w Polsce specjalistą w tej dziedzinie. Habilitację uzyskuje się w jakiejś dziedzinie, dlatego Dr Graban potrzebował też mieć II^o, żeby się móc habilitować w medycynie nuklearnej.

Pamiętajmy, że w 1968r. pojawiły się nie tylko działania antysemityczne (nie miały one żadnego związku z moją osobą czy sytuacją), ale pojawiła się tzw. „rewolucja docentów” – dużo pracowników naukowych wstępowało do PZPR, ażeby politycznie umocnić swoje stanowiska, a ci co już byli członkami partii komunistycznej pretendowali (bez habilitacji) do tytułu profesora. Od tego czasu w treści podpisów i pieczętek pojawiły się różnice: Prof. dr hab. med. i Prof. dr med. (niehabilitowany, ale mianowany m.in. dzięki członkostwu w partii).

Konflikty w miejscu pracy mają swój szczegółowy wyraz. Byłem wówczas w dobrym okresie rozwoju naukowego i publikowałem kilka do kilkunastu prac rocznie. W decydującej rozmowie z Dr Grabanem zapytałem go jak będzie wyglądała nasza przyszła współpraca naukowa? On odpowiedział mi przykładowo, że jak napiszę kolejną pracę naukową to maszynopis przekażę jemu, jako kierownikowi, a on – cytuję dosłownie, bo takie stwierdzenia pamięta się do końca życia – *„zastanowi się co z nim zrobić”* – według mnie – *„dopisać swoje nazwisko, może nawet jako pierwszy autor (!) wyrazić zgodę na publikację (!) wyrzucić do kosza (!)”.*

Poza tym, był jeszcze jeden poważny problem. Węgry w owym czasie produkowali pierwszy scyntygraf, słabej klasy i konstrukcji, który jednakże był preferowany do sprzedaży w krajach RWPG (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej). Dr Graban uparł się, żeby mnie służbowo wysłać na Węgry jako rzeczoznawcę (sic!) m.in. celem wydania opinii o tym aparacie. Ja miałem poufną informację, że on jako specjalista z Polski już wydał wstępną pozytywną opinię o tym aparacie, pomimo że nie był to dobry aparat. Na prośbę, czy mógłbym pojechać razem z inżynierem elektronikiem (pracującym w Zakładzie) celem dokładnej oceny technicznej, odpowiedział negatywnie. Zapytałem go wprost – to jaki cel ma moja wizyta w Budapeszcie? Odpowiedział mi, że przejedziesz się i traktuj to jako wycieczkę. Wyczuwając, że będę musiał negatywnie ocenić węgierski scyntygraf, co może wywołać skandal w „komunistycznej rodzinie” i być może dla mnie bardzo przykre konsekwencje, odmówiłem wyjazdu *„na wycieczkę do Budapesztu”*.

Dr Graban był wzburzony i przekazał o mnie negatywną opinię Prof. Leszkowi Zgliczyńskiemu, Kierownikowi Katedry Radiologii Lekarskiej A.M w Warszawie. Równało

się to z „rozwozem” w ustalonym ustawowo terminie, który w sposób zasadniczy zdecydował o całym moim dalszym życiu!

Prof. W. Zawadowski, który interesował się moimi postępami w nauce i pracy zawodowej, zaprotegował mnie Prof. Mirosławowi Mossakowskiemu, kierownikowi Zakładu Neuropatologii i Pracowni Izotopowej Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN.

Powstał więc dla mnie poważny problem życiowy - muszę odejść z A.M. w Warszawie wprawdzie do Instytutu Polskiej Akademii Nauk co mnie nobilituje ale do skromnej Pracowni Izotopowej III klasy, bez żadnych szans na kontynuowanie diagnostyki izotopowej, którą naprawdę bardzo lubiłem.

Sprawą poważniejszą był problem czy będę mógł się habilitować na podstawie wykonanych przeze mnie izotopowych badań diagnostycznych nerek – materiału naukowego Zakładu Radioizotopów Katedry Radiologii Lekarskiej A.M. w Warszawie.

W tym okresie miałem sporo wydarzeń bardzo ważnych w życiu – urodził mi się syn, po 18 miesięcznych staraniach administracyjnych zbliżał się termin egzaminu specjalizacyjnego II° z medycyny nuklearnej (jesień 1969) i szereg innych spraw.

Skopiowałem cały materiał habilitacyjny (scyntygrafie nerek oraz renocystografie) a oryginalne wyniki badań oddałem Dr Grabanowi, prosząc o podpis na pokwitowaniu, bo wiedziałem, że może on się sprzeciwić mojej habilitacji a nawet posądzić mnie o „przejęcie materiału naukowego”.

Bardzo liczyłem na pomoc w habilitacji Prof. Tadeusza Orłowskiego - człowieka dla którego wykonywałem wszystkie badania nerek, jadąc czasem z aparatami na oddział celem oceny czynności nerki po przeszczepie, a był to okres pierwszych przeszczepów nerek w Polsce. Przez kilka lat byłem „na jego zawołanie” i z własnej inicjatywy dostarczałem mu slajdy scyntygrafii nerek przeszczepionych i innych badań czynnościowych, ażeby mógł ilustrować swoje wystąpienia na licznych sympozjach międzynarodowych. Liczyłem, więc na jego pomoc w habilitacji w roli recenzenta lub chociaż członka komisji wstępnej. Ponieważ pełnił on liczne funkcje m.in. Vice Prezesa PAN, to udałem się do Pałacu Kultury i Nauki i spotkałem się z profesorem.

W niezwykle kulturalny i delikatny sposób poprosiłem go o zapoznanie się z maszynopisem mojej pracy habilitacyjnej, prosząc go o uwagi, komentarz i ewentualnie wyrażenie zgody na przyszłą recenzję lub chociaż zgodę na członkostwo w komisji wstępnej. Jako wdzięczność za wieloletnią współpracę usłyszałem ostrą i zasadniczą odpowiedź, którą będę pamiętał do końca życia: „*Kolego przecież pan wie, że ja mam bardzo dużo obowiązków*”

- *problemy Instytutu Transplantologii, Kliniki, prace w PAN-ie - że ja nie mam czasu nawet dla swoich asystentów a co dopiero dla obcych z innych zakładów ...*”. Czułem się tak jakby mnie ktoś spoliczkował. Przeprasiłem. Podziękowałem. Pożegnałem się i wyszedłem.

Pozostała mi jeszcze jedna nadzieja – Prof. Leszek Zgliczyński, kierownik Katedry Radiologii Lekarskiej A.M. w Warszawie i przyszły rektor, który jako pracodawca już wprawdzie rozwiązał ze mną umowę o pracę, ale pracowałem pod jego kierownictwem ostatnich 7 lat. Nie informowałem go przedtem, że piszę pracę habilitacyjną, bo byłem już na tyle doświadczony, że jak poinformuję go o tym wcześniej, to będzie ze mną „konsultował” tekst następnych 10, a może i 20 lat. Absolutnie się nie myliłem.

Podczas pracy w Zakładzie Radioizotopów Katedry Radiologii Lekarskiej A.M. w Warszawie, przed 1969r. odwiedził mnie lekarz polskiego pochodzenia z Ameryki, zainteresowany poziomem nauki i wiedzy w zakresie diagnostyki i terapii izotopowej. Wówczas jeszcze ani w Polsce (1969) ani w Ameryce (1971), nie była zatwierdzona specjalizacja „medycyna nuklearna”. Zapytał mnie, czy ja czytam czasopismo *Journal of Nuclear Medicine* wydawane od niedawna w USA. Odpowiedziałem, że pierwszy raz słyszę nazwę takiego czasopisma. Ponieważ poświęciłem mu kilka godzin omawiając program zajęć w tej dziedzinie ze studentami 4 roku medycyny oraz metody diagnostyczne i terapeutyczne stosowane w naszym Zakładzie, to on z wdzięczności zobowiązał się zaprenumerować mi to czasopismo. O kosztach nie wspominał, bo pojedynczy numer kosztował kilka dolarów a my wówczas zarabialiśmy równowartość około 25\$ miesięcznie. I rzeczywiście przez kilka lat od niego a potem już z własnej inicjatywy otrzymywałem to czasopismo.

W grudniu 1969r. zdałem jako pierwszy w Polsce razem z Dr Grabanem egzamin specjalizacyjny II^o w dziedzinie medycyny nuklearnej. Ja od szeregu miesięcy dużo się uczyłem, on jak sądzę w ogóle się nie przygotowywał do egzaminu. Prof. Zgliczyński zdecydował, żeby on także zdawał, a ja będę służył jako wyznacznik poziomu odpowiedzi. Obaj zdaliśmy i staliśmy się pierwszymi w kraju specjalistami w tej dziedzinie, a medycyna nuklearna została oficjalnie uznana jako nowa specjalizacja w Polsce.

W otrzymywanym czasopiśmie *Journal of Nuclear Medicine* znalazłem ogłoszenie o stypendium po doktoracie, w dziedzinie medycyny nuklearnej, w Centrum Medycznym Uniwersytetu Alabamy w Birmingham. Dokumenty w postaci dyplomu, prawa wykonywania zawodu, doktoratu, specjalizacji I^o i II^o oddałem do tłumaczenia przez tłumacza przysięgłego, zrobiłem fotokopie i poświadczyłem w Ambasadzie Amerykańskiej. Następnie w październiku 1970r. wysłałem do Birmingham swoje CV i komplet dokumentów, już jako

polski specjalista w dziedzinie medycyny nuklearnej. Pracując w Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN pod kierownictwem Prof. Mossakowskiego, oprócz bieżących obowiązków, uzupełniałem swoją pracę habilitacyjną mając nadzieję, że na jej podstawie będę mógł się habilitować. Starania o stypendium jak również uzupełnianie pracy habilitacyjnej czyniłem za zgodą i pełną aprobatą Prof. Mossakowskiego. W niedługim czasie otrzymałem pozytywną odpowiedź z Birmingham, że przyznano mi stypendium, co uważałem za swój duży sukces i nie tałem tego w środowisku zawodowym.

W tych okolicznościach udałem się do Prof. Zgliczyńskiego z maszynopisem pracy habilitacyjnej i prośbą o zapoznanie się, uwagi i opiekę nad habilitacją w trakcie jej przebiegu. Podczas tego spotkania, nieopatrznie wspomniałem, że właśnie staram się o wyjazd do Ameryki w ramach stypendium po doktoracie i mam nadzieję, że go otrzymam. Profesor wszystkie prośby i informacje przyjął do wiadomości i umówił się ze mną za kilka tygodni.

Podczas następnego spotkania (spotkanie to będę także pamiętał do końca życia) wyjął z szafy maszynopis mojej pracy habilitacyjnej i powiedział: *„Kolego, jak na doktorat to jest wybitna praca, natomiast na habilitację, to się jeszcze nie nadaje. Wiem, że się pan stara o wyjazd do Ameryki, teraz są wprowadzane kamery gamma zamiast scyntygrafów; niech pan pojedzie, opanuje nowsze metody, wróci i wówczas zobaczymy...”*. Czuję się tak jakby mnie ktoś pobił. Jednakże zachowałem przytomność umysłu i swój własny honor, odebrałem maszynopis, pożegnałem się i spokojnie wyszedłem odzyskując zdolność logicznego myślenia dopiero na ulicy.

Tak więc zdecydowałem, że lecę do Ameryki, a ludzi, którzy okazali się tak niemili dla mnie pozostawiłem w głębokiej pogardzie.

Pobyty na stypendium w Birmingham w Alabamie

Jesienią 1969r. przenieśliśmy się do Pracowni Izotopowej Zakładu Neuropatologii, CMDiK (Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej) PAN i zająłem się badaniami doświadczalnymi nad niedotlenieniem i niedokrwieniem ośrodkowego układu nerwowego, przy użyciu związków znakowanych izotopami promieniotwórczymi. Doświadczenia te były ściśle związane z wiodącą tematyką Zakładu i w pierwszym okresie dotyczyły transportu tych związków przez barierę krew-mózg u zwierząt, w warunkach prawidłowych i w patologii. Warto podkreślić wielo-metodyczny charakter tych doświadczeń, bo ilościowe badania izotopowe konfrontowano ze zmianami morfologicznymi mózgow ocenianymi w mikroskopie świetlnym i elektronowym. W badaniach uczestniczył technik Sławomir Januszewski z doskonałą znajomością mikrochirurgii i metod izotopowych. Nasza współpraca była bardzo owocna i trwała przez szereg dalszych lat.

Zmiana miejsca pracy spowodowała zmianę tematyki badań i kolejnych publikacji, które nie miały już charakteru badań diagnostycznych, ale dotyczyły badań doświadczalnych mózgu. Nie mogłem więc kontynuować badań klinicznych a wśród nich szczególnie diagnostyki izotopowej nerek. Maszynopis pracy habilitacyjnej, którą subiektywnie oceniałem wysoko, odłożyłem ad acta, przewidując, że prawdopodobnie nie będę się mógł habilitować na podstawie tego tematu. Miałem rację, ponieważ po 22 latach maszynopis jako pracę niepublikowaną, jedynie dołączyłem do mojego dorobku naukowego podczas procesu administracyjnego związanego z nadaniem tytułu profesora nauk medycznych.

Wiosną 1971r. załatwiałem formalności związane z wyjazdem na stypendium. Wyjazd miał charakter służbowy i sprawy administracyjne (paszport, wiza, bilet lotniczy) załatwiane były przez Biuro Współpracy z Zagranicą PAN.

Kilka dni przed wylotem mieliśmy z Barbarą zaszczyt i przyjemność gościć Prof. Mossakowskiego na pożegnalnej herbatce w naszym mieszkaniu przy ulicy Grójeckiej. Paweł miał wtedy niecałe 2 lata i był lubiany przez Profesora nie tylko dlatego, że był imiennikiem Jego syna.

Pamiętam także pożegnanie z Mamą ostatniego popołudnia przed wylotem, jak siedzieliśmy na balkonie rozmawiając o wielu sprawach - że będzie to mój pierwszy lot na drugi kontynent samolotem, że lecę na południe Ameryki, o którym nie wiele wiemy, tylko że podobno jest tam rasizm, duże plantacje bawełny, czy moja znajomość języka jest wystarczająca do pracy w Ameryce, o sprawach rodzinnych itd. Ogólnie oboje nie wiele wiedzieliśmy o tym kraju. Nie mieliśmy nigdy nikogo z rodziny w USA i podobnie jak z



Pawełek w Kazimierzu (1971r.)



Ela z Pawelkiem i z nami

przekazaniem mi sygnetu przed wyjazdem do Norwegii, Mama podała mi 2 nazwiska znajomych, od których w razie konieczności mogłem uzyskać pomoc – był to Jarosław Hryniewicz i Robert Robaczyński.

Warto przypomnieć, że w tamtych czasach nie było jeszcze bezpośrednich lotów z Okęcia do Nowego Jorku i albo należało jechać pociągiem do Pragi i stamtąd były już bezpośrednie loty do Ameryki lub lecieć z międzylądowaniem np. we Frankfurcie nad Menem. Ja miałem bilet z tą drugą opcją. Byłem już spakowany, co zawdzięczam Barbarze i gotowy do wylotu.

Wreszcie nadszedł dzień 29 maja, 1971r., sobota i zostałem odprowadzony przez rodzinę na lotnisko. Samolotem PLL LOT średniego zasięgu poleciałem do Frankfurtu i po wylądowaniu zakomunikowano nam, że na lotnisku jest strajk i odlot do Nowego Yorku zostanie opóźniony. Po jakimś czasie zajęliśmy miejsca w dużym transkontynentalnym samolocie Lufthansy Boeing 747, popularnie zwanym *Jumbo – Jetem*, który wystartował z dużym opóźnieniem. Lot odbywał się na wysokości ponad 8 tys. metrów w pełnym słońcu, z pięknymi widokami oceanu i statków w miejscach bezchmurnego nieba i trwał około 9 godzin. Podczas lotu słuchałem przez słuchawki amerykańskiej muzyki, a szczególnie utworów śpiewanych przez Franka Sinatrę. Utkwiła mi w pamięci piosenka pt. „*Shadow of your smile*” (Cień Twojego uśmiechu), która korespondowała z dobrym nastrojem i wspaniałymi przeżyciami. Przed zakończeniem lotu wypełnialiśmy karty przekroczenia

granicy, na których trzeba był wpisać m.in. cel podróży i miejsce pobytu w USA. Pomimo opóźnienia wylądowaliśmy na lotnisku Kennedy'ego (JFK) po południu, ponieważ lecąc na zachód „*dzień jest długi*”. Lądowanie było bardzo sprawne i piloci zostali nagrodzeni oklaskami.

Po odebraniu bagażu i przekroczeniu granicy – kontroli paszportowej i celnej, okazało się, że z powodu strajku we Frankfurcie, nie zdążę odlecieć dzisiaj do Atlanty i Birmingham (B-ham). Lufthansa (na koszt firmy) załatwiła mi nocleg w hotelu w pobliżu lotniska i „przebukowała” bilet na następny dzień na lot do B-ham. Nie byłem zadowolony z powodu opóźnienia i w stoisku Lufthansy poprosiłem o nadanie komunikatu do osób oczekujących mnie na lotnisku w B-ham, że „*Dr Kapuściński jest w N.Y. i przyleci jutro linią ... nr lotu ...*”.

Po długim, pełnym wrażeń locie, przy różnicy czasów i ogólnym zmęczeniu, byłem zagubiony na tym ogromnym lotnisku JFK i bardzo pomocna była opieka stewardesy z Lufthansy, która odprowadziła mnie do miejsca postoju małego autobusu jadącego do hotelu. Po przyjeździe rozgościłem się w ładnym pokoju i pomyślałem: „*No to jestem w Ameryce... !!!*”. Powtórzyłem sobie uzyskane informacje, że jutro przed hotelem będzie czekał bus Lufthansy, który zabierze mnie na drugie lotnisko w Nowym Jorku – La Guardia, z którego startują samoloty linii krajowych.

Podczas pobytu w hotelu, szczególne wrażenie zrobiły na mnie – higieniczna budowa muszli WC (dzisiaj wydaje się to śmieszne, ale przed 41 laty, dla człowieka z Europy Wschodniej było to interesujące) i charakter amerykańskiej kuchni. Te dwie pierwsze obserwacje nie koniecznie pasują do siebie, ale pamiętam je do dzisiaj.

Muszle WC miały kształt głębokiego stożka, wypełnionego wodą a splukiwanie następowało stosunkowo cicho przez boczny strumień wody tworzący wir.

Odnosnie drugiej obserwacji to miała ona miejsce w hotelowej restauracji. Był to czas amerykańskiej „supper” (kolacji lub raczej naszego obiadu) i zamówiłem stek z ziemniakami i jakąś sałatkę. Kelner zapytał mnie czy chcę *soft, medium* czy *well done*? Pojęcia nie miałem, o czym on mówi i na wszelki wypadek odpowiedziałem *medium*. Otrzymałem stek dość miękki, w środku wydawał mi się częściowo surowy, który mi nie smakował i poprosiłem o dosmażenie. Otrzymałem ten sam stek „*well done*”, który był twardy i także mi nie smakował, ale go zjadłem i nauczyłem się wstępnie jak przyrządza się najdroższe tradycyjne mięso w Ameryce.

Na drugi dzień rano pojechałem busem na lotnisko La Guardia i zająłem miejsce w samolocie linii Delta Airlines lecącym na południe. Przed odlotem w samolocie pojawiła się

stewardesa z Lufthansy i sprawdziła, że nie zgubiłem się i siedzę w odpowiednim samolocie do B-ham.

Lot mieliśmy z międzylądowaniem w Washington D.C, i Atlancie, gdzie staliśmy trochę dłużej. Podczas startów i lądowań zauważyłem, że amerykańscy piloci po starcie szybko nabierają wysokości i szybko zniżają się przed lądowaniem. Ponadto przyjęty jest zwyczaj, że w intercomie (głośnikach samolotu) słyszalne są rozmowy pilotów z kontrolerami lotu na lotniskach, które są bardzo interesujące i stwarzają wrażenie współuczestnictwa w locie. Po starcie z Atlanty i krótkim locie wylądowaliśmy wreszcie w B-ham. Była to niedziela, 30 maja i święto państwowe Dzień Pamięci Poległych na polu chwały – Memorial Day.

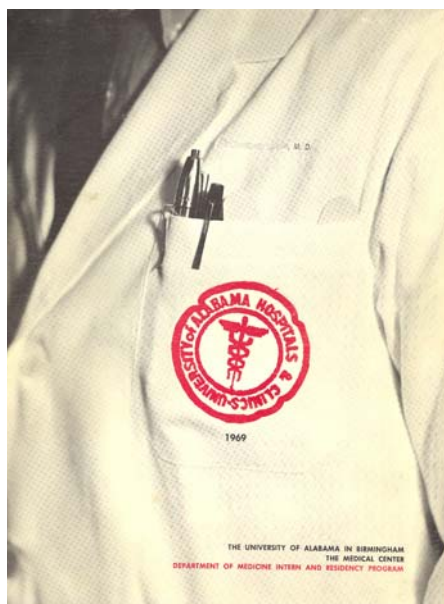
W hallu lotniska oczekiwała na mnie kobieta z kartką z moim nazwiskiem. Samochodem prowadzonym przez jej męża pojechaliśmy do domu akademickiego, w którym miałem zarezerwowany pokój - niedaleko Centrum Medycznego. Po zostawieniu walizki jej mąż podwiózł mnie do sklepu, żebym zaopatrzył się w produkty żywnościowe na najbliższe dni.

W sklepie byłem zaskoczony ilością i jakością produktów spożywczych, wraz z południowymi owocami, których już dawno nie widziałem w Polsce. Na początku trudno mi było zdecydować się np. którą sól mam kupić, bo było ich wiele rodzajów, ale szybko się „zdyscyplinowałem” i wybierałem produkty „pierwsze z brzegu”, żeby nie zabierać dużo czasu człowiekowi, który mnie przywiózł. Ponieważ nie znałem cen i „nie czułem pieniądza”, więc od czasu do czasu pytałem go za ile dolarów wybrałem produkty leżące w wózku. W końcu za wybrane produkty zapłaciłem około 30 dolarów, co stanowiło w tamtym czasie więcej niż równowartość miesięcznej pensji w Polsce. Po przyjechaniu do domu, wyjeźliśmy z samochodu kilka dużych papierowych toreb wypełnionych produktami i zacząłem się uczyć sposobu życia w Ameryce. Chciałem je zanieść do windy i pokoju, ale kierowca samochodu doradził mi, że nie warto się przemęczać i pokazał jak najlepiej postępować z takimi torbami – należy je przesuwać a nie podnosić. I rzeczywiście miał rację, ponieważ podłogi były gładkie, winda zatrzymywała się równo z poziomem podłogi, nie było progów do pokoju tylko szpary związane z klimatyzacją, a torby były bardzo mocne. Codziennie uczyłem się czegoś nowego, niezależnie od postępów w znajomości języka i podtrzymuję twierdzenie, że dłuższy pobyt w Ameryce daje wiedzę, równowąską do skończenia jakiegoś fakultetu wyższych studiów.

Wreszcie rozgościłem się we własnym pokoju i zastanawiałem co mnie dalej czeka. Z powodu różnicy czasów (6 godzin) i nadmiaru wrażeń miałem trudności z zaśnięciem. Pomimo klimatyzacji otworzyłem okno, żeby zorientować się jak ciepło jest na dworze i rzeczywiście powietrze było ciepłe o dużej wilgotności (klimat zwrotnikowy) i słychać było

cykady. Nagle usłyszałem jakieś dziwne, głośne, zmienne dźwięki, dochodzące z okolic pobliskiego Centrum Medycznego, których nigdy w życiu nie słyszałem. Na drugi dzień dowiedziałem się, że są to elektroniczne dźwięki syren karetok pogotowia. Dzisiaj wydaje się to śmieszne, bo takie syreny mają u nas wszystkie karetki pogotowia, ale wtedy były one w Polsce nieznanne.

Na drugi dzień w pobliskim Szpitalu Weteranów (VAH) dowiedziałem się, że na lotnisku witała mnie Dr Eva V. Dubovsky z mężem Jirim (Jerzym) także lekarzem, którzy z dwoma synami niedługo przed inwazją na ich kraj w 1968r. wyemigrowali z Pragi w Czechosłowacji do USA. W Pradze ona była specjalistką interny a on patofizjologiem. W B-ham przebywał także jej brat z żoną, także lekarz, który pracował w Szpitalu Uniwersyteckim (UH) jako neuroradiolog.



Emblemat szpitali

Pierwszego dnia pobytu w szpitalu oprowadzał mnie po Oddziale Medycyny Nuklearnej VAH Bernard H. Williams, Afro-Amerykanin, szef techników, inspektor ochrony radiologicznej oraz dyrektor szkolenia. Mówił on językiem trudnym do zrozumienia, z głębokim południowym akcentem. Spotkał mnie komplement z jego strony, bo stwierdził „Andrew, jeżeli ty mnie rozumiesz, a widzę, że tak, to język znasz dobrze”. Rzeczywiście mogłem się z nim porozumiewać, chociaż na początku nie bez trudności.

Z innych problemów – dowiedziałem się, że Dr James A. Pittman Jr, szef Oddziału Endokrynologii i Metabolizmu (który mi przyznał stypendium) został Prezydentem

Uniwersytetu. Był on żonaty z Chinką Dr Constance Shen Pittman, która była także endokrynologiem i specjalistką chorób tarczycy na poziomie światowym.

Dowiedziałem się także, że obecnie szefem (Acting Chief) Oddziałów Medycyny Nuklearnej w VAH i UH jest Dr Yogendra S. Goel, Hindus, absolwent University of Lucknow, King George Medical College ożeniony z Angielką, który pracował kilka lat w Anglii.

Podczas pierwszych tygodni pracowałem w obu Oddziałach uczestnicząc w badaniach diagnostycznych. Oddziały były dobrze wyposażone w aparaturę a w pierwszym była także



Szpital Uniwersytecki

kamera gamma. Obserwowałem i uczyłem się sposobu pracy w szpitalach amerykańskich oraz analizowałem strukturę zatrudnienia w południowym stanie „Dixie Land”. Wśród lekarzy był tylko jeden Afro-Amerykanin (radiolog), który kończył medycynę w Chicago a reszta to byli biali; pracowało też sporo stypendystów zagranicznych. Wśród personelu średniego – pielęgniarki, laboranci, duży odsetek stanowili Afro-Amerykanie. Personel najniższy – m.in. osoby dbające o porządek to byli prawie wyłącznie Afro-Amerykanie.

Stołowaliśmy się w szpitalnych barach samoobsługowych (cafeteriach), w których nie było już segregacji rasowej. Alabama należała do jednych z najbardziej rasistowskich stanów i pomimo, że od 17 lat segregacja rasowa została zniesiona, to uprzedzano mnie o działalności organizacji Czarnych Panter i odradzano spacerów w dzielnicach murzyńskich.

Oba szpitale tętniły życiem uniwersyteckim i niezależnie od codziennych obowiązków naczelną zasadą było ustawiczne kształcenie. Dlatego bez przerwy odbywały się wykłady naukowe pracujących lekarzy różnych specjalności klinicznych, prezentacje ciekawych i często trudnych diagnostycznie przypadków oraz wykłady zaproszonych gości – znanych naukowców z innych uniwersytetów. W zakresie dyscyplin teoretycznych zwyczajem było, że

autorzy zakończonych projektów naukowych, przed publikacją prac, prezentowali je najczęściej po południu w tzw. klubach naukowych serwując kawę i kruche ciasteczka (snacks).

Uniwersytet prezentował nie tylko Szkołę Medyczną, ale i szereg innych dyscyplin m.in. studia humanistyczne (Humanities), dlatego tradycją było organizowanie spotkań studentów z ciekawymi ludźmi z innych krajów, na których prezentowane były dowolne tematy, ale związane z kulturą i tradycją danego kraju. Różne organizacje np. businessowe zapraszały także obcokrajowców na spotkania podczas obiadu, celem dowiedzenia się o życiu i tradycjach danego kraju. Po takim spotkaniu prelegent otrzymywał drobną gratyfikację w postaci 10 czy 20\$.

W niedługim czasie poproszono i mnie o zaprezentowanie swojego dorobku naukowego. Było to moje pierwsze wystąpienie wobec dużego naukowego forum w amerykańskim uniwersytecie. Zdecydowałem się przedstawić referat na temat diagnostyki izotopowej chorób nerek, ponieważ merytorycznie byłem przygotowany i miałem ze sobą slajdy wyników badań. Referat w całości napisałem i poprosiłem laborantkę o korektę językową tekstu. Na dużej sali wykładowej, wobec lekarzy różnych specjalności, rezydentów (lekarze w trakcie specjalizacji), internów (lekarze podczas stażu podyplomowego) i studentów, wygłosiłem referat starając się o poprawność językową, po którym była dyskusja. Po zakończeniu otrzymałem duże brawa, a amerykańscy koledzy swoim zwyczajem mocno wyklepali mnie po plecach informując, że wszystko było dobrze zrozumiane.

Zbliżał się koniec pierwszego miesiąca mojego pobytu w B-ham i decyzją Szefa Oddziału zostałem włączony do grupy asystentów udających się na sympozjum naukowe w Los Angeles. Przelot, pobyt w hotelu oraz opłatę uczestnictwa pokrywał Uniwersytet. Na przełomie czerwca i lipca odbywało się 18 Sympozjum Towarzystwa Medycyny Nuklearnej (SNM), a poprzedzało go Sympozjum dopiero organizującej się Światowej Federacji Medycyny Nuklearnej i Biologii (WFNMB). Po dwóch dniach od zakończenia sympozjum 4 lipca było Święto Niepodległości (Independence Day), a więc była okazja do dłuższego pobytu w Kalifornii.

Bezpośredni lot z B-ham do Los Angeles trwał około 4 godzin. Podczas 2-dniowych obrad WFNMB reprezentowałem Polskę nosząc tabliczkę identyfikacyjną „Polish Academy of Sciences, Warsaw, Poland”, natomiast na Sympozjum SNM zmieniłem afiliację na „University of Alabama in B-ham”. Podczas uczestnictwa na 2 sympozjach nie było czasu na zwiedzanie miasta, Hollywood czy Disneylandu. Produkty spożywcze kupowałem w sklepach i wnosiłem je do hotelu, ponieważ posiłki w hotelach były bardzo drogie. Podczas godzin

popołudniowych zauważyłem dużo bardzo atrakcyjnych kobiet stojących na ulicy i pomyślałem, że w L.A. jest dużo prostytutek. Później dowiedziałem się, że w L.A. komunikacja miejska jest znikoma, ruch bardzo duży a o miejsca parkingowe jest trudno. Dlatego podczas szczytu komunikacyjnego (rush hours) te kobiety, to najczęściej żony pracujące w śródmieściu, czekające na samochody mężów, ażeby po pracy dostać się do domów.

Uczestnictwo w sympozjum WFNMB miało dla mnie ważne konsekwencje, ponieważ jako współtwórca tej światowej organizacji, w 1974r. w Tokio oficjalnie podpisałem w imieniu Polski kartę członkostwa naszego kraju.

Uczestniczenie w sympozjum SNM oprócz korzyści naukowych i poznania szeregu osób będących światowymi liderami w tej dziedzinie /Rosalyn SussmanYalow z N .Y. – nagroda Nobla za opracowanie metody radioimmunologicznej (RIA), Henry N. Wagner Jr. z Baltimore lider w tej dziedzinie w USA, Michael E. Phelps z UCLA rozwinął metody Pozytonowej Emisyjnej Tomografii (PET), miało dla mnie także wymierne korzyści, ponieważ poznałem sekretarkę Towarzystwa i pracowniczkę redakcji, która załatwiła dla mnie kilkuletnią bezpłatną prenumeratę Journal of Nuclear Medicine.

Po zakończeniu obu sympozjów, korzystając z Święta Niepodległości, zostałem zaproszony przez Dr Peter'a Leins'a także uczestnika sympozjum i pracownika Uniwersytetu Kaliforni w L.A. (UCLA) na kilka dni do swojego domu w Long Beach. Był to młody lekarz niemieckiego pochodzenia i bardzo gościnnie dla ludzi z Europy. W słonecznym ogrodzie jego domu widziałem po raz pierwszy drzewo cytrynowe z dojrzałymi pachnącymi cytrynami. Odpoczywaliśmy opalając się i kąpiąc w basenie. Swoim wspianiałym sportowym Mercedesem kabrioletem zabrał mnie także na wycieczkę w pobliskie góry, ażeby pokazać mi jak można idealnie dobrać temperaturę powietrza do wypoczynku jadąc wysoko w góry. Stosowałem tą metodę po 14 latach pracując w 1985r. w Tucson w Arizonie. Po krótkim ale znakomitym wypoczynku w Long Beach w Kaliforni powróciłem do dalszej pracy w B-ham.

Któregoś dnia po powrocie podczas pracy w szpitalu pojawił się mężczyzna w średnim wieku i powitał mnie piękną polszczyzną - witam rodaka. Zdziwienie moje było duże, bo w B-ham polonia nie była liczna. Przedstawił się jako Robert Vansword, profesor Humanities tutejszego uniwersytetu. Zostałem zaproszony do domu, w którym przedstawił mi swoją żonę Joelen, młodszą od niego i była studentką pochodzącą z Selmy, z którą miał dwóch synów. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się ze sobą i byłem u nich częstym gościem, gdzie czytałem wydawnictwa emigracyjne a przede wszystkim poprzednie i bieżące numery Paryskiej Kultury.

Któregoś dnia powiedziałem, że przed odlotem do Ameryki, Matka dała mi 2 nazwiska na wypadek potrzeby ewentualnej pomocy. Jedno to Robert Robaczyński a drugie to Jarosław Hryniewicz. A on na to, że to właśnie ja jestem Robaczyński i zmieniłem nazwisko, a Hryniewicza dobrze znam, bo jakiś czas przyjaźniłem się z jego córką. Doszliśmy do wniosku, że świat jest mały i Robert opowiedział mi swój życiorys m.in., że po wojnie przez 8 lat prowadził taksówkę w Nowym Jorku, że pochodzi z Przemyśla i jego matka i brat są w Stanach. Poinformował mnie także, że Hryniewicz żyje i nadal mieszka i pracuje w N.Y. Jako prawnikowi ukraińskiego pochodzenia trudno mu było znaleźć pracę w swoim zawodzie i od lat zatrudniony jest jako laborant w Zakładzie Medycyny Sądowej. Zyskałem więc bliskiego znajomego, który doskonale znał realia życia w tym kraju i mógł mi służyć radą i pomocą.

Już od pewnego czasu myślałem o kupnie samochodu, i dlatego przed odlotem wyrobiłem sobie międzynarodowe prawo jazdy. Myślałem o niezawodnym Volkswagencie „garbusie”, ale analizowałem możliwość zakupu także któregoś z amerykańskich „krążowników”. Jednemu z kolegów ze szpitala, stypendyście z Egiptu już dawniej skradziono samochód i kupił sobie drugi. Któregoś dnia policja powiadomiła go o znalezieniu tego samochodu na stacji benzynowej w pobliżu B-ham. Był to 10-letni Chevrolet Impala. Zapytałem go czy by mi nie sprzedał i za ile, a on: Andrew jak dla ciebie to 30\$. Zapytałem telefonicznie Roberta czy mam go kupić, a odpowiedź była, „że tak i to natychmiast”, więc od razu wypisałem czek. Pojechaliśmy z Robertem na tą stację benzynową i okazało się, że samochód jest tylko brak w nim akumulatora, bo został skradziony. Zapytałem właściciela stacji czy ma taki akumulator i on mi zamontował a cena wynosiła 15\$ (cena połowy samochodu). Byłem prawie pewien, że był to akumulator wyjęty z tego samochodu.

Był to Chevrolet Impala, rok produkcji 1961, silnik V8 (8 cylindrów), z automatyczną skrzynią biegów. W roku 1961 uważany był jako najlepszy z produkowanych wówczas



Nasz Chevrolet Impala

samochodów i został nawet uwieczniony w piosence „409” zespołu „Beach Boys”. Dotychczas nigdy w życiu nie jechałem samochodem z automatyczną skrzynią biegów, ale po krótkich instrukcjach Roberta wracaliśmy już dwoma samochodami. Wstąpiliśmy na cmentarzysko samochodów i za 5\$ kupiłem kompletne zapasowe koło oraz podnośnik i wróciliśmy do B-ham.

Jako doświadczony kierowca sprawdziłem stan silnika i całego samochodu (miał lekkie uszkodzenie prawego przedniego błotnika), pojechałem do marketu i kupiłem 8 nowych świec, filtr do oleju, olej do wymiany i na zapas (na dolewki) oraz komplet narzędzi/kluczy do samochodu. Po podliczeniu wszystkich wydatków za 80\$ zostałem właścicielem starego, ale niezłego samochodu, którym jeździłem przez 17 miesięcy.

Niezależnie od klinicznej pracy w szpitalu i pogłębiania wiedzy z amerykańskich podręczników, rozpocząłem także badania doświadczalne na zwierzętach dotyczące obrzęku mózgu, by po powrocie mieć materiał do sprawozdania dla mojego Instytutu w Polsce. W diagnostyce klinicznej prowadziłem również badania wydajności krążenia obocznego w przypadkach niedokrwienia mózgu u ludzi przy użyciu kamery gamma, celem wygłoszenia referatu na sympozjum oraz publikacji pracy naukowej.

W Oddziale Medycyny Nuklearnej zaczęła pracować nowa lekarka Dr Martha McDonald, kilka lat starsza ode mnie, z rodziny o południowych tradycjach ze stanu Tennessee. Jej ojciec był kiedyś właścicielem łańcucha sklepów, sprzedał je i został właścicielem gazety Chattanooga News Free Press. Posiadał ponadto dużą farmę w tym stanie, której nie uprawiał i za to nie-uprawianie otrzymywał rządowe dotacje. Na tej farmie mieszkali jeszcze Afro - Amerykanie, którzy dawniej byli niewolnikami. Widziałem ich oraz ich domy, bo po przylocie Barbary zostaliśmy zaproszeni na piknik zorganizowany dla pracowników tej gazety.

Martha mówiła z bardzo południowym akcentem, chwilami jeszcze trudniejszym do zrozumienia niż język Bernarda. Praca z nią dała mi nie tylko duży postęp w znajomości języka, ale i szereg informacji o życiu w Ameryce, a szczególnie o tradycjach Południa. Jej ojciec procesował się z gazetą New York Times o tzw. ”run out of business” – utrudnianie interesów, które jest bardzo poważnym przestępstwem w USA - i wygrał sprawę. Widziałem kopię czeku na 2 miliony dolarów, które gazeta z N.Y. musiała zapłacić gazecie jej ojca.

Ciągle dowiadywałem się czegoś nowego. Kiedyś wracałam samochodem z naukowej wizyty w Emory University w Atlancie - znany i bogaty prywatny uniwersytet od lat subsydiowany przez koncern Coca-Cola, który ma główne siedziby w tym mieście. Jadąc autostradą „20” do B-ham, zobaczyłem, pożar zabudowań w lesie w pobliżu autostrady.

Popatrzyłem na licznik i zapamiętałem jego stan, bo było to niedaleko granicy pomiędzy stanami Georgia i Alabama. Zjechałem pospiesznie do najbliższej stacji benzynowej i z dużym zaangażowaniem poinformowałem personel o pożarze, wymieniając dokładnie ilość mil od granicy stanów. Jedna z pracowniczek spokojnie przyjęła informację i bez pośpiechu oznajmiła, że powiadomią straż. Ten brak pośpiechu wydawał mi się dziwny i jakiś inny niż u nas w Polsce.

Po powrocie, w szpitalu emocjonalnie poinformowałem personel oddziału co mi się przydarzyło i jak szybko zareagowałem. Skończyłem mówić, a tu wszyscy w śmiech, nie wiedziałem o co chodzi, może zrobiłem jakiś błąd językowy? Szybko mi wyjaśniono, że w USA prawie wszystkie nieruchomości są ubezpieczone i straż pożarna wie do kogo mają jechać. Jeżeli budynek nie jest ubezpieczony, to spłonie, straż nie będzie gasić go nawet wiaderkiem wody. Ja nadal z pewnym niedowierzaniem zapytałem, a skąd strażacy wiedzą kto jest ubezpieczony? Odpowiedziano mi, że nieruchomości z informacjami są ujęte w sieci komputerowej. Byłem zaskoczony, bo było to przed 40 laty ale była to prawda. Potem sam widziałem pożar nieubezpieczonego budynku w środku miasta, który płonął jak pochodnia, a straż polewała tylko okoliczne ubezpieczone domy, żeby się nie zapaliły.

W niedługim czasie zrobiłem prawo jazdy, pierwsze z trzech jakie w życiu miałem w Ameryce, najważniejszy dokument służący także do identyfikacji. W początkach listopada uczestniczyłem w Sympozjum Południowo – Wschodniego Oddziału SNM, w Miami na Florydzie.

Minęło już pięć miesięcy mojego pobytu w Ameryce i zdecydowaliśmy z Barbarą, że ją zaproszę do B-ham. Załatwiłem formalności w Uniwersytecie uzyskując dla niej formularz dla uzyskania wizy IAP-66 (Certificate of Eligibility for Exchange Visitor /J-2/ Status) i wysłałem do Polski. Pomimo, że zaprosiłem Barbarę bez Pawła, dostała odmowę wydania paszportu, a więc zgodę na wyjazd. Nieco się rozeźliłem i na papierze służbowym Uniwersytetu napisałem list prosto do E. Gierka do KC PZPR z prośbą o spowodowanie wyrażenia zgody na wyjazd Barbary. Kopię listu załączam. Barbarę wezwano do MSW (wtedy jeszcze przy ul. Koszykowej) i otrzymała paszport. Po latach dowiedziałem się, że kopia tego listu trafiła do Biura Współpracy z Zagranicą PAN i Prof. Mossakowski jako mój pracodawca i w owym czasie Zastępca Sekretarza Wydziału Nauk Medycznych PAN nie był zadowolony, że w staraniach o paszport dla Barbary pominąłem jego osobę.

Jeszcze przed przylotem Barbary, Robert zaproponował mi wyjazd do N.Y., ponieważ wybierał się do Europy. Jako zmiennik Roberta przy kierownicy, jechałem jego Toyotą po raz

pierwszy wiele godzin autostradą na północ, ażeby pokonać dystans około 1000mil czyli 1600km.

W Waszyngtonie D.C. zrobiliśmy przerwę w podróży i zajechaliśmy do Bethesdy, zobaczyć się z Dr Zbyszkiem Rapem, który pracował naukowo jako stypendysta w Zakładzie Neuropatologii i Nauk Neuroanatomicznych Prof. Igora Klatzo, w NINDS (National Institute of Neurological Diseases and Stroke), NIH (National Institute of Health). Potem pojechaliśmy do Ambasady PRL, bo ja wiedząc, że jest taki zwyczaj, chciałem pokazać się i powiadomić, że jestem na stypendium.

Wizyta w Ambasadzie była dla mnie kolejnym doświadczeniem życiowym. W pokoju grało radio i pracownik, z którym rozmawiałem konfidencjonalnym głosem wyjaśnił mi, że *„radio gra dlatego, ponieważ słuchają nas zarówno w Warszawie jak i w Waszyngtonie”*. Jak dowiedział się, że jestem na stypendium medycyny nuklearnej w B-ham w Alabamie, ożywił się i poinformował mnie, że jest zainteresowany wszystkimi nowymi wyrobami w USA, dlatego gromadzi katalogi różnych firm i produktów. Odniosłem wrażenie, że nie bardzo wiedział jakie zagadnienia reprezentuje specjalność medycyna nuklearna bo podkreślił, że szczególnie interesują go paliwa do rakiet. Szczegółowo wyjaśniłem mu jaki obszar działalności w medycynie obejmuje medycyna nuklearna, że nie należy mylić jej z medycyną kosmiczną i że nawet radiochemia nie obejmuje tematyki poruszanej przez niego. Uzupełniłem, że nie mam pojęcia o paliwach do rakiet i podkreśliłem, że przyjechałem tu uczyć się i moim obowiązkiem po powrocie jest przekazanie całej zdobytej wiedzy lekarzom i studentom medycyny w Polsce. Zainteresowało mnie natomiast jego stwierdzenie, że pracownicy Ambasady nie podróżują tak daleko na południe Stanów. Pożegnaliśmy się przyjacielsko, bez żadnych zobowiązań z mojej strony i nadal podróżowaliśmy z Robertem do N.Y.

Po jakimś czasie dowiedziałem się, że z punktu widzenia polityczno-dyplomatycznego, w USA PRL traktowana jest w bloku wschodnim „jako część ZSRS”. Na takiej zasadzie następuje wymiana naukowa (Exchange visitors) oraz „rewanże polityczne” w stosunkach Ameryka – Rosja. ZSRS zabroniła pracownikom Ambasady USA w Moskwie podróżowania na wschód za Ural. W ramach rewanżu USA zabroniła pracownikom Ambasady ZSRS oraz ambasad krajów bloku komunistycznego podróżowania na południe Stanów. Dodatkowym elementem jest fakt, że w Huntsville, 95mil na północ od B-ham jest ośrodek rakietowy, w którym po wojnie pracował Dr Wernher von Braun. Jest to „The U.S. Space & Rocket Center in Huntsville” – określany jako największe na ziemi muzeum rakiet kosmicznych.

Podróżowaliśmy z Robertem dalej na północ i w końcu znaleźliśmy się w N.Y. Spotkałem się z Jarosławem Hryniewiczem, który zaprosił mnie na obiad do chińskiej restauracji. Spotkałem osobiście człowieka, który przed 58 laty skojarzył moich Rodziców we Lwowie. Opowiadał mi o swoim życiu, o żonie, która była znaną ukraińską poetką i wspominał Rafaelę i Albina. Z rozmowy z nim i obserwacji podczas krótkiego pobytu w N.Y. odniosłem wrażenie, że w tym mieście emigranci ukraińscy są lepiej zorganizowani niż Polonia, mają m.in. swój bank i wydawnictwa. Po spędzeniu z Robertem nocy w hotelu, on z lotniska JFK odleciał do Europy a ja z lotniska La Guardia do B-ham.

Po wizycie w ambasadzie PRL i powrocie do B-ham, byłem bardziej ostrożny w dyskusjach, ponieważ odświeżył mi się polityczny podział świata a nie planowałem emigracji, odwrotnie niż np. Dr Eva Dubovsky, która przybyła z rodziną do Ameryki z myślą o emigracji. Od tamtej pory będąc za granicą robiłem sobie zawsze „zakładkę” z rogu koszuli w walizce, żeby wiedzieć czy walizka była otwierana przez służby specjalne, czy kontrolowano mój paszport itd.

Na spotkaniu ze studentami uniwersytetu miałem „apolityczny” wykład - na temat twórczości Krzysztofa Pendereckiego i mając płytę, w przerwach wykładu prezentowałem jego utwory. Podobnie podczas obiadu na zebraniu klubu businessmenów mówiłem o polskich tradycjach związanych ze Świątami Bożego Narodzenia, a zakończyłem w specjalny głęboki sposób: *„że w tym roku dla Polaków święta będą miały szczególny charakter, bo właśnie Ojciec Święty Paweł VI, 17 października 1971r. w Rzymie beatyfikował Franciszkanina, brata Maxymiliana Marię Kolbe, który oddał swoje życie za drugą osobę Franciszka Gajownicza w K.L. Auschwitz. Gajowniczek żyje i był świadkiem uroczystości”*. Za tak wzniosły temat zarobiłem 10\$.

W końcu listopada przyleciała Barbara, którą przywiozłem z lotniska własnym samochodem. Byliśmy bardzo szczęśliwi, bo nie widzieliśmy się dokładnie pół roku. W Warszawie pozostał 2,5-letni Pawełek pod dobrą opieką teściów i Zuzanny- siostry Barbary. Ja pełniłem rolę tubylca już dobrze zaznajomionego z realiami życia w Ameryce. Zamieszkaliśmy oboje w moim mieszkaniu w hotelu akademickim w bliskiej odległości (10min piechotą) od Centrum Medycznego.

Na początku pobytu Barbara jako lekarz uczestniczyła w badaniach diagnostycznych w oddziałach medycyny nuklearnej, pogłębiała znajomość języka, obserwowała tutejszy sposób pracy oraz pomagała mi w badaniach doświadczalnych nad obrzękiem mózgu. Po zakończeniu pracy diagnostycznej, badania te prowadziliśmy na zwierzętach, w pomieszczeniach do badań doświadczalnych na parterze budynku VAH, w Metabolic

Research, którego dyrektorem był Dr Raymond H. Lindsay. Pomagał nam laborant Afro-Amerykanin, który był pastorem kościoła Baptistów. Od niego nauczyliśmy się kilku zabiegów chirurgicznych, które dotychczas nie były nam znane. Barbara pomogła mi w całej serii doświadczeń, co stawiało ją w pozycji współautora pracy wygłoszonej na sympozjum w Atlancie.

Nie samą pracą człowiek żyje, dlatego kupiliśmy maszynę do szycia i w wolnym czasie szyliśmy sobie ubrania, stosując wykroje. Materiały kupowaliśmy na wyprzedazach, wtedy powszechny był bistor i ja uszyłem sobie 2 pary spodni, a Barbara sukienkę.

Jeden dłuższy weekend spędziliśmy z grupą kolegów w Pensacoli na Florydzie (251 mil od B-ham), mieszkając w willi dr Lindsaya położonej nad zatoką Meksykańską na półwyspie podobnym do Helu.



Pensacola, Floryda

Byliśmy też zaproszeni przez Dr McDonald do Chattanooga oraz na piknik redakcji gazety na wspomnianej już farmie. W mieście odwiedziliśmy dworzec słynnej kolejki z piosenki „Chattanooga choo choo” oraz redakcję Chattanooga News Free Press. Po zakończeniu piknika nocowaliśmy na farmie w willi pałacowej podobnej do tej z filmu „Przeminęło z wiatrem” oraz kąpaliśmy się w basenie.

Minęła łagodna zima i władze medyczne zakończyły administracyjne przygotowania do formalnego uznania nowej specjalizacji medycyny nuklearnej i przeprowadzenia egzaminu specjalizacyjnego. Ja żartowałem, że poziom medycyny w Polsce jest wyższy niż w Ameryce, bo u nas już od 2 lat mamy tę specjalizację. Wysłałem wymagane dokumenty i dopuszczono mnie do egzaminu, w regionalnym ośrodku egzaminacyjnym, w Tulane University w Nowym Orleanie, który miał się odbyć 5 maja 1972r. Miałem jeszcze trochę czasu do egzaminu i niezależnie od codziennych obowiązków, intensywnie się przygotowywałem.

Żyliśmy bardzo oszczędnie wiedząc o wysokiej wartości dolara w kraju. Rozważaliśmy oboje podjęcie dodatkowej pracy ażeby przed powrotem do Polski – jak mawiał mój Ojciec – wzmocnić się finansowo. Naturalnie oficjalne podjęcie drugiej pracy było niemożliwe, dlatego o naszych planach wtajemniczyliśmy tylko bardzo zaufane osoby. Ponadto niezależnie od zarobków, pozycja lekarza medycyny w Ameryce jest tak wysoka, że o podjęciu pracy np. fizycznej nie ma mowy. Wśród różnych planów próbowałem zatrudnić się na budowie, ażeby zamiast gimnastyki rozruszać się fizycznie, ale po zapoznaniu się z treścią formularzy które musiałbym wypełnić zrezygnowałem. Nikt nie zatrudniłby lekarza medycyny i to jeszcze pracującego w Szpitalu Uniwersyteckim do pracy fizycznej. Nie dawaliśmy za wygraną i studiowaliśmy ogłoszenia w miejscowej prasie.

Zaufane osoby ostrzegały nas, żebyśmy nie kupowali od podróżujących sprzedawców np. zestawów talerzy - rzeczywiście bardzo tanich - do odsprzedaży – „resell”. Jeżeli nawet bardzo tanio kupimy taki zestaw, to potem w ogóle bardzo trudno będzie nam go sprzedać nawet za tą samą niską cenę nie mówiąc o zarobku.

Nie poddawaliśmy się i kiedyś trafiliśmy na niezwykle atrakcyjne ogłoszenie pracy dla kobiety i podjechaliśmy pod ten adres. Pomimo, że Alabama jest bardzo restrykcyjnym stanem i nawet picie piwa jako pasażer w samochodzie jest karalne, to wygląd willi oraz stawka wynagrodzenia za godzinę nie budziły wątpliwości o jaki charakter pracy chodziło w tym ogłoszeniu. Jednakże „Polak potrafi...” i dostaliśmy oboje pracę w firmie wykonującej wizytówki, ogłoszenia o ślubach, bloczki faktur, rachunków itd. w dziale chemigrafii na 2 – 3 godziny po południu. Przyjęto nas tam raczej z ciekawości jako obcokrajowców ale przez jakiś czas mieliśmy zajęcie. Kobieta z tego działu nauczyła nas jak pisze się treść tekstu na płytach aluminiowych, wywołuje gąbkami moczonymi w płynach związków chemicznych i drukuje na rotaprintach. Wynagrodzenie zależne było od płci – Barbara dostawała 1,75\$ za godzinę, a ja 2,25\$ za godzinę Pracowaliśmy tak przez kilka tygodni zadowoleni, bo przeliczając wynagrodzenie na złotówki, po 3 godzinach wspólnej pracy wracaliśmy do domu z prawie połową miesięcznej pensji w kraju. Za takie wynagrodzenie to nawet Afro-Amerykanin wtedy by nie pracował, ale my byliśmy zadowoleni. Niestety „eldorado” po kilku tygodniach się skończyło, bo nie było już dla nas roboty.

Barbara doszła do wniosku, że wystarczy jak jedna osoba w rodzinie będzie pracowała w szpitalu i została zatrudniona w małej firmie, w której prowadziła administrację. Pracowała w niej przez dłuższy czas i za zarobione pieniądze po 21 latach opłaciła Pawłowi wesele.

Nadszedł termin egzaminu specjalizacyjnego i Dr McDonald zawiozła nas swoim samochodem do Nowego Orleanu. Sam dojazd do miasta położonego w delcie rzeki

Mississippi jest niezwykle atrakcyjny, bo jedzie się przez jezioro Pontchartrain najdłuższym na świecie mostem Causeway o długości 38km. Podczas gdy panie spacerowały po mieście, ja przez 8 godzin pracowałem nad testem egzaminacyjnym. Był to pierwszy egzamin z tej dziedziny w Ameryce i oprócz nielicznej grupy organizatorów – członków komisji egzaminacyjnej - zdawali praktycznie wszyscy szefowie oddziałów/zakładów medycyny nuklearnej w Stanach. Dla mnie był to egzamin ciężki, ale specjalistyczny i dlatego łatwiejszy w porównaniu z egzaminami ogólno-medycznymi. Po 8 godzinach ciężkiej pracy byłem bardzo zmęczony, ale miałem odczucie, że powinienem zdać.

Po egzaminie zwiedzaliśmy Nowy Orlean z jego atrakcjami – jak French Quarter, Bourbon Street z licznymi restauracjami i nocnymi klubami, słuchaliśmy występów jazzowych starych Afro-Amerykanów itd. Tradycją jest, że w nocy lub nad ranem po całonocnym zwiedzaniu/zabawie zachodzi się do słynnej Kawiarni 3 Sióstr na lody lub kawę. W kawiarni tej każde zamówione danie anonsowane jest gongiem i sztucznymi ogniami. Zmęczeni, ale i pełni wrażeń powróciliśmy do B-ham.

Po jakimś czasie w skrzynce pocztowej znalazłem list zawiadamiający mnie o zdanym egzaminie i Amerykańskim Certyfikacie uznającym mnie za specjalistę medycyny nuklearnej w tym kraju, z możliwością nie tylko diagnozowania, ale i leczenia chorych izotopami promieniotwórczymi bez ograniczeń. Uważam to za moje największe osiągnięcie w karierze naukowej, nawet większe od uzyskania tytułu profesora nauk medycznych.

Po jakimś czasie okazało się, że Acting Chief Dr Goel (specjalista chorób wewnętrznych) także zdał ten egzamin, ale w innym ośrodku egzaminacyjnym.

W lipcu 1972r. z grupą kolegów z obu szpitali Centrum Medycznego poleciliśmy do Bostonu celem wzięcia udziału w 19 corocznym Sympozjum Towarzystwa Medycyny Nuklearnej.

Po kilku tygodniach do B-ham przyjechał nowy szef obejmując już pełny etat Dyrektora obu oddziałów Medycyny Nuklearnej Dr Welby N. Tauxe doświadczony izotopowiec, który ostatnie 20 lat pracował w słynnej Mayo Clinic w Rochester w stanie Minnesota. On dość dużo podróżował i faktycznie objął to stanowisko już po naszym wyjeździe.

Na początku listopada byliśmy z Barbarą na 13 Sympozjum Południowo -Wschodniego Oddziału SNM w Atlancie, na którym prezentowałem 2 prace - doświadczalną dotyczącą obrzęku mózgu oraz kliniczną na temat wydajności krążenia obocznego w przypadkach niedokrwienia mózgu.

Po powrocie z Atlanty pod koniec listopada, po moim 18-sto a Barbary 12-sto miesięcznym pobycie w B-ham, swoje oszczędności zabraliśmy z banku w postaci czeków

podróżniczych (traveller's cheques). Spakowaliśmy się, następnie pożegnali i samochodem ruszyliśmy na północ do Trenton, gdzie mieszkała kuzynka mamy Barbary.

Jadąc mieliśmy niebezpieczne zdarzenie. Gdzieś na północy, jeszcze przed Waszyngtonem D.C. stanęliśmy odpocząć na leśnym parkingu przy budce telefonicznej. Siedzieliśmy w samochodzie a na parkingu były tylko 2 ciężarówki w których kierowcy prawdopodobnie spali. Kątem oka zobaczyłem, że dwóch białych facetów z tyłu nas jak gdyby okrąża, a trzeci z przodu wszedł do budki telefonicznej i udawał, że gdzieś dzwoni. Wyczułem, że chcą nas napaść, wrzuciłem po cichu reverse – wsteczny bieg, powiedziałem Barbarze żeby się trzymała, uruchomiłem silnik i natychmiast pełnym gazem cofnąłem i maksymalnie szybko wyjechałem, na autostradę. Po kilkunastu milach stanęliśmy przeanalizować sytuację. Nasz samochód miał tablice stanu Alabama, był cały załadowany, nawet na tylnym siedzeniu było pełno rzeczy przykrytych kocem. Teren był odludny i prawie na pewno chcieli na nas napaść. Jeszcze raz Bóg nad nami czuwał, że zdążyliśmy uciec. Do Trenton dojechaliśmy już bez „atrakcji” i zostaliśmy tam kilka dni przed odlotem do Europy.

Przed opuszczeniem Ameryki mieliśmy jeszcze 2 zadania – nadać do Polski zakupione w B-ham rzeczy i sprzedać samochód. Cenę samochodu określiłem na 200\$ i wystawiłem za szybą kartkę z napisem „Sale”. Następnie pojechaliśmy do N.Y., w którym jazda samochodem jest trudna z powodu dużego ruchu i specyfiki jazdy. Już przejazd tunelem Holland pod rzeką Hudson daje duże emocje, a np. żeby skręcić w mieście, oprócz włączenia kierunkowskazu, trzeba przy otwartym oknie pokazać ręką, że się ma taki zamiar, bo inaczej kierowcy nie ułatwiają. W firmie polonijnej na Manhattanie opłaciliśmy transport rzeczy do Gdyni polskim statkiem Heveliusz. Następnie przez most Manhattan pojechaliśmy na południe do dzielnicy Brooklyn do portu, nadać 2 duże paczki w biurze magazynu przy pirsie do którego przybija statek. Po powrocie do Trenton, nie było w ogóle zainteresowania kupnem samochodu, dlatego cenę obniżyłem do 100\$. W międzyczasie obcym ludziom sprzedałem czarno – biały mały telewizor produkcji koreańskiej za 30\$. Dzień odlotu zbliżał się nieuchronnie, a klientów na samochód nie było, więc jego cenę obniżyłem do 50\$, ale bezskutecznie. Chevroleta Impalę zostawiliśmy kuzynce i na wiosnę już w Polsce otrzymaliśmy za niego 10\$, bo w układzie chłodzenia była woda i w zimie zamarzła uszkadzając silnik.

Odwiezieni przez kuzynkę na lotnisko JFK, odlecieliśmy do Pragi a stamtąd do Warszawy, ponieważ bezpośrednie loty Warszawa - Nowy Jork - Warszawa uruchomiono dopiero w 1974r. Po przylocie było dużo radości, a my cieszyliśmy się przede wszystkim ze spotkania z kochanym Pawełkiem, który miał już ponad 3,5 roku. Pawełek był także

szczęśliwy, ponieważ wśród innych prezentów przywieźliśmy mu kopię amerykańskiego karabinu szturmowego (Stonera) M16.

Życie po powrocie z Ameryki

Po powrocie z długiego pobytu za granicą oprócz miłych chwil jak spotkanie z Pawełkiem, rodziną i kolegami, miałem szereg spraw do załatwienia. Przywiezione oszczędności wpłaciłem na konto dewizowe w Narodowym Banku Polskim, co pozwoliło mi dokonywać drobnych zakupów w Baltonie lub w Pewexie. Były to sklepy dobrze zaopatrzone, także w towary zachodnie, w których płaciło się dolarami lub bonami dolarowymi (substytuty dolarów). Myślałem także o zakupie samochodu Fiata-125p, ale ich ceny w początkach 1973r. wzrosły i kupiłem taki samochód dopiero w 1974r. Kupiłem natomiast w Pewexie za dewizy oryginalny samochód włoski Fiat-127 i zaraz go sprzedałem (była to najkorzystniejsza transakcja wymiany dolarów na złotówki), żeby pieniądze wręczyć rodzicom. Zrobiłem jednakże błąd, bo zamiast wręczyć im gotówkę, wpłaciłem do banku dla nich, na tzw. książeczkę samochodową, myśląc, że mogą dodatkowo wygrać samochód. Mama jako bardzo oszczędna osoba nie likwidowała tej książeczki i nie podjęła gotówki aż do swojej śmierci.

Nadeszły także mniej przyjemne chwile, bo część zaoszczędzonych ze stypendium dewiz musiałem wpłacić na konto PAN, co nazywaliśmy haraczem. Praktycznie było to dodatkowe opodatkowanie zarobków zagranicznych, pomimo, płacenia podatków w Ameryce. Słowo „musiałem” jest zasadne, bo bez wypełnienia tego obowiązku wstrzymano by mi wydawanie paszportu na wyjazdy do krajów zachodnich. Jeden z naszych kolegów z Instytutu po rocznym pobycie na stypendium w USA uparł się, że nie zapłaci ani centa i w efekcie mógł wyjeżdżać wyłącznie do ZSRS i krajów wschodniego bloku.

Swój certyfikat amerykańskiego specjalisty zostawiłem w bezpiecznych rękach znajomego w USA i nie chwaliłem się ani oficjalnie ani wśród kolegów swoim osiągnięciem. Powodem tego był fakt, że należałem do nielicznych ludzi, którzy mając amerykańską specjalizację medyczną nie starali się o obywatelstwo tego kraju. Oficjalne ujawnienie tego faktu powodowałoby wstrzymanie wydawania mi paszportu, ponieważ „dla życzliwych” każdy mój wyjazd na zachód uważany byłby jako potencjalnie wyjazd emigracyjny. Tylko raz w życiu byłem zdecydowany emigrować do Ameryki, ale zdarzyło się to w latach osiemdziesiątych.

Życie w tym czasie nas nie pieściło. Po otrzymaniu informacji, że nasze paczki są już w Polsce pojechaliśmy do Gdyni je odebrać. Na miejscu okazało się, że obie paczki były uszkodzone i część rzeczy skradziono, m.in. ubranka dla Pawła o różnych rozmiarach stosownie do rosnącego wieku i szereg innych rzeczy. Sposób rozerwania kartonowych

paczek i próba ukrycia czynu przez pochłapanie ich wapnem, bezdyskusyjnie wskazywały na kradzież prawdopodobnie na statku „Heveliusz” i Polskie Linie Oceaniczne (PLO) nie stwarzały trudności ze zwrotem równowartości skradzionych rzeczy.

Przedstawiciel PLO „pocieszał nas” informując, że nie ma możliwości dopilnowania towaru na styku statek-ziemia. Zilustrował to przykładem, że sam nadał samochód kupiony w Hongkongu i dla pewności powierzył go samemu kapitanowi statku. Po przyplłynięciu statku do Gdyni okazało się, że zginęły wszystkie koła włącznie z zapasowym, komplet narzędzi i jakieś inne rzeczy z wyposażenia. Specjalnie nas to nie pocieszyło i przygotowaliśmy z pamięci listę skradzionych rzeczy i ich przybliżoną wartość. PLO zwróciło nam pieniądze, ale po oficjalnym (niskim) kursie dolara, co stanowiło około 25 % wartości skradzionych rzeczy.

Barbara podjęła pracę w Przychodni Ogólnolekarskiej przy ulicy Szwoleżerów zajmując się chorobami wewnętrznymi. Przygotowywała się również do obrony pracy doktorskiej, którą obroniła na wiośnię. Jednym z recenzentów jej doktoratu był Docent W. Graban.

Ja pracowałem nadal w Pracowni Izotopowej Zakładu Neuropatologii CMDiK PAN, pod kierownictwem Prof. Mossakowskiego, prowadząc wielokierunkowe badania doświadczalne skutków niedokrwienia mózgu.

Robert Vansword w 1973 i 1974r. kilka razy odwiedzał Polskę albo sam lub w grupie innych osób i najczęściej zatrzymywał się w Warszawie w mieszkaniu rodziców Barbary. W 1974r. przyleciała pierwszy raz do Polski także Dr McDonald. Podróżując samochodem pokazałem jej najciekawsze miejsca naszego kraju - od Zakopanego przez Kraków, Oświęcim po Mazury i Bałtyk.

W 1974r. na zaproszenie Roberta wyjechał do Stanów Marek, starszy syn Zuzanny, siostry Barbary i od tamtego czasu mieszka w Ameryce jako obywatel tego kraju.

Lata siedemdziesiąte były dla mnie bardzo pracowite naukowo, bo publikowałem dużo prac, uczestniczyłem w licznych sympozjach i kongresach naukowych w kraju i za granicą i przebywałem przez 3 miesiące w Tbilisi w Gruzji współpracując ze znanym naukowcem Prof. G. Mchedlishvili nad mechanizmami rozwoju obrzęku mózgu. Przygotowywałem także materiał do swojej habilitacji z zupełnie innego nowego tematu, dotyczącego badań nad ischemiczno – hipoksyjnym obrzękiem mózgu przy użyciu metod izotopowych.

W wolnych chwilach sam lub z Barbarą i Pawełkiem jeździłem do Nałęczowa odwiedzając rodziców, dzieliłem się osiągnięciami naszego życia, pomagałem w utrzymywaniu porządku w domu i w ogrodzie oraz doradzałem w bieżących sprawach administracyjnych.

Praca naukowa w Gruzji

Zakład Neuropatologii naszego Instytutu już od pewnego czasu współpracował naukowo z Prof. G.I. Mchedlishvili i jego asystentami z Pracowni Fizjologii i Patologii Krążenia Mózgowego, Instytutu Fizjologii, Gruzjińskiej Akademii Nauk w Tbilisi. Tematyka badań dotyczyła podobnych zagadnień, którymi ja się zajmowałem, dlatego na wiosnę 1974r. zdecydowałem się pojechać na 3 miesiące do Tbilisi, celem przeprowadzenia wspólnych - ważnych klinicznie - badań nad mechanizmami rozwoju obrzęku mózgu. Poleciałem znowu do Moskwy i z lotniska Domodedowo odleciałem do Tbilisi. Podróż i pobyt miały charakter służbowy, dlatego mieszkałem w hotelu Iveria i otrzymywałem stypendium równoważne pensji starszego asystenta.

Pobyt w Gruzji był bardzo atrakcyjny zarówno z naukowego jak i towarzyskiego punktu widzenia. Wykonaliśmy długą serię doświadczeń na królikach i opublikowaliśmy kilka prac w poważnych czasopismach naukowych. W 1975r. na VII Międzynarodowym Sympozjum na temat Mózgowego Przepływu Krwi i Metabolizmu (CBF), w Aviemore, w Szkocji, wygłosiłem współautorski z Gruzinami referat, dotyczący wpływu zaburzeń systemowego krążenia na rozwój po-ischemicznego obrzęku mózgu. Zrobiłem także duże postępy w znajomości rosyjskiego, do tego stopnia, że na międzynarodowym sympozjum w Tbilisi, tłumaczyłem uczestnikom z Ameryki z języka rosyjskiego na angielski.



W górach Kaukazu
z Dr Grażyną Szumańską

Po pracy byłem zapraszany na przyjęcia do domów pracowników Instytutu Fizjologii. Nauczyłem się gruzińskiej tradycji prowadzenia przyjęć, roli Tamady (szef stołu), picia z naczyń w kształcie rogów, degustowałem smaczne gruzińskie dania oraz wspaniałe gruzińskie wina i mocniejsze trunki. Wśród win wymienię jedynie Tsinandali (białe wytrawne), Khvanchkara i Kindzmarauli (czerwone naturalnie półsłodkie) a z mocniejszych trunków bardzo mocny (70%) gruziński bimber Czacza.



Emblemat Założyciela Federacji

Dwa zdarzenia utrwaliły mi wspomnienia pobytu w Tbilisi. W komisowym sklepie z dziełami sztuki (odpowiednik polskiej Dessy) spodobały mi się 2 piękne dość duże (około 60 cm) statuetki bóstw chińskich – Bogini Płodności Quanyin oraz prawdopodobnie Bóg Szczęścia Fu Xing. Miały wygięty kształt, podobny do rzeźb z kości słoniowej, ale były wykonane z glinki porcelitowej. Zaszedłem do tego komis, cena ich była wysoka (500 rubli – odpowiednik 5 miesięcznych pensji młodego lekarza) i zapytałem sprzedawcę: „Co to za statuetki?” A on na to - machając zniechęcająco ręką - odpowiedział, że „eto kitajskie statui oczeń starinnyje...” (chińskie statuetki bardzo stare) jak gdyby ich stary wiek umniejszał wartość. Bardzo mi się podobały i postanowiłem je kupić, ale nie miałem tyle pieniędzy. Czekałem z niecierpliwością na kolejną wypłatę, a brakujące pieniądze chciałem pożyczyć. Przechodząc koło komis, zawsze patrzyłem na wystawę czy jeszcze stoją. Któregoś dnia, a był to dzień bliski miesięcznej wypłaty, patrzę z niedowierzaniem a statuetki zostały

przecone na 325 rubli. Po wypłacie natychmiast je kupiłem i zacząłem analizować ich pochodzenie.

Myślałem, że musiały stać kiedyś w świątyni i jako święte figury były dotykane, bo figura męska miała wytarty tył głowy. W myśl rosyjskiego przysłowia, że „*ljubow ljubowlju, a kuszat' хочzetsia*” (miłość miłością a jeść się chce) pomyślałem, że mogą być cenne i mogę na nich dużo zarobić.

Następnie starałem się ustalić ich faktyczną wartość i gdyby były cenne, jak ewentualnie wywieźć je na zachód. Podczas powrotu do Warszawy, na lotnisku Szeremietiewo, na pytanie co jest w torbie, odpowiedziałem, że statuetki, celnicy tylko machnęli ręką, żeby przechodzić dalej. Po powrocie zrobiłem szereg zdjęć i konsultowałem pochodzenie statuetek w Dessie, a nawet u profesor z muzeum znającej się na chińskiej sztuce. Kupiłem nawet książkę o historii sztuki chińskiej i ją studiowałem.

Nadal nie byłem pewien co to są za figury i podejrzewając ich dużą wartość, nieco zdesperowany jedyny raz udałem się z nimi na bazar przy ulicy Wolymen, na Bielanych. Poza statuetkami, które nazwałem „kukielkami”, wystawiłem na sprzedaż kilka starych numerów Playboya przywiezionych z Ameryki oraz 2 nowe gaźniki od motocykla IFA BK 350, które kiedyś kupiłem w NRD do swojego motocykla. Dla „kukielek” dałem zaporową - bardzo wysoką cenę. Ludzie byli zainteresowani statuetkami, ale poważnie nikt o kupnie nie rozmawiał, natomiast starte numery Playboya i gaźniki niemal natychmiast sprzedałem.

Nie dawałem za wygraną i spotkałem się także z byłym ambasadorem Polski w Chinach, który akurat pisał książkę o tym kraju. Pokazałem mu zdjęcia i w związku z jego dużym zainteresowaniem, ponieważ opisując sztukę chińską chciał umieścić je w swojej książce, poinformowałem go niezgodnie z prawdą, że statuetki te posiada mój znajomy w Tbilisi.



Para Księżęca, dzisiaj Cesarska na otwarciu Kongresu (Tokio, 1974)

Uważałem potem, że zrobiłem błąd, bo mając zdjęcia w takiej książce, wartość statuetek mogła się potencjalnie zwiększyć. Problem wartości „kukielek” nadal mnie nurtował i zdecydowałem, że jeżeli ich wartość byłaby co najmniej po 10tys. dolarów za sztukę, to warto byłoby rozważyć ich sprzedaż na zachodzie.

W jesieni leciałem drugi raz w życiu do Japonii, celem uczestniczenia w I Kongresie WFNMB podczas którego wygłosiłem referat i podpisałem członkostwo Polski w tej organizacji. Tym razem leciałem liniami JAL (Japońskie Linie Lotnicze) z Frankfurtu przez Moskwę, bezpośrednio do Tokio.

Wziąłem ze sobą zdjęcia „kukielek” celem oceny ich wartości. W sklepach z dziełami sztuki w Tokio stwierdzono niewątpliwie, że są to postacie chińskie a ich wartość tylko na podstawie zdjęć nie była możliwa do określenia. Moja ciekawość jeszcze wzrosła.

Podczas kongresu dowiedziałem się, że jeden z uczestników ma własną galerię sztuki w Waszyngtonie. Przekazałem mu zdjęcia prosząc o ekspertyzę wartości i w zależności od niej ujawniłem ewentualne plany sprzedaży „kukielek” na zachodzie. Jego galeria miała inny charakter, dlatego zobowiązał się, że zdjęcia skonsultuje z Chińczykiem – profesorem historii sztuki chińskiej, będącym ekspertem w Smithsonian Institution (największy na świecie kompleks muzeów i ośrodków edukacyjnych głównie w Waszyngtonie). Umówiliśmy się, że o wynikach konsultacji poinformuje mnie on w oględny sposób w liście.



Podpisanie aktu przystąpienia Polski do Federacji

Nadal sam chciałem określić ich wartość i w 1975r. po sympozjum w Aviemore, poszedłem na aukcję dzieł sztuki chińskiej w Londynie, organizowaną przez Dom Aukcyjny Sotheby's. Wchodząc na salę, pokazałem zdjęcia dwóm pracownikom Sotheby's, ale oni nie byli zainteresowani tematem. Zasiadłem więc wśród bardzo bogatych ludzi czując się jak potencjalny milioner i podczas kolejnej licytacji „patrzyłem co jest grane”. Licytowane były statuetki mniejsze od moich, ale z kości słoniowej w cenie po kilka tysięcy funtów za sztukę. Inne wyroby mnie nie interesowały, a poza tym nie miałem dużo czasu, bo byłem umówiony z przedstawicielem Arabii Saudyjskiej w związku ze staraniami o pracę w Rijadzie.



Chińskie statuetki

I w zasadzie na tym kończy się historia „kukielek”, ponieważ treść listu z Waszyngtonu nie budziła wątpliwości - „żebym cieszył się statuetkami w domu”. Dlatego sprawę uważałem za zamkniętą, statuetki pozostały w rodzinie i od 39 lat cieszą nasz wzrok.

Drugie zdarzenie z pobytu w Tbilisi wiąże się z moim mieszkaniem w hotelu Iveria. Zdawałem sobie sprawę, że po niedawnym, pobycie w USA i międzynarodowej aktywności jestem obserwowany przez służby specjalne w Związku Sowieckim. Życzliwi koledzy z Instytutu ostrzegali mnie, żebym nie zawierał znajomości w okolicach hotelu, ponieważ może to skomplikować mi życie. Ponadto byłem przekonany, że mój pokój w hotelu jest na podsłuchu i zrobiłem w nim kontrolę poszukując ewentualnych gadżetów.

Nie myliłem się, bo późnym wieczorem telefonował do mnie mężczyzna z pytaniem „*Andriej kak pożywasz?*”. Nie ucinałem rozmowy tylko kontynuowałem, chcąc się dowiedzieć z kim mam do czynienia. W rozmowie padały stwierdzenia, że „*u was w Polsce charoszyje dziewczki*” i że „*jemu skuczno*” (on się nudzi). Telefony niestety powtarzały się późno wieczorem a czasem nawet w nocy, na które na razie nie reagowałem. Którejś nocy zadzwonił z pytaniem „*Andriej Belgrad chcesz?*”, zorientowałem się, że pracuje gdzieś w centrali telefonicznej, a że było późno i mnie obudził, to byłem zdenerwowany i odpowiedziałem: „*A na ch... mnie Belgrad, ty daj mi Warszawu, to ja z żenoi pogawariu*”. A on, że nie ma możliwości łączenia z Warszawą. W rozmowie powiedział mi jak ma na imię i jak się nazywa i że jest Ukraińcem. Sposób mówienia nie wskazywał, żeby był po alkoholu. Prawdopodobnie był na służbie i miał za zadanie podsłuch telefoniczny. A za chwilę: *Andriej, dziewczkę chcesz?* i natychmiast mnie połączył z jakąś dziewczyną. Ona prawie z płaczem bardzo się skarżyła na niego, że ją budzi w nocy, łączy z różnymi ludźmi itd.

Tego było już za wiele i na drugi dzień udałem się do kierownika hotelu z interwencją, że pracownik centrali telefonicznej hotelu (tak sądziłem), telefonuje, budzi mnie i nie daje spokoju. Kierownik, na to, że w hotelu są tylko ATSy (Awtomaticzeskije Telefonnyje Stancji) i nie ma central obsługiwanych przez ludzi. Ja jemu nie wierzyłem i zeszliśmy do piwnic hotelu, gdzie rzeczywiście były tylko szafy ATSów.

Któregoś dnia, w hotelu pojawiła się polska drużyna rowerowa na zawody wyścigów torowych oraz polski zespół muzyczny. Mieszkali w kilku pokojach na niższym piętrze i kiedyś odwiedziłem ich. Wchodząc do pokoju zauważyłem młodego mężczyznę w mundurze, ale wszedłem dalej rozmawiając z członkami zespołu muzycznego. Ten żołnierz po chwili „ulotnił się”. W rozmowie zapytałem ich, a co to za facet w mundurze, a oni, że to Wasia, bardzo lubi Polaków, przychodzi i pomaga im nosić instrumenty, telefonuje do nich – po tej

informacji wybiegłem z pokoju chcąc go spotkać, zbiegłem szybko po schodach na parter chcąc go złapać jeszcze w windzie, ale bezskutecznie, Wasia zniknął.

Informację o telefonach przekazałem koledze, który był sekretarzem partii w Instytucie i podczas odwiedzin w hotelu, akurat zadzwonił Wasia. Od razu połączył mnie z tą dziewczyną, a ja oddałem słuchawkę koledze. Rozmawiali po gruzińsku i ona bardzo żaliła się na Wasię, a on nie znając języka gruzińskiego okresowo im przeszkadzał, przerywając rozmowę. Kolega, już po rosyjsku – bardzo mocno go obrugał, zażądał zaprzestania dzwonienia do ludzi, bo mu robi „lewatywę” cokolwiek miałyby to znaczyć. I rzeczywiście Wasia od tamtej pory nie telefonował już do mnie. Wracając z Tbilisi oprócz „kukielek” kupiłem Pawłowi samochód na pedały i przywiozłem do Warszawy jako bagaż samolotami rejsowymi.

Rok 1974 był obfity w podróże, bo już w czerwcu, 2 miesiące po powrocie, znowu leciałem do Tbilisi tym razem z Barbarą i Pawłem wziąć udział w III Tbiliskim Sympozjum na temat Ukrwienia Mózgu – z udziałem naukowców z innych krajów. Na tym sympozjum oprócz wygłoszenia referatu, tłumaczyłem Amerykanom z języka rosyjskiego na angielski.

Podróż lotniczą mieliśmy tą samą trasą, Paweł w wieku 5 lat leciał pierwszy raz samolotem, a w Tbilisi mieliśmy twarde lądowanie - „z kangurem” i przechyłem na skrzydło. Pan Bóg jak zwykle nad nami czuwał. Mieszkaliśmy tym razem w innym hotelu i podczas gdy ja uczestniczyłem w sympozjum, Barbara z Pawłem zwiedzali miasto. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Moskwie i zwiedziliśmy najbardziej atrakcyjne miejsca tego miasta.

Lata siedemdziesiąte 1974 – 1979

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, życie rodzinne i zawodowe płynęło wartko i było przeładowane zdarzeniami. Paweł chodził już do przedszkola i rozpoczął edukację w szkole podstawowej. Ja nadal pracowałem w Instytucie a Barbara przeniosła się do Centralnego Instytutu Ochrony Pracy. Od 1974r. jeździliśmy kupionym za dewizy Fiatem-125 z silnikiem Poloneza. Ja pracowałem wydajnie naukowo publikując szereg prac w kraju i za granicą oraz uczestniczyłem w szeregu sympozjach i zjazdach naukowych - Kongres Neuropatologii w Budapeszcie, Kongres WFNMB w Tokio, Zjazd Radiologów w Lublinie, (1974), Avimore Szkocja (1975), Linköping Szwecja, znowu Tbilisi, (1976), Wrocław Berlin Zachodni, Chicago (1977), Washington D.C. (1978) i inne. W ramach wymiany gościliśmy w Warszawie na dłuższych pobytach naukowych Prof. G.I. Mchedlishvili i Dr biol. Lję Nikolaishvili z Tbilisi.

W okresie tym starałem się także o pracę w Zakładzie Medycyny Nuklearnej w Szpitalu Specjalistycznym Króla Fajsala w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej. Starania czyniłem indywidualnie, ponieważ wyjazd przez PolService do tego kraju nie wchodził w ogóle w rachubę. Szanse miałem duże, ponieważ byłem specjalistą amerykańskim z dużym doświadczeniem klinicznym. Nie myliłem się, bo zostałem zakwalifikowany do pracy przez przedstawiciela tego szpitala w Londynie i czekałem na oficjalne dokumenty. Nawet bawiliśmy się z Pawłem w Beduinów okręcając sobie głowy ręcznikami i studiowaliśmy sposób życia w białych enklawach w arabskim kraju o bardzo surowym prawie. Jednakże oficjalne dokumenty związane z wyjazdem przez dłuższy czas nie nadchodziły i ja korespondencyjnie monitowałem arabskie władze szpitala w tej sprawie. Nareszcie nadszedł oficjalny list z Arabii Saudyjskiej nadany w Nowym Jorku (sic!) w którym dyrekcja szpitala informuje, że spełniam wszystkie wymagania zatrudnienia z wysoką oceną, ale przepisy kraju nie pozwalają mnie zatrudnić, ze względu na „*region geograficzny mego zamieszkania...*”. Zamiast napisać, że „*osoby z krajów bloku komunistycznego nie mogą być zatrudniane w Arabii Saudyjskiej*”, to napisali bardziej kulturalnie, a list obawiali się wysłać z Rijadu, tylko musiał ktoś wrzucić go do skrzynki w N.Y.. Wcale się tym nie przejąłem i nadal działałem na wielu frontach.

Podczas dłuższego weekendu wybrałem się z Ojcem do Skierbieszowa co opisałem we wstępie. W 1975r. załatwiliśmy także paszporty i wizy na miesięczny wyjazd w lecie do Szwajcarii. Paweł miał wtedy 6 lat.

Zabraliśmy 3 osobowy namiot z przedsionkiem, materace, 5kg butlę gazową z kuchenką, dużo puszek z pokarmami, makarony, 400\$ i ruszyliśmy samochodem (Fiat-125) w drogę. Znaną trasą przez Poznań, Słubice dojechaliśmy do Wschodniego Berlina. Tutaj w pobliżu Friedrichstraße pokazałem Barbarze i Pawłowi mur, przejście dla pieszych Charlie Checkpoint i widok Berlina Zachodniego od tej strony. Ja pełniłem rolę przewodnika, bo uczestnicząc w sympozjach w Berlinie Zachodnim znałem obie części miasta. Następnie obwodnicą Berliner Ring pojechaliśmy na południe do Potsdamu i tu przekroczyliśmy żelazną kurtynę czyli granicę do Berlina Zachodniego. Żołnierze z NRD podczas przekraczania granicy, zawsze dokładnie kontrolowali samochód, podnosząc tylne siedzenie oraz zaglądnijąc przez lustra na wyciężnikach pod spód samochodu.



Berlin Zachodni - na tle Reichstagu

W Berlinie Zachodnim byliśmy tylko kilka godzin. W okolicach Reichstagu, w pobliżu rzeki Sprewy widzieliśmy krzyże pamięci ludzi zastrzelonych podczas ucieczek na zachód. Z platformy widokowej przy Bramie Brandenburskiej widoczni byli za murem we Wschodnim Berlinie uzbrojeni żołnierze NRD co wyglądało groźnie, a po prawej stronie miejsce w którym był bunkier Hitlera. Następnie pojechaliśmy na Ku-damm (Kurfürstendamm), zjedliśmy pizzę i ruszyliśmy w dalszą drogę na południe. Ponownie wjechaliśmy do NRD i korytarzem południowym dojechaliśmy do Hirschberg (niemieckiej Jeleniej Góry). Tutaj znowu poddani zostaliśmy dokładnej kontroli granicznej przekraczając po raz 3 żelazną kurtynę.

Przez Norymbergę dotarliśmy do Monachium, w którym w pobliżu stadionu olimpijskiego zrobiliśmy przerwę. W 1972r. podczas XX olimpiady letniej, porwani zostali sportowcy z Izraela i zginęli, a ja z Barbarą oglądałem na żywo tą tragedię w telewizji w B-

ham. Z Monachium jechaliśmy w kierunku jeziora Bodeńskiego do Lindau i Bregencji, przekroczyliśmy granicę ze Szwajcarią i przez kilka dni zatrzymaliśmy się w pobliżu St. Gallen na polu namiotowym celem odpoczynku po podróży i decyzji gdzie zatrzymamy się na dłużej.



W Szwajcarii

W Szwajcarii po raz pierwszy napełniłem zbiornik benzyną i zapłaciłem równowartość 14\$. Była to dla mnie wówczas benzyna najdroższa na świecie, porównując do cen paliwa w USA i w Polsce. Wreszcie przez Rappersville dojechaliśmy do znanej miejscowości wypoczynkowej Interlaken, położonej między dwoma jeziorami Thun i Brienz, gdzie na polu namiotowym, w pobliżu basenu, z widocznym w głębi alpejskim szczytem Jungfrau, pokrytym śniegiem, spędziliśmy 3 tygodnie.

Finansowo prowadziliśmy skromne życie - płaciliśmy za miejsce na kempingu, a kupowaliśmy tylko pieczywo, masło oraz owoce dla Pawła. Całodzienne wyżywienie robiliśmy z produktów polskich. Pomimo tego pod koniec pobytu raz „zaszalałem” – przeznaczyłem 3 franki szwajcarskie (wtedy około 2\$) i poszedłem pierwszy raz w życiu do kasyna w Interlaken i zagrałem w ruletkę. Grałem obstawiając tylko parzyste/nieparzyste czy kolory (już nie pamiętam) i grałem dość długo chyba z 15min. raz wygrywając raz przegrywając. Drugi raz grałem już w kasynie w Las Vegas, ale o tym w przyszłości. Podczas pobytu w Interlaken zrobiłem sporo zdjęć i slajdów, ale jeden – Pawła w basenie na tle Jungfrau był tak piękny, że do końca pracy zawodowej posługiwałem się nim do „ustawiania ostrości rzutnika” zawsze jako pierwszy slajd w moich prezentacjach naukowych.

W drodze powrotnej do Polski zatrzymaliśmy się kilka dni w pobliżu Scaffhausen. Pawełek zwrócił uwagę, że w Szwajcarii jest dużo motocykli, które zamiast Suzuki nazywał

Sobaki, ponadto z powodu dużego ruchu na drogach widzi się sporo zabitych przez samochody jeży. Pomimo tego, jeden z żyjących jeży zjadł nam w nocy w namiocie masło. Ostatnie dni pobytu w Szwajcarii mieliśmy bardzo miłe. Znajomy, przedstawiciel firmy Bracco zaprosił nas na rejs łodzią po Renie, gdzie w czystej przezroczystej wodzie widać było piękne pstrągi. Zostaliśmy też zaproszeni na obiad do restauracji oraz do wspaniałego muzeum dzieł sztuki w Winterthur. Do Polski wróciliśmy przez Drezno, Zgorzelec, Wrocław do Warszawy.



W Szwajcarii - Interlaken



Pierwsza komunia
z Anią stryjeczną siostrą

W końcu 1976r. miałem gotową swoją drugą pracę habilitacyjną, a ponieważ nasz Instytut nie miał jeszcze praw habilitowania, przewód przeprowadzony został w styczniu 1977r. w Instytucie Immunologii Doświadczalnej im. L. Hirszfelda PAN we Wrocławiu. Tytułem pracy były „Badania nad ischemiczno-hipoksyjnym obrzękiem mózgu przy użyciu metod izotopowych”. Życzliwość mojego szefa, Prof. Mossakowskiego objawiała się m.in. w sprawach administracyjnych i jak sadzę był zadowolony z tematu mojej pracy. Kolokwium habilitacyjne było trudne, bo obejmowało dwie dziedziny - wiedzę w zakresie metod izotopowych oraz zagadnienia neuropatologii czyli zmiany anatomopatologiczne mózgu na poziomie mikroskopowym. Z pierwszego tematu pytania zadawał mi Prof. Hugon Kowarzyk (Patofizjolog), a z drugiego Prof. Mieczysław Wender (Neurolog, Neuropatolog). Następnie, pytania zadawali mi członkowie Rady Naukowej Instytutu. Kolokwium poszło mi dobrze w obu dziedzinach, a w podsumowaniu podkreślano moją dobrą znajomość metod izotopowych i przystępne przedstawianie trudnych i skomplikowanych problemów.

Z mojej habilitacji bardzo cieszył się Ojciec, który wtedy miał 82 lata i podkreślał, że dożył chwili, że obaj jego synowie są docentami.

W czerwcu 1977r. poleciałem drugi raz do Stanów tym razem do Chicago, ażeby uczestniczyć w 24 Sympozjum SNM oraz w konferencji WFNMB, na której omawiano przygotowanie do II Światowego Kongresu, który zaplanowano na 1978r. w Waszyngtonie D.C.

Przyleciałem wieczorem na najbardziej zatłoczone lotnisko świata O'Hare International Airport i jak dojechałem do hotelu w pobliżu Centrum Zjazdowego McCormick Convention Center, był już późny wieczór. Rezerwację hotelu załatwił mi Arthur Weis, President Capintec Inc., którego poznałem w Kioto podczas I Kongresu WFNMB, ale ponieważ biuro zjazdu było już zamknięte, to nie wiedziałem w jakim hotelu mam rezerwację. Było ciepło i postanowiłem, że tę noc spędzę na dworze, żeby nie płacić z własnej kieszeni kilkudziesięciu dolarów za jedną noc. Walizkę zostawiłem w recepcji hotelu i wyszedłem na ulicę poszukać jakiegoś miejsca do spędzenia nocy. Pomimo późnej pory Chicago tętniło życiem, ponieważ tego dnia odbywały się jakieś zawody sportowe i na ulicach przebywało dużo młodzieży, którzy słuchali muzyki z radiodbiorników, pili piwo i zachowywali się dość głośno. Spacerując rozglądałem się za jakimś odludnym miejscem i niedaleko hotelu, w niskiej zabudowie, zauważyłem pusty parterowy budynek z podjazdem samochodowym. Na wysokim parterze był obszerny, nie zadaszony taras, otoczony dość wysokim murem. Wokół budynku było sporo zieleni w postaci drzew i krzewów. Uważałem, że jest to dobre miejsce do spędzenia nocy. Będąc bardzo zmęczony usiadłem wygodnie na betonowej półce, sprawdziłem w kieszeni paszport, w specjalnym pasku do spodni pieniądze, upewniłem się, że nie jestem z zewnątrz widoczny i głęboko zasnąłem.

Obudziłem się około 4 nad ranem, było cicho i robiło się jasno. Wstałem, żeby rozprostować kości i zauważyłem w pobliżu okno. Zajrzałem do środka i struchlałem, bo okazało się, że jest to budynek banku „drive through”, w którym można pobierać pieniądze nie wysiadając z samochodu. Mocno się zdenerwowałem, bo można było przypuszczać, że w nocy włamuję się do banku, a z policją w Ameryce a zwłaszcza w Chicago nie ma żartów i mogliby mnie zastrzelić. Naturalnie już nie zmrużyłem oka i nadśluchiwałem, czy ktoś nie nadchodzi. Około 6 rano, uprzedzając ewentualne nadejście osób sprzątających, opuściłem budynek banku i wróciłem do hotelu. Z recepcji wziąłem walizkę i poszedłem do hotelowej dużej toalety ogolić się, umyć i zmienić koszulę. W biurze zjazdu dowiedziałem się, że rezerwację mam w hotelu Hilton, do którego pojechałem.

Symposium SNM było bardzo interesujące. Niezwykle ciekawy wykład inauguracyjny na temat Projektu Manhattan wygłosił Pionier Medycyny Nuklearnej Dr Harold Agnew, który brał w nim udział. W ramach „Manhattan Project”, 2 grudnia 1942r. w Chicago dokonano po raz pierwszy w historii kontrolowanej doświadczalnie reakcji łańcuchowej w stosie atomowym. Następstwem tego oprócz zastosowań pokojowych było zbudowanie bomby atomowej, której próbné wybuchy testowano przed zakończeniem II Wojny Światowej na pustyni w pobliżu Los Alamos w Nowym Meksyku. W drugim wykładzie Laura Fermi, żona nieżyjącego już Enrico Fermi’ego przedstawiła wybitny wkład męża w badania podczas projektu Manhattan. Cały program naukowy tego sympozjum był bardzo ciekawy, ponieważ w referatach m.in. przedstawiano już praktyczne zastosowania SPECT (Single Photon Emission Computed Tomography – komputerowa tomografia z zastosowaniem techniki pojedynczego fotonu) oraz PET (Positron Emission Tomography – pozytonowa tomografia emisyjna). Podczas sympozjum spotkałem się także ze znajomymi z B-ham, z Dr Evą Dubovsky oraz średnim personelem z tamtego ośrodka.

Konferencja WFNMB była także ważna, ponieważ omawiano sprawy administracyjne związane z II Kongresem planowanym w 1978 w Waszyngtonie, a nawet już z III Kongresem planowanym w 1982r. w Paryżu. Prezydentem obecnej II kadencji na lata 1974-78 wybranym jeszcze w Tokio był Dr Henry Wagner Jr.

Po zakończeniu sympozjum znalazłem się znowu na lotnisku O’Hare i wystartowaliśmy do N.Y.. Lecieliśmy w południe przy pięknej słonecznej pogodzie. Umówiony byłem z Markiem, który już od 3 lat przebywał w Stanach, że będzie czekał na mnie na lotnisku. Lot był spokojny, w intercomie słyszeliśmy rozmowy pilotów z lotniskiem i już z daleka widać było N.Y. Podchodziliśmy do lądowania od strony morza, łagodnie, inaczej niż bywało to w przeszłości, widać było już lotnisko i pas startowy i nagle łup - samolot gwałtownie przyziemił, aż pospadały rzeczy nieumieszczone w schowkach. Pasażerowie struchleli, a tu rozległ się w interkomie łagodny głos stewardesy: „*Szanowni państwo, właśnie wylądowaliśmy w N.Y. na lotnisku JFK i przekazuję państwu serdeczne pozdrowienia od kapitana Smitha, który pierwszy raz lądował na tym lotnisku*”. Rozległy się duże brawa i wszyscy byli uśmiechnięci i szczęśliwi.

Po wyjściu z budynku lotniska przywitał mnie Marek z żoną, który był tutaj już od 3 lat. Wpadliśmy sobie w ramiona i jak mawia Paweł „*kopara mi opadła*” bo wsiedliśmy do Marka Cadillaca. Żebym poczuł się jeszcze lepiej „*jako ubogi krewny z dalekiego kraju*” otrzymałem zegarek elektroniczny, których w Polsce jeszcze nie było i mam go do dzisiaj jako pamiątkę.

Z lotniska JFK jechaliśmy około 2,5 godziny na południe przez stan New Jersey do Trenton, gdzie się zatrzymałem kilka dni u Marka. Pobyt miałem bardzo przyjemny, bo oprócz wizyt u znajomych i w klubach, byłem także zapraszany na przyjęcia do restauracji oraz byłem nawet na weselu wnuczki kuzynki. Po kilku dniach zmęczony, ale pełen wrażeń wróciłem do Polski lecąc już bezpośrednio z lotniska JFK na lotnisko na Okęciu w Warszawie.

Po powrocie zaczęły się kłopoty z nieruchomością rodzinną w Nałęczowie. Już od dawna weszła w życie ustawa, że nie wolno posiadać dwóch nieruchomości w postaci domów. Rodzice przekazali do użytkowania miejscowym władzom dom Olgierda, w którym urządzono Ośrodek Zdrowia. W spisanej umowie, odnawianej corocznie, władze nie płaciły czynszu, jedynie podatek od nieruchomości. Rodzice byli już starsi i byli emerytami. Żeby im się nie nudziło, tym razem władze centralne chciały upaństwować połowę ogrodu, celem stworzenia zaplecza dla willi Gioji, w której zorganizowany był ośrodek FWP (Fundusz Wczasów Pracowniczych). Znając realia życia w komunizmie, udało się nam z Olgierdem obronić własność rodzinną w specjalny sposób. Odwiedziliśmy w Warszawie siedzibę CRZZ (Centralna Rada Związków Zawodowych) instytucji, która była wnioskodawcą i udając pracowników Urzędu Bezpieczeństwa (autentycznie), powiedzieliśmy urzędnikom prowadzącym sprawę w mocny sposób, *„żeby się od... od Kapuścińskich w Nałęczowie, bo inaczej to my im zrobimy lewatywę ...”*. Poskutkowało.

Kolejnego problemu nie udało się już odkręcić. Miejskowe władze wraz z władzami wojewódzkimi w Lublinie, zmusiły rodziców do sprzedania za grosze powyżej 1000m² północnej części ogrodu, celem zbudowania na sąsiedniej posesji Prewentorium dla Zakładów Przemysłowych w Świdniku. W przypadku sprzeciwu grożono wywłaszczeniem. Matka prosiła o uwzględnienie także ceny drzew owocowych i przy cenie ziemi 3zł za 1m² rodzice otrzymali ogółem około 30tys. zł, które wpłacono na ich konto bankowe. Prewentorium dla Świdnika nie zbudowano i po 1989r. jak w Polsce upadł komunizm, to myśmy z Olgierdem odkupili tą część ogrodu, ale już za wysoką wolnorynkową cenę kilkunastu milionów złotych.

Druga połowa 1977r. była wypełniona intensywną pracą naukową, ale pojawiły się również i zmiany administracyjne. W początkach września uczestniczyłem w Sympozjum im. Erwina Resicha na temat Patologii Mikrokrążenia Mózgowo-rdzeniowego, w Klinice Steglitz, w Berlinie Zachodnim, a na przełomie września i października w 28 Zjeździe Radiologów we Wrocławiu. Podczas zjazdu przewodniczyłem sesji Medycyny Nuklearnej i prezentowałem 2 prace, jedna z nich dotyczyła pierwszy raz w Polsce systemu PET.

W związku z habilitacją i mianowaniem na stopień docenta, Dyrekcja i Rada Naukowa Instytutu powołała mnie w 1977r. na stanowisko Kierownika Studium Doktoranckiego, które pełniłem przez kilka lat do 1981r. Do Pracowni Izotopowej przyjąłem absolwenta A.M. w Lublinie lek. med. Ryszarda Plutę celem zrobienia doktoratu. Przez 5 lat byłem kierownikiem i promotorem jego pracy doktorskiej, którą obronił w 1983r. Drugą moją doktorantką była lek. med. Joanna Majkowska, obecnie Jędrzejczak, która obroniła pracę w 1991r. Oboje dzisiaj są profesorami medycyny, a Prof. Jędrzejczak jest obecnie Dyrektorem CMKP (Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego).

Na przełomie roku i w kolejnych miesiącach nadal intensywnie pracowałem naukowo, ponieważ we wrześniu 1978r. chciałem wziąć udział w dwóch międzynarodowych kongresach w Waszyngtonie.

W porozumieniu z Barbarą oraz za zgodą Dyrekcji Instytutu (ponieważ był to wyjazd służbowy, to musiałem mieć zgodę PAN) planowałem tym razem do Stanów polecieć z 9-letnim Pawłem. Do USA musiał on mieć wyrobiony swój własny paszport. Przed wylotem przyzwyczajałem Pawła do zmiany czasu (6h) i przez kilka dni przebywaliśmy w kawiarni Słoneczna (w naszym domu) do późnych godzin nocnych. Od 4 lat istniały już regularne połączenia LOT z Warszawy do Nowego Jorku.



Pierwszy raz w Ameryce

Wystartowaliśmy we wrześniu i z międzylądowaniem w Montrealu wylądowaliśmy w N.Y. Odebrali nas Marek z Elą i znaną trasą przez most Verazano i Staten Island pojechaliśmy do Trenton. Marek miał 2 samochody i podczas pobytu w USA pożyczył mi

Oldsmobila. Miałem uczestniczyć w dwóch kongresach, w pierwszym WFNMB (17–21.09) oraz drugim Neuropatologii (24–29.09). Pojechałem Oldsmobilem do Waszyngtonu, a Marek z Elą i Pawłem Cadillac’iem na Florydę m.in. do Orlando, Cape Canaveral, NASA Space Center i innych miejsc.



Z żywym krokodylem
Orlando, Floryda



J.F. Kennedy Space Center

W Waszyngtonie w tym czasie przebywał na stypendium w Zakładzie Prof. I. Klatzo w Bethesda (podobnie jak Dr Z. Rap w 1971r.) Dr Mieczysław Śmiałek, kolega z naszego Instytutu. Przyjechałem do hotelu Hilton, w którym miałem rezerwację i gdzie odbywał się Kongres WFNMB. Oddałem kluczyki obsłudze hotelu, która zabrała samochód na parking.

Następnie załatwiłem sprawy formalne uczestnictwa w biurze kongresu oraz w recepcji hotelu i udałem się do swojego pokoju. Był to duży 2-osobowy pokój z wszystkimi wygodami. Rozłożyłem swoje rzeczy w łazience, w szafie powiesiłem 2 garnitury i koszule, a że było wczesne popołudnie, położyłem się, żeby trochę wypocząć po podróży. A tu nagle telefon. Podnoszę słuchawkę i słyszę po rosyjsku: *Andriej kak pożywasz?* Przyznaję, że nogi się pode mną ugięły, bo myślałem, że to znowu Wasia, ale tu?! w stolicy USA, w Waszyngtonie?! Opanowałem się i zapytałem – *ale kto dzwoni? A to ja N.M.* (kolega - sekretarz partii z Tbilisi). Nieco się uspokoiłem, ale zapytałem, „*ale skąd ty dzwonisz?*”, a on że z *Sowietskowo Posielstwa* (z Sowieckiej Ambasady), znowu nogi mi się ugięły ale już bardziej opanowany zapytałem ale skąd ty masz mój numer telefonu? A od Śmiałka i sprawa się wyjaśniła. Powiedział mi, że właśnie wraca do Gruzji po półrocznym pobycie na

stypendium w Stanach i od Śmiałka wie, że są 2 międzynarodowe kongresy, na które przyjedzie sporo kolegów z Polski.

Kongres WFNMB był bardzo interesujący i potwierdzał ogromny postęp nauki w tej dziedzinie. Wygłosiłem 2 współautorskie referaty, jeden z kolegami z Warszawy a drugi z kolegami z WAM (Wojskowej Akademii Medycznej) w Łodzi. Powodem współautorstwa był brak własnego materiału klinicznego w związku z doświadczalnym charakterem mojej pracy w Instytucie PAN. Na bankiecie poznałem atrakcyjną kobietę i rozmawiając po angielsku dowiedziałem się, że jest Polką (B.Z.) i razem studiowaliśmy medycynę w Warszawie. Wyjechała z Polski zaraz po studiach, przebywała w Australii, w Anglii a na końcu wyszła za mąż za lekarza specjalistę w medycynie nuklearnej w USA. Przedstawiono mi także inną kobietę, również lekarzkę z Polski, która po moim odejściu pracowała u Doc. Grabana i wyszła za mąż za znanego lekarza w tej dziedzinie w Anglii.

W ostatnim dniu Kongresu, wrócili z Florydy Marek z Elą i Pawłem opaleni, pełni wrażeń i zatrzymali się u mnie w hotelu. Przedstawiłem Pawła Dr Ewie Dubovsky, Prof. H. Wagnerowi Jr oraz kilku innym osobom. Po zakończeniu obrad poszliśmy na basen, a następnie pojechaliśmy na krótką wycieczkę do jaskiń Luray w stanie Virginia. Po powrocie przenocowaliśmy w moim pokoju i następnego dnia rozjechaliśmy się – oni wrócili do Trenton a ja zamieszkałem nadal w Waszyngtonie w willi, w której mieszkał Dr Śmiałek.

Po kilku dniach rozpoczynał się VIII Międzynarodowy Kongres Neuropatologii w Shoreham-Americana Hotel, w którym uczestniczyła światowa czołówka naukowców w tej dziedzinie jak Prof. I. Klatzo, Prof. H. Wiśniewski, a z Polski Prof. M. Mossakowski, Prof. M. Wender i inni. Wygłosiłem współautorski z Prof. Mossakowskim poważny merytorycznie referat pt. „Hipoksja czy Ischemia mózgu? Jaki jest faktyczny mechanizm?” W pracy udowodniliśmy, że podczas niedotlenienia po okresie kompensacji dochodzi do niewydolności ośrodkowego układu krążenia i w efekcie do krytycznego niedokrwienia mózgu. W dyskusji praca uzyskała bardzo wysoka ocenę.

Podczas tego Kongresu kilka zdarzeń utkwilo mi w pamięci. W naszym gronie z Polski pojawiła się Lucyna Winnicka, aktorka a od kilku lat dziennikarka, zajmująca się medycyną niekonwencjonalną oraz filozofią i medycyną Dalekiego Wschodu. Przyleciała ona pierwszy raz do Ameryki z Brazylii, gdzie przebywała służbowo. Dysponując samochodem czasem podwoziłem różne osoby orientując się wg mapy miasta. Prof. Mossakowski poprosił żebym podwiózł ją do Smithsonian Museum, bo miała coś do załatwienia, co uczyniłem i przy okazji zwiedziłem dział kosmiczny. Spotkaliśmy się ponownie w podziemnym garażu i ona chciała zapłacić za parkowanie i wyciągnęła banknot 100\$. Jako „stary Amerykanin” wyjaśniłem jej,

że w USA to jest duża suma i nie powinna tego robić zwłaszcza w podziemnym garażu, bo to jest niebezpieczne; w sklepach nikt nie trzyma w kasie banknotów większych niż 20\$, a banknoty 50\$ i 100\$ trzyma się na zapleczu sklepu.

Któregoś dnia po obradach, zostaliśmy zaproszeni do domu Prof. Daniela C. Gajduska, laureata Nagrody Nobla w 1976r. w dziedzinie fizjologii i medycyny, za badania nad prionami - powolnymi wirusami. Pracując w Papui – Nowej Gwinei, gdzie wśród Papuasów panował rytualny kanibalizm - zwłaszcza kobiety oraz dzieci zjadały mózgi zmarłych - stwierdził on zakaźny wirusowy charakter choroby kuru. Jego odkrycie wiąże się z etiologią choroby Creutzfeldta-Jakoba (CJD) oraz z Gąbczastą encefalopatią bydła (BSE) zwaną chorobą szalonych krów. Wśród tamtych plemion panował także rytualny homoseksualizm.

W dużej willi na przedmieściach Waszyngtonu było zaproszonych kilku profesorów z Polski, NRD i pani Winnicka, która zbierała materiał o jego pracy naukowej. Widzieliśmy wtedy kilkunastu młodych chłopców z Papui - Nowej Gwinei, ale nie wiedzieliśmy, że laureat był homoseksualistą i pedofilem, do czego zresztą się przyznawał. Zostało to stwierdzone przez sąd dopiero w 1996r., na 2 lata przed jego śmiercią.

Wyjeżdżając po spotkaniu z przed willi Gajduska zostałem uderzony przez inny samochód w lewy tylny błotnik z winy tamtego kierowcy. Ja stałem czekając na skręt w lewo, a on już z daleka hamował, ale nie wyhamował. Uderzenie nie było duże, więc nie zatrzymałem się tylko pojechałem dalej i rozwiozłem pasażerów pod wskazane adresy. Po zakończeniu kongresu wróciłem do Marka i Pawła do Trenton.

W Trenton przebywaliśmy z Pawłem jeszcze około tygodnia. Po uczestnictwie w dwóch kongresach ja byłem w dobrym nastroju, ale męczyła mnie psychicznie świadomość, że uszkodziłem Markowi samochód. Reperacja samochodu w warsztacie byłaby zbyt droga na moją kieszeń i postanowiłem to zrobić sam. Pomagał mi Marek, który w tamtym czasie pracował w zakładach samochodowych General Motors. Pomagał mi także Pawełek, który przynosił drinki.

Marek zamówił na cmentarzysku samochodów lewą tylną ćwiartkę takiego samego Oldsmobila (tak samo jak się kupuje ćwiartkę kurczaka), kupiliśmy wyrzynarkę do blachy, mały aparat spawalniczy na peletki (specjalne naboje, które paląc się wytwarzają wysoką temperaturę i tlen) i puszkę lakieru w sprayu.

W ogrodzie przy domu, w którym mieszkał Marek był okrągły blaszany basen, a że była piękna słoneczna pogoda i Pawełek regularnie donosił burbona Jacka Daniels'a z 7up, to między kąpielami w basenie robota pomykała szybko. Z uszkodzonego samochodu wyciąłem cały lewy tylny błotnik, to samo zrobiłem w kupionej ćwiartce Oldsmobila, a następnie

przyspawałem błotnik na miejsce uszkodzonego. Linię spawu wygładziłem pilnikiem i papierem ściernym i cały błotnik pomalowałem. Robotę wykonałem jak stary doświadczony blacharz-lakiernik i „lemuzyna” znowu wyglądała jak nowa.

Po naprawieniu samochodu spędzaliśmy miło wolny czas odwiedzając Marka znajomych. Będąc u państwa Górniewskich, oglądaliśmy m.in. ogniwa selenowe na dachu budynku, wykorzystujące energię słoneczną do podgrzewania wody. Przebywając w salonie Paweł zauważył skarbonkę w kształcie puszki Coca-coli a gospodarz widząc jego zainteresowanie zachęcił go stwierdzeniem, że wszystko co uda mu się wyciągnąć z tej skarbonki będzie jego. Skarbonka zawierała dużo monet pół-dolarowych. Podczas gdy my rozmawialiśmy to Paweł ciężko pracował, początkowo tylko rękami a potem udoskonalił metodę posługując się nożem. Pracował powyżej godziny i opróżnił całą skarbonkę wydobywając z niej kilkadziesiąt monet – ogółem 35\$. Naturalnie jako „wynagrodzenie honorowe za pracę” pieniądze te mógł zabrać. Od tego czasu mówiliśmy w rodzinie, że jak Paweł „pracował” w USA, to miał doskonałą stawkę 35\$ za godzinę. Monety te mamy do dzisiaj.

Przed odlotem zrobiliśmy spore zakupy m.in. 2 ocieplane kurtki jeansowe dla mnie i dla Pawła i szereg innych rzeczy. Ja dałem Pawłowi pieniądze, żeby sobie sam kupił co uważa i jako pierwszą zabawkę kupił lalkę Barbie. Podobnie jak monety pół-dolarowe, Barbie traktowana jest w rodzinie jak talizman i Paweł podarował ją córkom. Wśród wielu zabawek kupiliśmy latający helikopter i samolot, oba z silnikami spalinowymi, deskę na kółkach - skateboard i inne. Marek odwiózł nas na lotnisko JFK do N.Y. i odlecieliśmy do Polski.

Po przylocie wzięliśmy z Barbarą ślub kościelny w naszej parafii w kościele Św. Jakuba przy placu Narutowicza. Ślub był skromny, bez przesadnej „pompy”, ale chcieliśmy być oryginalni i zamiast ryżu, czy jedno-groszówek, przy wyjściu z kościoła sypnęli na nas (dokładnie obliczoną ilością) „zarobionych przez Pawła” pół-dolarówek. Zbieraliśmy je bardzo pracowicie, ale trzech monet zabrakło. Przyjęcie weselne zorganizowaliśmy w mieszkaniu rodziców Barbary.

Lata osiemdziesiąte 1980 – 1983

W myśl powiedzenia im dalej w las tym więcej drzew, w starszym wieku ilość wydarzeń i problemów może nie jest większa, ale człowiek albo ich nie ogarnia, lub są one trudniejsze do przeżycia. Lata te obfitowały bardzo dużą ilością ogromnie ważnych wydarzeń.

Już rok 1978 był politycznie burzliwy, sytuacja ekonomiczna kraju pogarszała się, obowiązywały kartki na produkty spożywcze i narastały niepokoje społeczne. Pomimo tego praca badawcza nad niedokrwieniem i obrzękiem mózgu w Instytucie rozwijała się, doktorant robił postępy, publikowaliśmy dużo prac i braliśmy udział w sympozjach i kongresach naukowych (Moskwa 1978, Berlin Zachodni 1980, Wiesbaden 1981, Freiburg 1981, Paryż 1982). Kontynuowana była także wymiana z naukowcami z ośrodków zagranicznych.

Podobnie jak z ośrodkiem w Tbilisi, współpracowaliśmy z Zakładem Ogólnej Reanimatologii, Akademii Nauk Medycznych ZSRS w Moskwie, pod kierownictwem znanego naukowca Prof. Władimira Niegowskiego. Prowadzili oni badania nad krytycznym niedokrwieniem mózgu, czynnością bioelektryczną tego narządu i reanimacją ze stanu śmierci klinicznej. W ramach wymiany naukowej w naszym Instytucie przebywali Prof. A. Gurwicz, Doc. S.V. Tołowa i inni. Z naszej strony przebywali w Moskwie m.in. Dr. R. Pluta, Dr W. Hilgier razem z S. Januszewskim, Dr H. Weinrauder i inni.

Od rosyjskich lekarzy nauczyliśmy się doświadczalnego modelu śmierci klinicznej u szczurów, którego oni nauczyli się od kolegów z Kazachstanu, a my w Polsce stosowaliśmy go w badaniach naukowych przez szereg następnych lat. Model ten był prosty w wykonaniu i niezwykle przydatny w badaniach doświadczalnych nad całkowitym niedokrwieniem mózgu i reanimacją organizmu.

Dlatego w końcu listopada 1978r. zdecydowałem się wziąć udział w Międzynarodowym Sympozjum w Moskwie, na temat Patologii Mózgu po Resuscytacji a potem nauczyć się wykonywania tego modelu u jego twórców Prof. Ł.Z. Thiela i współpracowników w Kazachstanie.

Przed odlotem do Celinogradu (dawny Akmolińsk, potem Akmoła, obecnie Astana – po kazachsku stolica) na spotkaniu towarzyskim w mieszkaniu Prof. Gurwicza, informowano mnie o mroźnym klimacie w Kazachstanie i pożyczono mi nawet skórzaną ocieplaną czapkę. Spotkałem tam znowu Prof. I. Ganuszkinę, którą ostatni raz widziałem na VII sympozjum CBF w Aviemore w Szkocji. Lot z lotniska Wnukowo był z przygodami, ponieważ w połowie trasy okazało się, że nad Celinogradem jest „buran” (burza śnieżna) i musimy lądować w Kokczetaw i poczekać aż minie burza. Po latach dowiedziałem się, że jest to znany ośrodek

Polonii – Polaków, zesłanych do Kazachstanu, którzy tam zostali. Czekaliśmy około 2 godzin na lotnisku w dobrze ogrzewanej sali, a na dworze był śnieg i mróz -25° . Po krótkim locie wylądowaliśmy w Celinogradzie. Nazwa miasta pochodzi od słowa „celina” – (miasto na ugorze, ugór, nieużytki).

W mieście tym podczas pełnej zimy i dużego mrozu, byłem przez 2 tygodnie gościem Kierownika Zakładu Patofizjologii tutejszej Akademii Medycznej Prof. Ł.Z. Thiela współtwórcy tego modelu doświadczalnego. Mój przylot był nobilitacją dla tego ośrodka naukowego, dlatego opiekowali się mną znakomicie. Mieszkałem w hotelu w centrum miasta, do Zakładu Patofizjologii byłem codziennie dowożony służbowym Moskwiczem, a w przerwach pracy naukowej jadłem obiady w specjalnym pomieszczeniu razem z rektorem uczelni, sekretarzem partii i Prof. Thielem. Pokazano mi szczegółowo sposób wykonywania tego modelu i podzielono się wynikami badań tutejszej placówki. Zostałem także przedstawiony tutejszym studentom medycyny. Ze swojej strony podzieliłem się wynikami naszych badań referując problemy po rosyjsku.

Czas po zajęciach na uczelni miałem wspaniale wypełniony w postaci biegów i jazdy na nartach w okolicy rzeki Iszym (dopływ Irtyszu), pływania w basenie i spotkań w domu profesora Thiela. Zaprzyjaźniliśmy się i opowiedział mi szczegóły swojego życia rodzinnego. Jego matka pochodziła, z Przemyśla i przed wrześniem 1939r. wyjechała do ZSRS a jak wybuchła wojna to tam została. Podczas wojny przeszła cały szlak wojenny do Berlina, wyszła za mąż za Rosjanina, który także był wojskowym i po wojnie piastował wysokie stanowisko cywilne w Kazachstanie. Sam profesor ożenił się z Kazaczką, lekarzem radiologii i mieli 2 córki. Jej ojciec natomiast pełnił chyba najwyższe stanowisko KGB w Kazachstanie. Była to rodzina bardzo wysoko ustawiona w strukturach władzy Kazachskiej Republiki w ZSRS.

Dzięki temu w Celinogradzie poznałem także miejsca wypoczynku dla wyższych władz partyjnych np. ruską banię (rodzaj sauny). Przyjechaliśmy do budynków z zewnątrz podobnych do naszej fabryki samochodów osobowych FSO, a w środku sauna z basenem, pokoje wypoczynku z miękkimi fotelami, zakąski, południowe owoce, napoje, luksus, a na dworze śnieg i -25° .

Wracając po bani i kąpeli w basenie do hotelu wyprzedziła nas kolumna rządowych samochodów jadących na sygnałach. Zapytałem co to za kolumna i poinformowano mnie, że to wicepremier Ryżkow wraca z wizyty z Indii; ale dlaczego przez Celinograd? bo tu się zatrzyma w luksusowym ośrodku na odpoczynek po podróży. Wprawdzie słyszałem o

luksusowych domach wśród szarej rzeczywistości w komunizmie, ale obecnie zetknąłem się z nimi.

Miałem także wolne chwile „dla siebie” i wtedy dużo myślałem mając mieszane uczucia. Spacerując sam wychodziłem na skraj miasta, żeby zobaczyć ten ogromny step, na którym zesłani Polacy umierali z głodu. W okolicach miasta Kustanaj głodowała rodzina brata mego Ojca. Gdzie głodowała siostra Ojca z rodziną tego nie wiem. Patrząc na bezkresny aż po horyzont step pokryty śniegiem analizowałem tragiczną sytuację zesłanych tu ludzi.

Myślałem o dużym obszarze Kazachstanu, położeniu geograficznym i znaczeniu kilku ważnych miast. Byłem daleko za Uralem a więc na Syberii. Akmolińsk/Celinograd był znanym miejscem zsyłek jeszcze za caratu; na południe leży Karaganda – słynne miejsce zsyłek do prac w kopalniach; na wschód leży Semipałatyńsk miejsce podziemnych prób bomb atomowych nierzadko zbyt płytko umieszczonych, a na zachód Bajkonur.

Przed opuszczeniem Celinogradu Prof. Thiel poprosił mnie, o sprawdzenie losów rodziny jego matki w Polsce. Byli oni przed II wojną światową właścicielami Zakładów Astra w Przemyślu. Po zakończeniu mojej wizyty odleciałem do Moskwy i po krótkim pobycie w tym mieście wróciłem do Warszawy. W Warszawie i Przemyślu ustaliłem, że członkowie rodziny jego matki przeżyli wojnę, ojciec zmarł śmiercią naturalną i został pochowany w Przemyślu a zstępni wyemigrowali do Izraela.



Synowie z wnuczętami i żonami u Babci

Sytuacja polityczna pogarszała się, niepokoje społeczne narastały a najbliższej przyszłości nie dało się przewidzieć. Siostra Barbary Zuzanna pracowała w NBP i zaobserwowała nasiloną likwidację rachunków oszczędnościowych przez ludzi. Ja także zlikwidowałem swój rachunek dewizowy i zarobione w Ameryce oszczędności zabrałem do domu.

W Nałęczowie także mieliśmy kłopoty, bo po przeniesieniu Ośrodka Zdrowia do nowej siedziby, w domu Olgierda pozostały 2 rodziny, zameldowane bez naszej zgody i nie płaciły żadnego czynszu. Mama była już zmęczona przeżyciami i nie zdecydowała się zakończyć umowy najmu zawartej z miejscowymi władzami, a dom wymagał remontu. Ja wziąłem sprawy w swoje ręce i przy pomocy kolegi prawnika (L.M.) oraz komornika, na drodze sądowej uzyskałem krótkotrwały nakaz płacenia czynszu, a potem sądowy nakaz eksmisji, co w ustroju komunistycznym nie było częste. Wyprowadzenie się nie nastąpiło natychmiastowo, ale po pewnym czasie lokatorzy opuścili dom, który niestety już nie nadawał się nawet do remontu.

Niezależnie od bieżącej sytuacji politycznej, w wakacje 1980r. pojechaliśmy na zaproszenie Borysa - bułgarskiego lekarza, który kończył medycynę w Polsce - samochodem do Sofii. Na jego prośbę kupiliśmy komplet żagli (grot i fok) do jachtu Omega, za który on nam zapłacił w bułgarskich lewach. Jadąc przez Budapeszt zatrzymaliśmy się jeden dzień u znajomych w Belgradzie. W Bułgarii przebywaliśmy głównie w Sofii, mieszkając w mieszkaniu rodziny Borysa. Czas spędzaliśmy także w atrakcyjnych miejscach w bliskich górach Witoszy. W Bułgarii przebywaliśmy przez miesiąc i wracaliśmy do Polski pod koniec sierpnia.

Jadąc przez południową część Polski w kierunku Warszawy, widzieliśmy duże kolumny wojska zmierzające na północ. Po przyjeździe obserwowaliśmy w TV i słuchaliśmy w radio toczące się negocjacje pomiędzy przedstawicielami Solidarności z L. Wałęsą na czele i przedstawicielami rządu na czele z wicepremierem M. Jagielskim. Wreszcie 31 sierpnia 1980r. podpisano umowę, w której Solidarność została oficjalnie uznana jako pierwszy w bloku wschodnim niezależny związek zawodowy.

Koniec 1980r. oraz cały 1981r. to była walka Solidarności o demokrację, umocnienie swojej pozycji politycznej a potem o przetrwanie, a ze strony rządu nastąpiły najpierw skrywane a potem już oficjalne działania, ażeby Solidarność zlikwidować. Podczas tego okresu zostałem delegatem Solidarności do władz PAN-u i byłem kilka razy w charakterze obserwatora na zebraniach w PKiN. Niezależnie od burzy politycznej w innych placówkach naukowych, w naszym Instytucie, który jako instytut medyczny z założenia nie miał

charakteru politycznego, życie zawodowe toczyło się w miarę normalnie. Być może wpływ na to miało także wysokie stanowisko w PAN-ie Prof. Mossakowskiego, który jako Dyrektor Instytutu ochraniał pracowników działających w Solidarności. Zarówno po powstaniu Solidarności jak i podczas stanu wojennego ilość wyjazdów do krajów zachodnich nie zmniejszyła się, pomimo, że niektóre osoby emigrowały z wyjazdów służbowych. Przykładem tego są moje wyjazdy zagraniczne na dwa sympozja przed stanem wojennym 10.10.81r. do Freiburga (RFN) i 16.11.81r. do Wiesbaden (RFN). Treść tzw. „lojalek wyjazdowych” także była mocno stonowana i nie zawierała mocniejszych akcentów politycznych. Jednakże codzienne życie nie było łatwe, a trudności nasiliły się podczas stanu wojennego.

Podczas ogłaszania w TV stanu wojennego 13.12.1981r. mieszkaliśmy w budynku przy ulicy Grójeckiej 19/25 na VI piętrze. Jak sąsiedzi zapukali do nas żeby włączyć radio lub TV, to jako pierwszą czynność wziąłem swoje dewizowe oszczędności, z trudnością wyjąłem 2 klepki parkietowe na środku pokoju i ukryłem dolary w podłodze pod dywanem. Było to w dużym stopniu działanie odruchowe, ale mając życiowe doświadczenie z II wojny światowej, chciałem ukryć i ochronić jedyny mój materialny majątek.

Olgierd miał legalnie karabinek sportowy, który dla bezpieczeństwa trzymał w Nałęczowie u Mamy. Ponieważ był nakaz oddawania broni a telefony były wyłączone, to działającą linią z M.O. na Mokotowie zadzwonił do posterunku MO w Nałęczowie prosząc Matkę o zdeponowanie broni. Zdziwienie milicjantów było duże, jak Mama przyszła z karabinem i paczkami naboju.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić nawet do stanu wojennego. Radziliśmy sobie w różny sposób - pisząc pisma o starszym wieku rodziców chcąc otrzymać zezwolenie na wyjazd do Nałęczowa, w paliwo zaopatrywaliśmy się płacąc wyższą cenę, a z zaopatrzeniem w produkty spożywcze radziliśmy sobie różnie. Kiedyś w Nałęczowie kupiłem ćwiartkę świni, mięso zbałem u weterynarza w Wąwolnicy, a kolega mi je uwędził. Mieliśmy dużą smaczną szynkę na szereg dni.

Podczas stanu wojennego wiele osób oddawało legitymacje i opuszczało szeregi partyjne. Nieliczni robili odwrotnie, ażeby mieć większą siłę działania. W tym okresie powstało w Warszawie około 300 spółdzielni mieszkaniowych, ale tylko nieliczne otrzymywały lokalizację i rozpoczęły budowy.

Jeden z naszych kolegów (Z.D.) zapisał się do partii i założył spółdzielnię mieszkaniową w naszym Instytucie. Wymogiem było członkostwo 10 osób. Z tej liczby 6 osób planowało budowę, a 4 chciały mieć możliwość kupowania materiałów budowlanych przez spółdzielnię

do swoich działek. Ja się zapisałem z myślą o budowie domu. Na początku działalności spółdzielni wpłaciliśmy większą finansowo składkę, którą nazwano gratyfikacją za uzyskanie lokalizacji. I rzeczywiście spółdzielnia otrzymała lokalizację w postaci 3 plomb na starej Sadybie w niskiej zabudowie na których miały stanąć 3 bliźniaki. Ja otrzymałem lokalizację przy ulicy Morszyńskiej 69, gdzie z koleżanką z Instytutu planowałem zbudować bliźniak.

Projekt wykonała młoda architekt mgr Rzucidło. Początki samej budowy rozpoczęły się w 1983/84 i prowadził ją mąż koleżanki, ale ja w tym czasie już wyjechałem za granicę. Budowa trwała długo, bo 10 lat od 1984r. do 1994r.

Pomimo stanu wojennego Solidarność działała w podziemiu. My nie działaliśmy w głębokiej konspiracji, ale należeliśmy do osób, którym można zaufać. W domu w którym mieszkaliśmy, na 12 piętrze w mieszkaniu W.K. spotykali się ludzie, którzy byli powiązani z KOR-em (Komitet Obrony Robotników) i z głęboką konspiracją w Solidarności. Jako osoby zaufane czasem proszono nas o jakąś pomoc w różnych sprawach.

Dwunastego kwietnia 1982r. poproszono nas razem z 13-letnim Pawłem, żebyśmy dookoła „obstawili” dom, obserwowali i ewentualnie powiadomili gdyby pojawiła się milicja lub nieznani cywile. Początkowo nie wiedzieliśmy w jakim celu, ale po jakimś czasie dowiedzieliśmy się słuchając pierwszej audycji Radia Solidarność, która nadawana była z dachu naszego domu. Konspiracja była tak głęboka, że dopiero po czasie dowiedzieliśmy się, że współpracowaliśmy w historycznym wydarzeniu. Od dawna już tam nie mieszkamy, ale 20 rocznicę tego wydarzenia uczczono pamiątkową tablicą na tym domu.

Lecąc w sierpniu 1982r. na III Kongres WFNMB do Paryża, poproszono mnie, żebym skomunikował się z M.Ch. i poprosił, ażeby wysyłając do Polski transporty żywności uzupełniali je kasetami do magnetofonów, bo są w kraju bardzo potrzebne. Z zadania wywiązałem się mając nawet dowody, bo po moim powrocie zapukała do nas nieznana dziewczyna, podała hasło i pozostawiła do przetrzymania walizkę pełną kaset. Po jakimś czasie ktoś inny znowu podając hasło odebrał tą walizkę. Słuchając patriotycznych piosenek Jana Krzysztofa Kelusa zrozumiałem do czego m.in. potrzebne są te kasy.

Co jakiś czas jeździłem do Nałęczowa, żeby odwiedzić rodziców, podzielić się informacjami na temat naszego życia i pomóc Mamie w utrzymaniu porządku w dużym domu. Dom był ogrzewany paleniem w piecach i w korytarzu na piętrze zawsze stały wiadra z węglem i drzewem. Józef Sygnowski – okresowo pomagający w pracach domowych i w ogrodzie - przynosił z piwnicy węgiel w wiadrach i ustawiał je w korytarzu. Praktycznie Mama paliła w jednym pokoju, w którym mieszkała razem z Ojcem a w pozostałych

pomieszczeniach było chłodno. Utkwiły mi w pamięci słowa, żeby „zamykać drzwi od pokoju, bo na korytarzu jest zimno”.

Rodzice już od dawna nie prowadzili praktyki prywatnej, żyli ze skromnych emerytur, Ojciec wymagał opieki, a Mama chorowała na nadciśnienie tętnicze i nie leczyła się regularnie. Ja nad tym wszystkim mocno ubolewałem, bo będąc pełen energii i mając kontakt z innymi krajami, niezależnie od sytuacji politycznej widziałem, że wokół wszystko się rozwija, a dom rodziców chyli się ku upadkowi, a ich życie zwłaszcza Ojca zbliża się ku końcowi. Próbowałem coś zmienić, ale Mama była bardzo konserwatywna i nie chciała żadnych zmian. W rodzinie były nawet sugestie, żeby rodzice przeprowadzili się bliżej Warszawy, ale Mama oponowała w myśl zasady, że „*starych drzew się nie przesadza*”. W rozmowie z Mamą kiedyś przepowiedziałem Jej nawet sposób odejścia z tego świata, „*że jak nie będzie się regularnie leczyć, to umrze na wylew krwi do mózgu z powodu nadciśnienia tętniczego*”.

Na wiosnę, w maju 1982r. wybrałem się do Nałęczowa z Pimpkiem – rasowym pudlem, który się do nas przybłąkał i już od kilku lat był psem rodzinnym. Była piękna słoneczna pogoda, w ogrodzie kwitły bzy i było ciepło. Ojciec polegiwał sobie na tapczanie, a Mama krzątała się w domu. Niestety Ojciec zaziębił się i dostał wysokiej gorączki. Zsunął się z tapczanu i siedział na podłodze oparty o tapczan. Mama zrobiła mu legowisko na podłodze, kładąc kołdrę i poduszki i podała środki przeciwgorączkowe. Ojciec był wysoki i ciężki, więc nie próbowaliśmy go położyć na tapczan, a Mama nie chciała wzywać innych ludzi do pomocy np. Józefa.

Ja spacerowałem z księdzem Pallotynem Feliksem Folejewskim, który chorował na serce i przebywał na rehabilitacji w klasztorze sióstr Szarytek przy ulicy Kościuszki na przeciwko sanatorium Fortunat (dzisiaj już nie ma tego klasztoru). Znajomość z księdzem Folejewskim datuje się od chwili jego przebywania w Instytucie Kardiologii w Aninie, gdzie pracował Olgierd. Ksiądz Feliks od wielu lat chorował na serce i po kilku zawałach i okresach zaburzeń rytmu obecnie żyje dzięki przeszczepowi serca, które nazywa „Jezu ufam Tobie”. Jest to ksiądz, którego można nazwać następcą błogosławionego Kościoła Katolickiego Jerzego Popiełuszki.

Spacerowaliśmy po ulicy Kościuszki rozmawiając o wartościach w życiu człowieka, wierze katolickiej i innych problemach. Nagle usłyszałem wołanie Matki – Andrzejku..., Andrzejku..., przyspieszyliśmy i po chwili zobaczyliśmy Matkę w bramce naszego ogrodu, która mocno zaaferowana i zdenerwowana, przywitała się z księdzem i powiedziała, że z Ojcem jest źle, bo ma zaburzenia oddychania, myśląc zapewne, że umiera. Pospieszyliśmy z

Matką do domu, Ona przodem, a ja za nią. Wchodząc szybko po schodach na piętro, na przedostatnim schodku zatrzymała się i powiedziała tylko „Och Andrzejku” i ja już wiedziałem, że jest niedobrze. Chwyciłem ją z tyłu pod pachy i z trudem doprowadziłem do pokoju Ojca i położyłem, na tapczanie. Jeszcze resztką świadomości wyjęła sobie sama protezę z jamy ustnej. Ułożyłem jej głowę na boku, żeby nie zakrztusiła się, rzuciłem okiem na Ojca, widzę, że oddycha, więc ja za telefon i dzwonię do Pogotowia prosząc o 2 karetki. Odpowiedziano mi, że mają tylko jedną więc podałem adres i pobiegłem otworzyć bramę. Wracając po drodze otwierałem drzwi prowadzące na piętro oraz usuwałem z drogi wszystkie rzeczy mogące utrudnić transport Matki na noszach. Zbiegłem na dół a karetka już podjeżdżała. Poinformowałem kobietę lekarza, że sam jestem lekarzem i u Matki jest wylew krwi do mózgu, a Ojciec jest zaziębiony i w danej chwili niech sobie nadal leży przy tapczanie. Pani doktor zajęła się Matką robiąc jej zastrzyk dożylny, a ja znowu zbiegłem do karetki pomóc ratownikowi z kierowcą zabrać nosze na górę. Matka została zniesiona na noszach do karetki i odwieziona do Szpitala Kardiologicznego w Nałęczowie.

Następnie zatelefonowałem do Olgierda do Warszawy z informacjami i prośbą o przyjazd i pomoc. Po skontrolowaniu, że Ojciec nadal oddycha i nic specjalnego się z Nim nie dzieje, pojechałem swoim samochodem do Szpitala Kardiologicznego, ale Matka już odjeżdżała karetką do Oddziału Neurologii Szpitala w Puławach. Pojechałem jeszcze za karetką ulicą Górskiego do ulicy 1 maja, odprowadzając Matkę i żegnając się z nią, karetka pojechała na lewo do Puław a ja na prawo do domu gdzie leżał ojciec przy tapczanie.

Po przyjeździe ogarnął mnie ogromny smutek, bo zdawałem sobie sprawę, że Matka jest w stanie nie do uratowania, a z Ojcem też nie wiedziałem co będzie. Spodziewałem, się raczej śmierci Ojca, ale nie Matki 14 lat młodszej od Niego. Pomimo, że dużą część życia zawodowego poświęciłem patologii mózgu, problemom śmierci mózgu itd., to wiedząc, że jest to masywny wylew na szczycie wysiłku u osoby z nadciśnieniem tętniczym łudziłem się, że gdyby Matka przeżyła i miała nawet tetraplegię (porażenie wszystkich kończyn), to chętnie bym się nią opiekował wożąc na wózku itd. Analizowałem nawet jakie zrobiłbym podjazdy w tym domu dla osoby niepełnosprawnej. Moja desperacja i wstrząs psychiczny były tak głębokie, że sięgnąłem nawet po starą książkę z neurologii, żeby jeszcze raz przybliżyć sobie wiadomości o wylewach krwi do mózgu.

W międzyczasie zaglądałem do Ojca, ale jego stan był stabilny, więc pojechałem jeszcze raz do Szpitala Kardiologicznego do lekarki, która przyjęła Matkę, żeby rano po dyżurze wpadła z koleżanką i pomogły mi fizycznie położyć Ojca na tapczanie. I rzeczywiście zrobiły to. Olgierd w międzyczasie załatwiał sprawy telefonicznie z lekarzami w Puławach i jadąc do

Nałęczowa był na Oddziale Neurologii. Powstała specjalna sytuacja. On chciał mnie przygotować na śmierć Matki, a ja znowu chciałem jego do tego przygotować.

Po przyjeździe Olgierda do Nałęczowa, koniecznie chciałem zobaczyć Matkę jeszcze przy życiu łudzając się, że zareaguje na pokazanie Jej znanego zdjęcia. Wybrałem takie zdjęcie i pojechałem do Puław. Matka oddychała sama i miała charakterystyczny neurologicznie objaw – oczy zwrócone w jedną stronę w jeden region (pacjent „patrzy” na własne ognisko chorobowe – miejsce wylewu) naturalnie nie było żadnej reakcji z jej strony na zdjęcie. Rozważaliśmy z Olgierdem możliwość przewiezienia Matki helikopterem do Warszawy, ale zrezygnowaliśmy, bo gdyby zmarła podczas transportu, to mielibyśmy wyrzuty sumienia.

Po kilku dniach Matka umarła i została pochowana w grobie rodzinnym na cmentarzu w Nałęczowie. Stan zdrowia Ojca powoli się poprawiał, ale wymagał opieki, dlatego wynajęliśmy moją koleżankę ze szkoły podstawowej J. M., która mając doświadczenie opiekowała się Ojcem przez 8 miesięcy.

Po śmierci Matki byłem zdesperowany, żeby ten dom który był zawsze gorący rodzinnie, zrobić także ciepły fizycznie. Obowiązywał w dalszym ciągu stan wojenny i zaopatrzenie w wyroby hydrauliczne (grzejniki, rury itd.) nawet mając fundusze było bardzo trudne. Przestudiowałem książki dotyczące inżynierii sanitarnej, sam zrobiłem projekt instalacji CO, kupiłem czechosłowackie grzejniki blaszane (o żeliwnych nie było mowy, bo obowiązywały przydziały), czarne rury w GS w Wojciechowie i byłem gotowy do pracy. Józef kuł dziury w ścianach, a Marian Brutkowski zrobił instalację spawaną, bo o kupowaniu kształtek, żeby zrobić instalację skręcaną także nie było mowy. W międzyczasie sam rozebrałem 4 piece kaflowe i współpracując przez 3 miesiące z Marianem i Józefem, instalacja C.O. była gotowa z wyjątkiem pieca. Piec grzewczy na węgiel i koks zamówiliśmy w Lublinie i miał być gotowy na jesieni. Marian z moim kolegą ze szkoły Bogdanem Tarką zobowiązali się zamontować piec jak będzie gotowy.

Śmierć Matki oraz sytuacja polityczna i ekonomiczna w kraju spowodowały, że pomimo życia Ojca, pozostawienia w Polsce Barbary z Pawłem i rodziny brata byłem zdesperowany żeby wyjechać na zachód i już nie wracać. Był to jedyny raz kiedy naprawdę myślałem poważnie o emigracji. Najbliższe plany wyjazdowe do Paryża i Kolonii sprzyjały temu.

W końcu sierpnia 1982r. wylądowałem pierwszy raz w życiu na lotnisku Orly pod Paryżem. Zamieszkałem w Stacji Naukowej PAN przy ulicy Lamande. Podczas obrad III Kongresu WFNMB byłem rzadziej na obradach, a częściej na mieście, gdzie załatwiałem prośby z Polski (przysyłanie kaset) oraz udałem się do ośrodka emigracyjnego w Paryżu. W ośrodku tym doradzono mi, że ponieważ będę 3 miesiące w Kolonii, to sprawy emigracyjne

powiniennem tam załatwiać. Podano mi adresy i nazwiska ludzi, którzy mogą mi pomóc w sprawach administracyjnych. Tym razem nie miałem oporów kontaktowania się z ludźmi, których nazwiska były cytowane przez radio PRL jako samo zło. Na zakończenie kongresu widziałem się z Prof. Henry Wellmanem z Indianapolis, z którym znałem się od 1971r. i spotykałem na kongresach naukowych w USA. Powiedziałem mu, że sytuacja w Polsce nie jest dobra i prawdopodobnie będę chciał przylecieć do USA na dłużej. Po załatwieniu spraw w Paryżu udałem się pociągiem do Kolonii do Instytutu Badań Mózgu Max Planck'a celem 3 miesięcznej współpracy z Prof. K.A. Hossmannem.

Podczas pobytu w Kolonii mieszkałem w Instytucie i uczestniczyłem w badaniach nad niedokrwieniem mózgu u kotów, prowadzonych przez Prof Hossmanna z zastosowaniem szeregu nowych i ciekawych metod doświadczalnych. Nauczyłem się dużo nowych zagadnień, ale skoncentrowany byłem bardziej na możliwości emigracji do Ameryki, niż na badaniach naukowych.

Odwiedziłem ośrodek administracyjny, który mi wskazano w Paryżu a w nim poinformowano mnie, że emigracja jest możliwa przez pobyt w przejściowym obozie emigracyjnym. To mi nie odpowiadało, dlatego udałem się do Bonn do Ambasady Amerykańskiej. Wchodząc do Ambasady wiedziałem, że jest to niebezpieczne i mogę być śledzony, ale byłem zdesperowany w swoich planach. Zreferowałem urzędnicze moje plany i podkreśliłem posiadanie amerykańskiej specjalizacji. Ona mi wyjaśniła, że niezależnie od tego, w moim zawodzie lekarza obowiązuje mnie zdanie egzaminu VQE (Visa Qualification Examination – egzamin upoważniający do otrzymania wizej emigracyjnej) i egzaminy takie urządzane są 2 razy w roku w Frankfurt. Byłem bardzo niezadowolony, bo zastanawiałem się ile egzaminów można zdawać w życiu, a poza tym mój amerykański dyplom specjalistyczny upoważniał mnie do pracy w Ameryce bez ograniczeń jako lekarz, to co oni mają jeszcze jakieś wymagania. „Przełknąłem” i to myśląc, że pojedę do Frankfurtu i dowiem się dokładnie o co jeszcze chodzi.

Mieszkając w Instytucie miałem telefoniczne połączenia ze światem i rozmawiałem na ten temat z Markiem, który od 8 lat mieszkał i pracował w USA, więc mogłem go traktować jako eksperta od spraw emigracji, a poza tym przechowywał mój amerykański certyfikat. Po 2 dniach i rozeznaniu przez niego sprawy, doradził mi, żebym wsiadł w Amsterdamie w samolot do Nowego Jorku, bez amerykańskiej wizej i po wylądowaniu poprosił o azyl w biurze imigracyjnym na lotnisku. To mi też nie odpowiadało, bo tak naprawdę, to ja nie byłem tak mocno prześladowany przez system komunistyczny, żebym ubiegał się o azyl polityczny.

Pozostała mi jeszcze jedna droga - pojechać do Frankfurtu. Okazja się nadarzyła, bo odwiedził mnie samochodem mój brat cioteczny Jasio Gołąb (syn wujka Mieczysława, brata Mamy, z Łodzi), który jako architekt, po zrobieniu dyplomu i uzyskaniu uprawnień budowlanych, pojechał turystycznie w 1974r. do Wielkiej Brytanii, pozostał tam i pracuje w swoim zawodzie. Ostatni raz widziałem się z nim w Londynie w 1975r. jak uczestniczyłem w aukcji dzieł sztuki chińskiej w Domu Aukcyjnym Sotheby's i jak starałem się o pracę w Szpitalu Specjalistycznym Króla Fajsala w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej.

Wziąłem u Prof. Hossmanna 2 dni urlopu i pojechaliśmy do Frankfurtu rozeznąć sprawę. W Konsulacie USA w Frankfurcie nic nowego się nie dowiedziałem, podtrzymano tezę, że obowiązuje mnie egzamin VQE i podano najbliższe terminy egzaminu. Pomyślałem sobie, że *ja was p... i wracam do kraju, bo „nie ma to jak komunizm...”*. Odwiedziliśmy po drodze dentystkę, znajomą Jasia, emigrantkę z Polski do Niemiec i wróciliśmy do Kolonii.

Podczas dalszego pobytu w Kolonii wysłałem do Prof. Wellmana, Dyrektora Oddziałów Medycyny Nuklearnej 4 szpitali w Indianapolis, komplet kopii moich dokumentów zawodowych i naukowych z prośbą o rozważenie możliwości pracy w jego oddziałach medycyny nuklearnej.

W początkach grudnia 1983r., po ogółem 3 miesiącach i 2 tygodniach pobytu za granicą i zakończeniu pobytu w Kolonii, wróciłem do Warszawy. Obowiązywał nadal stan wojenny, ale nieplanowane wcześniej spotkanie z rodziną wynagrodziło mi niedostatki życia codziennego. Pojechałem do Nałęczowa, wchodzę do domu, a tu w całym domu ciepło – instalacja centralnego ogrzewania działała bardzo dobrze. Ojciec żyje, jest zadbany. Wróciłem więc do Warszawy i przystąpiłem do dalszej pracy ku chwale Ojczyzny.

Dalszy ciąg stanu wojennego 1983

W połowie stycznia pomimo centralnego ogrzewania w domu i dobrej opieki, Ojciec zachorował. Leczony był antybiotykami, ale rozwinęło się zapalenie płuc, które nie mijało. Stan wojenny 31.XII.1982r. został jedynie zawieszony i nadal obowiązywał do 22.VII.1983r. a zaopatrzenie zwłaszcza w leki było fatalne. Od znajomego chirurga z oddziału w Warszawie otrzymałem płyny infuzyjne, dodatkowe antybiotyki i z Olgierdem stworzyliśmy Ojcu warunki szpitalne w domu. Jednakże stan jego się pogarszał, dlatego poprosiłem księdza proboszcza o udzielenie mu odpuszczenia grzechów i ostatniego namaszczenia. Pomimo zmiany antybiotyku, i maksymalnych wysiłków terapeutycznych stan zdrowia Ojca nadal się pogarszał i Ojciec zmarł 26 stycznia 1983r. w wieku 88 lat.

Był On bardzo szanowaną osobą, dlatego wyprowadzenie ciała z domu do kościoła miało uroczysty charakter - z orkiestrą i po mszy świętej oraz pogrzebie, po 8 miesiącach od śmierci Matki Ojciec spoczął obok Niej w grobie rodzinnym w Nałęczowie.

Dom rodzinny został pusty, bo my z bratem mieszkaliśmy i pracowali w Warszawie. Dlatego pomógł nam teść Olgierda Dr Franciszek Benendo, który okresowo zamieszkał w nim a tym samym ochronił nieruchomość przed ewentualnymi zakusami regionalnych władz.

W niedługim czasie w pracy zawodowej miałem ważne wydarzenie, bo 28 lutego mój pierwszy doktorant lek. med. Ryszard Pluta miał obronę pracy doktorskiej. Tematem jego pracy, były „Badania możliwości przeżycia mózgowia po całkowitym niedokrwieniu i zmian jemu towarzyszących”. Miała ona charakter wielodyscyplinarny i dotyczyła tak ważnych problemów jak odwracalność zmian i śmierć mózgu, sprawy bardzo ważne dla transplantacji narządów, dlatego wśród recenzentów był także Prof. Bogdan Kamiński czołowy anestezjolog Polski. Miałem dużą satysfakcję, ponieważ praca została oceniona bardzo dobrze, a recenzje sugerowały nawet, że mogłaby pretendować do pracy habilitacyjnej.

W życiu rodzinnym mieliśmy także sukcesy, Paweł w tym roku skończył z wynikiem bardzo dobrym Szkołę Podstawową i zdał do klasy matematyczno-fizycznej XXI Liceum Ogólnokształcącego im. Hugona Kołłątaja.

Przed wakacjami zatelefonowała do mnie pani Katarzyna Frank-Niemczycka, że ma dla mnie list z Indianapolis (INDPLS). Spotkałem się z nią i jej mamą w willi we Włochach i dowiedziałem się, że wróciła niedawno z USA. Okazało się, że pracowała w kawiarni w pobliskiej INDPLS miejscowości - w Zionsville, do której po zajęciach na kursie języka niemieckiego przychodził Prof. Wellman. Dowiedział się, że leci ona do Polski i przekazał jej list do mnie. Pani Katarzyna wiedziała, że wybieram się do INDPLS i poinformowała mnie,

że jej brat Jan Frank jest dealerem samochodowym w tym mieście i jeżeli będę potrzebował pomocy, żebym się do niego zgłosił.

List zawierał druk IAP-66 z zaproszeniem przez Uniwersytet Indiana w INDPLS do pracy w Oddziale Medycyny Nuklearnej Szpitala Uniwersyteckiego na stanowisku Profesora Wizytującego i Konsultanta Badań Mózgu.

Program badań doświadczalnych w Instytucie miałem zrealizowany, doktorant obronił pracę doktorską, dlatego uzyskałem zgodę Dyrekcji na kolejny dłuższy wyjazd za granicę. Stan wojenny został zniesiony 22 lipca, w 39 rocznicę powstania PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego) i życie stawało się trochę łatwiejsze. Wczesną jesienią, spakowany tradycyjnie przez Barbarę, korzystając z optymalnych połączeń lotniczych załatwionych przez Krysę Naumczyk znajomą pracującą w LOT, znowu pełen sił witalnych poleciałem do Indianapolis.

Pobyty w Indianapolis w stanie Indiana

Jesienią 1983r. na lotnisku w INDPLS powitał mnie Prof. Henry Wellman i zawiózł do hotelu akademickiego, w którym miałem zarezerwowany pokój. Prof. Wellman był dyrektorem Oddziałów Medycyny Nuklearnej w 4 Szpitalach w Centrum Medycznym - w Szpitalu Uniwersyteckim, w Szpitalu VAH, w Szpitalu Wishard oraz w Szpitalu Pediatrycznym. Pełnił on także funkcję Kierownika Oddziału w pierwszym szpitalu, a w pozostałych trzech kierownikami byli inni lekarze. Był to duży konglomerat kliniczno – naukowy. Formalnie pracowałem w Szpitalu Uniwersyteckim, ale praktycznie w czterech oddziałach, ponieważ codziennie na posiedzeniach klinicznych omawiane były wyniki badań wszystkich przypadków.

Był to okres, w którym uczyliśmy się wszyscy, bo zastosowanie komputerów w medycynie nuklearnej szalenie się rozwijało, a INDPLS należało do wiodących ośrodków w kraju wprowadzając nowe metody, których nie było jeszcze w innych ośrodkach medycznych. Wśród nich była nowa metoda badania mózgu: Dwugłowicowa, nisko-szumowa tomografia SPECT przy użyciu nowego związku HIPDM znakowanego izotopem J-123. Wyniki badań izotopowych korelowane były z wynikami Tomografii Komputerowej (CT) oraz obrazowania mózgu przy użyciu Rezonansu Magnetycznego (MRI). Na prośbę Prof. Wellmana elektroniczne wyniki badań SPECT kopiowałem w postaci kolorowych slajdów i gromadziłem także wyniki badań CT oraz MRI. Pomagał mi w tym technik J. Krepshaw. Początkowo moim zadaniem było korelowanie tych badań, a następnie zająłem się badaniami mózgowego przepływu krwi, metodą wziewną promieniotwórczego gazu Xe-133 z zastosowaniem wielo-detektorowego aparatu firmy Harshaw. W kursach na temat wiedzy o komputerach i ich zastosowaniach zwłaszcza w medycynie uczestniczyliśmy wszyscy z dyrektorem włącznie.

Po pracy obserwowałem samochody parkujące wokół hotelu akademickiego zastanawiając się jaki samochód mi się trafi tym razem. Dotychczas radziłem sobie bez samochodu, bo sklep spożywczy był niedaleko a kilka razy poprosiłem przygodnych kierowców o podwiezienie mnie z zakupami. W pierwszych dniach pobytu dostałem pożyczkę 300\$ z kasy oddziału na codzienne życie. Czekałem jednak na pierwszą wypłatę, żeby doposażyć sobie mieszkanie oraz kupić samochód.

Po wciągnięciu się w rytm pracy szpitalnej wybrałem się do brata pani Niemczyckiej, J. Franka. Poznałem bardzo sympatyczną małżonkę oraz jego – właściciela firmy sprzedającej i

serwisującej Mercedesy. Poinformował mnie, że obecnie sprzedaje tylko Mercedesy ale wstawiono do niego jakiś amerykański samochód, nawet nie wie jaki i będzie mógł zaaranżować jego sprzedaż. Po krótkim czasie uczestniczyłem po raz pierwszy w amerykańskiej aukcji samochodów.

W aukcji takiej samochody mogą sprzedawać tylko dilerzy a nie osoby indywidualne. Wyglądała ona następująco – do hali przez drzwi wjazdowe wjeżdżał bardzo wolno, chwilami się zatrzymując, sznur samochodów, a prowadzący aukcję przez mikrofon informował (jak w przypadku samochodu dla mnie): „pani kupiła sobie nowy samochód i do sprzedaży jest Plymouth Fury Suburban, rok produkcji 1978, cena wywoławcza 900\$”, samochód wolno przesuwał się, a on powtórzył „900\$ po raz drugi”, a potem „900\$ po raz trzeci i sprzedany”, ponieważ nie było zainteresowania. Sprzedaż/ wycena samochodu trwała około 1 minuty. Pojechaliśmy do salonu pana Franka, przy ulicy Lafayette i dokończyliśmy transakcji. Ja wręczyłem właścicielce samochodu 900\$, ona panu Frankowi 100\$ za sprzedaż i stałem się właścicielem samochodu. Do salonu przyjechał przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej i od razu ubezpieczyłem samochód. Po miesiącu pobytu w INDPLS, z salonu wyjechałem dużym 8-osobowym pięknym samochodem Plymouth Fury (Szał), Station Wagon, silnik V8, z klimatyzacją, z tablicami rejestracyjnymi stanu Indiana, z automatyczną skrzynią biegów, koloru blue metallic, którym jeździłem 2 lata.



Na tle naszego samochodu (Indianapolis)



My i nasz Plymouth Fury (Indianapolis)

W niedługim czasie po kupieniu samochodu przystąpiłem do zdania egzaminu na prawo jazdy w stanie Indiana. Jeżeli mieszka się i pracuje w danym stanie dłużej niż 3 miesiące powinno się mieć prawo jazdy danego stanu. Moje prawo jazdy z Alabamy już dawno straciło ważność, a ponieważ każdy stan ma swoje przepisy drogowe, studiowałem z broszury zasady obowiązujące w stanie Indiana. Niektóre przepisy były dla mnie śmieszne np. utrzymywanie odległości jazdy za innym samochodem w sekundach a nie w stopach czy metrach.

Egzamin teoretyczny w postaci testu zdałem, a egzamin praktyczny także zdałem. Polegał on na jeździe po mieście własnym samochodem z policjantem z komendy ruchu wydającym polecenia. Prawo jazdy w USA jest także dokumentem tożsamości, dlatego po zrobieniu prawa jazdy poczułem się jak nowy obywatel „Hoosier state”. Indiana jest stanem leżącym na drodze z północy na południe oraz ze wschodu na zachód, dlatego ta tradycyjna historyczna nazwa stanu pochodzi od skrótu pytania tutejszych mieszkańców „*Who's here?*”, jak jadący ludzie pukali do drzwi prosząc o wodę, jedzenie lub możliwość zatrzymania się i odpoczynku.

W dniu 25 października, podczas zebrania naukowego w szpitalu powstało duże poruszenie, bo okazało się, że prezydent Ronald Reagan wydał rozkaz interwencji wojskowej w Grenadzie, małej wyspie na morzu Karaibskim, około 160km na północ od Wenezueli, celem ochrony i obrony 800 amerykańskich studentów medycyny, którzy się tam znaleźli. Informowano, że studenci zostali ewakuowani, ale wojska amerykańskie zastały na wyspie Kubańczyków i doradców z innych krajów komunistycznych. Celem interwencji było także wstrzymanie budowy lotniska, które miało służyć wojskowym celom sowieckim. Amerykanie byli ciągle wyczuleni na obecność polityków pro-komunistycznych w państwach półkuli zachodniej i możliwość zagrożenia, szczególnie po światowym kryzysie z sowieckimi rakietami na Kubie w 1962r. Zagrożenie to znowu odżyło, kiedy w 1981r. wybrano na prezydenta Ronalda Reagana, w Polsce niedawno zniesiono stan wojenny a sytuacja polityczna na świecie była niespokojna. Z drugiej strony ja znowu czułem się jak gość ze strefy komunistycznej, który nie planując emigracji nie powinien wypowiadać się zupełnie swobodnie, bo nigdy nie wiedziałem kto mnie słucha zwłaszcza w środowiskach polonijnych.

W listopadzie (13-18) Prof. Wellman zabrał mnie swoim samochodem na 69 Sympozjum Towarzystwa Radiologicznego Północnej Ameryki „*Radiological Society of North America*” (RSNA) do Chicago. Tym razem nie byłem tak zagubiony jak w 1977r., bo mieszkaliśmy w domu szeregowym jego najstarszej córki. Niezależnie od uczestnictwa w sympozjum byliśmy zapraszani do znanych w mieście restauracji przez firmy produkujące używaną przez nas aparaturę.

INDPLS jest także miastem o dużych tradycjach wyścigów samochodowych od 1911r. formuły INDY 500. Nazwa pochodzi od dystansu 500mil czyli 200 okrążeń toru. Są to wyścigi szybsze od formuły 1, organizowane corocznie w ostatnią niedzielę maja, na specjalnym torze „Indianapolis Motor Speedway”. Miasto posiada także historyczne muzeum kierowców, samochodów i ich osiągnięć oraz wypadków śmiertelnych, które miały miejsce podczas zawodów. Przygotowania do corocznych zawodów INDY-500, zaczynają się już od

wczesnej wiosny i całe miasto żyje tymi zawodami. Pan J. Frank był w przeszłości zawodnikiem w rajdach samochodowych i powiedział mi, że powodem jego zamieszkania w INDPLS była m.in. tradycja wyścigów samochodowych w tym mieście.

Podczas dłuższego weekendu pojawił się u mnie w INDPLS Marek ze wschodniego wybrzeża. Tym razem znowu „dał czadu” bo przyjechał nowiutką sportową czerwoną Chevrolet Corvette-C4 (czwartej generacji). Ponieważ pracował on w General Motors (GM), to miał duże rabaty, możliwości fabrycznego serwisu i jeździł dobrymi samochodami. Spędziliśmy bardzo miło i rodzinnie kilka wolnych dni.

Cały czas utrzymywałem kontakt korespondencyjny z Barbarą i Pawłem a okresowo przysyłałem krótkie sprawozdania o postępach mojej pracy klinicznej Prof. Mossakowskiemu. W hotelu akademickim od czasu do czasu widywałem się z dwoma pracownikami naukowymi z Polski, kobietą, profesorem biochemii z Warszawy oraz chemikiem z Gdańska. Dysponując samochodem pomagałem jej czasem w zakupach produktów spożywczych podwożąc do supermarketów.

Zima w INDPLS była dość mroźna, ale porównywalna do polskich zim. Po nowym roku Prof. Wellman poprosił mnie, żebym na jakiś czas przeprowadził się do jego domu, który położony był na sporej farmie z ogrodem, z niedużym lasem oraz stodołą, w której przebywał koń do jazdy wierzchem. Profesor miał 6 córek w wieku od przedszkolnego do dorosłego i był bardzo dobrze zorganizowany, nie tylko jako lekarz, dyrektor ale i jako ojciec oraz menadżer spraw domowo-technicznych. Ten dom budował on wg własnego projektu a ostatnio obok domu powstał otwarty basen na okres letni. Ja byłem dokładnie poinstruowany o sprawach technicznych na farmie i sposobie żywienia konia (w rzeczywistości była to kobyła), który sam umiał pić wodę naciskając specjalną dźwignię w swojej misce, a moim zadaniem było wsypać 3 spore miarki owsa dziennie do plastikowej rury na piętrze stodoły. Owies ten spadał do specjalnego pojemnika i koń mógł się pożywiać. Ja w życiu z końmi nigdy nie miałem nic do czynienia, boję się ich i wolę być od nich z daleka. Tutaj nie musiałem zbliżać się do konia ani na nim jeździć. Uważam natomiast, że koń nie miał ze mną źle, bo sam lubię jeść, dlatego codziennie dorzucałem mu jedną miarkę owsa więcej niż ustalono, żeby mnie miło pamiętał.

W domu profesora na farmie przebywałem sam kilkanaście dni, bo na początku roku on z żoną i całą rodziną wyjechali gdzieś podczas zimowej przerwy szkolnej. Co kilka dni odwiedzałem mieszkanie w hotelu zobaczyć czy nie ma nowej korespondencji od Barbary i Pawła.

Wiosną podczas weekendów, jak zrobiło się ciepło, jeździłem na INDPLS Motor Speedway, brałem ze sobą wyposażenie kempingowe, produkty do grillowania i wjeżdżałem do środka stadionu i toru wyścigowego i spędzałem czas na świeżym powietrzu obserwując treningi samochodów i przygotowania do głównych wyścigów.

Późną wiosną 1984 Prof. Wellman poinformował mnie, że Prof. Dennis.D. Patton szef Oddziału Medycyny Nuklearnej, Szpitala Uniwersytetu Arizony w Tucson wybiera się do Heidelberga celem pracy naukowej w ramach sabbatical (roczny płatny urlop dla profesorów akademickich możliwy do realizacji co 7 lat). Zapytał mnie czy nie chciałbym go zastąpić i zachęcił mnie sugerując, żebym podczas wizyty w Tucson wygłosił referat dotyczący badań diagnostycznych mózgu wspólnie przeprowadzonych w Indianapolis. Z duszą na ramieniu wyraziłem zgodę.

Przygotowałem referat na temat badań SPECT mózgu oraz korelacji wyników z CT i MRI. Załatwiono mi bilety (za wszystko płaciła strona zapraszająca), pojechałem na lotnisko i zostawiłem samochód na parkingu. Siedząc w samolocie do Tucson rozmyślałem, że obecnie lecę jako amerykański naukowiec zaproszony przez inny uniwersytet w celu podzielenia się postępem wiedzy w tej dziedzinie, co wiele razy obserwowałem w Birmingham. Przy pięknej pogodzie zauważyłem, że Arizona posiada sporo górskich łańcuchów a pustynia jest porośnięta i nie ma charakteru piaszczystego jak w Afryce.

Prof. Patton był niezwykle miłym i kulturalnym człowiekiem, absolwentem dwóch fakultetów – fizyki w Berkeley oraz medycyny, z kilkuletnią praktyką lekarską w Kalifornii. Oprócz zainteresowań klinicznych, jako fizyk znał bardzo dobrze problemy nauk ścisłych w medycynie, które zawsze są trudne dla biologów i doskonale znał korzyści z zastosowania komputerów w diagnostyce, swobodnie pisząc programy komputerowe. Wybierał się na rok do znanego ośrodka w Hajdelbergu, ażeby pracować naukowo nad problemami metabolizmu glukozy przy użyciu izotopu węgla C-14.

Mój wykład od tygodnia był anonsowany w tutejszych mediach uniwersyteckich z podkreśleniem nowości prezentowanego tematu. Rzeczywiście była to prawda, bo Szpital Uniwersytecki Arizony w Tucson przy ulicy Campbell nie był jeszcze wyposażony w dwugłowicową kamerę gamma do badań SPECT, ani nie mieli aparatury do MRI.

Sala wykładowa była pełna słuchających lekarzy jak i studentów medycyny. Przyznaję, że miałem dużą treść, ale opanowałem ją i mówiłem wolno 50 minut, pokazując i analizując przypadki badane 3 metodami. Prowadząc wykład pamiętałem o kanonie akademickim, że nawet najlepsza prezentacja nie powinna trwać dłużej niż 50 minut. Zainteresowanie było

duże i dyskusja trwała jeszcze 20 minut, ale znając temat i przypadki czułem się w niej swobodnie.

Ustaliliśmy z Prof. Pattonem, że może on planować pobyt w Heidelbergu, ponieważ w sierpniu ja się przeniosę do Tucson i będę go zastępował.

Do INDPLS wróciłem zadowolony, ale i pełen planów na przyszłość. Pomyślałem, że w tej sytuacji zaproszę do Ameryki Barbarę tym razem z Pawłem. Ponieważ mój pobyt miał charakter służbowy, więc zwróciłem się do Prof. Mossakowskiego jako Dyrektora Instytutu, z prośbą o wyrażenie zgody na przedłużenie mojego pobytu o 1 rok oraz zgodę na przyjazd Barbary z Pawłem. Na obie prośby zgodę otrzymałem.

Przed moim wylotem z Warszawy do INDPLS zapłaciłem W.K. za 8m² mieszkania – różnicę pomiędzy naszym mieszkaniem na VI piętrze (37m²) a jego na XII piętrze (45m²) w tym samym budynku przy ulicy Grójeckiej 19/25 i zamieniliśmy się mieszkaniami. On z rodziną wyprowadził się z Warszawy do Komorowa, gdzie zbudował dom. Po moim wylocie Barbara z Pawłem po odnowieniu przenieśli się do tego mieszkania, mając większy metraż (2 i ½ pokoju) oraz widną kuchnię, czego nie mieliśmy w mieszkaniu na VI piętrze.

Sytuacja polityczna w Polsce po zniesieniu stanu wojennego nie uległa zasadniczej zmianie. Solidarność była nadal prześladowana i przeszła do podziemia. Będąc w INDPLS w telewizji w programie CBS czy NBC oglądałem wywiad ze Zbigniewem Bujakiem nagrany w Warszawie podczas jego ukrywania się i działalności w podziemiu. Moje zdziwienie było duże jak po latach dowiedziałem się, że wywiad nagrywany był w mieszkaniu na VI piętrze po naszym wyprowadzeniu się.

Zbliżał się koniec roku szkolnego oraz wakacje i Paweł jako 15-letni chłopak uzyskał z bardzo dobrymi wynikami promocję do 2 klasy Liceum im. H. Kołłątaja. Na moją prośbę Biuro Współpracy z Zagranicą Uniwersytetu Indiany wysłało dla Barbary i Pawła druk IAP-66 celem otrzymania amerykańskiej wizej J-2. Początkowo nie wiedzieliśmy na jak dugo oni przylecą, czy tylko na wakacje, czy na dłużej, dlatego umówiliśmy się, że przylecą w początkach lipca.

Wreszcie nadszedł lipiec 1984r. i znowu jechałem na lotnisko O'Hare do Chicago, tym razem własnym samochodem, żeby po roku rozłąki spotkać się z Barbarą i Pawłem. Jest to rozległe miasto z bardzo dużym ruchem samochodowym na wielopasmowych autostradach i po 4 godzinach jazdy z INDPLS miałem trudności, żeby dojechać do lotniska i trafić na właściwe miejsce przylotów samolotów z Polski.

Będąc na lotnisku chciałem kupić kwiaty dla Barbary, ale nie mogłem znaleźć kwaciarni. Podjechałem pod jakiś hotel i poinformowałem stojącego przy wejściu

pracownika w służbowym uniformie o moich planach. Odpowiedź nastąpiła szybko - że musiałem nabroić pod nieobecność żony – ale żebym chwilę poczekał. Po chwili powrócił z okazałym ładnym bukietem - który prawdopodobnie zwędził z jakiegoś stołu w hotelu – i wręczył mi go oczekując propozycji. Dałem mu 8\$, bo akurat tyle miałem w kieszeni, a on zadowolony podkreślił tylko, że po otrzymaniu takich kwiatów (rzeczywiście były piękne) to żona po roku nieobecności odpuści mi wszystkie grzechy. W samochodzie miałem także cooler – pojemnik chłodzący – wypełniony południowymi owocami, kanapkami i napojami z myślą o Pawle, który przyleci z kraju, w którym towary te były nieosiągalne.



Z Markiem - Paweł już taki wysoki jak my (Indianapolis)

Samolot przyleciał o czasie i wreszcie przy wyjściu z sali przylotów wpadliśmy sobie w ramiona. Po przejściu na parking oboje z wrażenia oniemieli upewniając się 2 razy czy rzeczywiście to jest mój samochód. Radości było dużo i ruszyliśmy w powrotną drogę.

Barbara była już rok w Ameryce w 1971/72r., a Paweł miesiąc w 1978r., ale ogromny ruch samochodowy w Chicago i drapacze chmur jak Sears Tower i inne robiły duże wrażenie. Ja chciałem przy okazji pokazać im i sam zobaczyć tę słynną polską dzielnicę Avondale, popularnie zwaną „Jackowo”, ale nie znając miasta zjechałem z autostrady i pobłądziłem. Zrezygnowałem - w myśl zasady, żeby w życiu nie przesadzać - wróciłem na właściwą autostradę i pojechaliśmy do INDPLS.

Po powrocie zamieszkaliśmy w hotelu akademickim i podjęliśmy decyzję, że jedziemy razem do Tucson do Arizony. Podczas pierwszej wizyty w domu Prof. Wellmana, rozmawiał on z Pawłem po angielsku. Paweł się porozumiewał, ale jego znajomość języka była na poziomie początków liceum, bo poza nauką w szkole nie miał on dodatkowych korepetycji językowych.

Prof. Wellman wybierał się z żoną na wycieczkę do Chin i zaproponował, żebyśmy przed wyjazdem do Tucson przeprowadzili się na kilka tygodni na jego farmę, z prośbą o opiekę nad najmłodszą córką Susan, basenem, koniem i całą farmą. Nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. Po kilku dniach przeprowadziliśmy się z hotelu akademickiego na farmę, a profesor z żoną polecili do Chin.

Było upalne lato więc spędzaliśmy czas na farmie, kąpiąc się w basenie, a Paweł nawet jeździł wierzchem na koniu. Kilka razy odwiedził nas Marek tym razem motocyklem i razem spędzaliśmy czas albo przy basenie na farmie, lub jeżdżąc do pobliskiego parku z jeziorem Eagle Creek. Jadąc do parku zabieraliśmy węgiel drzewny i rozpałkę oraz produkty mięsne do grillowania.

Po kilku tygodniach Państwo Wellmanowie wrócili z Chin i zrobili nam niespodziankę „Surprise” - Amerykanie to bardzo lubią. Podczas weekendu, na farmie pojawiło się dużo osób – lekarzy i personelu z Centrum Medycznego i urządzili dla nas pożegnalne party. Po spakowaniu się i pożegnaniach ruszyliśmy samochodem historyczną trasą „na Dzikie Zachód”, a końcowym etapem podróży było miasto Tucson w Arizonie.

Droga na zachód

Przed opuszczeniem INDPLS kupiłem Pawłowi rower, bo była duża obniżka ceny i wieźliśmy go w pudle na dachu samochodu. Jechaliśmy bardzo znaną autostradą międzystanową Nr 70, która była uwieczniona w piosenkach ze względu na swoje historyczne znaczenie, podczas migracji ludzi na „Dziki Zachód”. Już na początku trasy mieliśmy przygodę bo wiatr strącił nam z dachu pudło z rowerem ale rower nie został uszkodzony.

W okolicy miasta St. Louis niedaleko słynnego łuku, mieliśmy bardziej przykrą przygodę, bo zauważyliśmy policyjny samochód szeryfa, który włączył „koguta” i szybko podjechał do nas. Sprawdził moje dokumenty i wypisał mi mandat wysokości 75\$, bo jechałem podobno 75mil/h zamiast obowiązujących tam 50mil/h. Przyjąłem z pokorą mandat kredytowy, który powinienem zapłacić w określonym terminie. Był to najwyższy mandat jaki otrzymałem w życiu.

Planowałem zapłacić go w Tucson, ale znajomi odradzali mi płacenia, motywując, że jest to duża suma, a jest mało prawdopodobne, żebym się znowu pojawił samochodem w stanie Missouri. W Ameryce w takich sprawach nie ma żartów - gdybym nie zapłacił, to ponowne zatrzymanie mnie w stanie Missouri groziło albo natychmiastowym zapłaceniem sumy z dużymi odsetkami, lub doprowadzenie do sądu i skazanie na więzienie. Wolałem nie ryzykować i mieć czyste sumienie.

Mandat zapłaciłem pomimo, że w Missouri rzeczywiście potem nigdy nie byłem a i teraz się tam nie wybieram. Nauczyłem się natomiast w USA „mądrze speed’ować” czyli jeździć bez mandatów powyżej dozwolonej prędkości. Jedną z metod jest jechanie za samochodem,



W drodze na zachód, już w Denver

który przekracza dozwoloną prędkość, jeszcze lepiej za „truck’iem” czyli ciężarowym samochodem.

Jechaliśmy dalej na zachód mijając miasta Kansas City, Topeka w kierunku Gór Skalistych. Po drodze podczas krótkich przerw w podróży lub odpoczynków w motelach najczęściej Nr 6, robiliśmy dużo kolorowych zdjęć i slajdów.

Wreszcie trzeciego dnia podróży znaleźliśmy się w stanie Colorado i na horyzoncie widoczne było miasto Denver a za nim łańcuch Gór Skalistych. W Denver zrobiliśmy kolejną dłuższą przerwę nocując w tym mieście.

Przekraczając łańcuch Gór Skalistych autostrada Nr 70 osiąga duże wysokości i odnosiłem wrażenie, że nawet 8 cylindrowy silnik tego samochodu ciężko pracuje jak gdyby paliwo spalało się w mniejszej ilości tlenu. Po przekroczeniu łańcucha górskiego znaleźliśmy się na płaskowyżu w mieście Grand Junction jeszcze w stanie Colorado. Kolejno przekroczyliśmy granice stanu Utah, w którym kończył się słynny Highway 70. Następnie skierowaliśmy się na południe autostradą Nr 15 łączącą miasto Salt Lake City z Las Vegas. Miasto to w stanie Nevada było kolejnym celem naszej podróży, gdzie zatrzymaliśmy się 2 dni.



Las Vegas



Las Vegas

W Las Vegas przebywaliśmy w motelu z basenem i planowaliśmy nie tylko zwiedzić miasto, ale choć trochę poczuć co to znaczy prawdziwy hazard. Przeznaczyłem 150\$ na hazard, uczciwie dzieląc po 50\$ na głowę i powiedziałem, że „*niech każdy gra jak uważa*”. Miasto w dzień nie wyglądało przesadnie atrakcyjnie, położone na pustyni z niezbyt ciekawą architekturą zabudowań, natomiast wieczorem i w nocy jest przepiękne dzięki orgii neonów i świateł. Wśród wielu neonów reklamowały się poszczególne kasyna anonsując obecność znanych osób np. „*Tom Jones is here*” i podobne. Do wielu kasyn wejścia były od ulicy, gdzie

w obszernych przestrzeniach znajdowały się liczne maszyny i stoły do gry. Myśmy upodobali sobie kasyno Stardust, w którym graliśmy głównie na automatach.

Zwiedzaliśmy także inne kasyna a wśród nich Ceasar's Palace. W tym niezwykle luksusowym kasynie zamiast grać obserwowaliśmy jak grają bardzo bogaci ludzie. Z pewnej odległości przyglądaliśmy się jak 4 mężczyzn grało w ruletkę, obstawiając duże sumy, a pikanterii dodawało stojące obok duże szklane pudło, w którym znajdował się 1 milion dolarów w banknotach 100 dolarowych. Nie trwało to jednak długo, bo podszedł do nas facet z obsługi kasyna pytając ile Paweł ma lat. Wiedząc, że w Ameryce nie warto kłamać odpowiedzieliśmy, że ma 15 lat. On w bardzo grzeczny sposób poinformował nas, że niestety musimy opuścić to pomieszczenie, bo osobom niepełnoletnim nie wolno grać ani obserwować gry o tak duże pieniądze. Wróciliśmy do kasyna Stardust dalej hazardować się na automatach i kilka razy obstawiliśmy bardzo nisko ruletkę (podobnie jak w Interlaken) – w parzyste/nieparzyste lub kolory – zielony/czerwony.



Las Vegas - nocą

Przyznam szczerze, że na dzień dobry miałem nadzieję, że właśnie tutaj w Las Vegas Pan Bóg powinien nas wynagrodzić jakąś większą wygraną, bo byłaby dopełnieniem dobrze układającego się rodzinnego życia. Graliśmy dość długo, ale Pan Bóg nie był tak szczodry i ja oraz Paweł przegraliśmy przeznaczone pieniądze. Najlepiej na hazardzie wyszła Barbara, bo my zaaferowani grą nie zauważyliśmy, że ona w ogóle nie grała, a na końcu wyjęła z kieszeni 50 „buck'sów” i chuchnęła na nie na dobry początek pobytu na „Dzikim Zachodzie”.

Na drugi dzień opuściliśmy Las Vegas jadąc na południe w kierunku Tucson. Do stanu Arizona wjechaliśmy przez ogromną zapórę wodną Hoover Dam na rzece Colorado. Nie dojeżdżając do miasta Flagstaff, skręciliśmy na północ ażeby zobaczyć od strony południowej Grand Canyon National Park.



Wielki Kanion

Po zwiedzeniu Wielkiego Kanionu i zrobieniu wielu pięknych kolorowych slajdów, przez stolicę stanu Arizona Phoenix dojechaliśmy do Tucson.

Pobyty w Tucson w stanie Arizona

Tucson nie jest stolicą stanu, ale na pewno jest dużym ważnym miastem uniwersyteckim. Podczas lat 1984/85 studiowało w nim na wielu uczelniach powyżej 30 tysięcy studentów amerykańskich i zagranicznych. Poza tym Tucson jest ważnym po Hollywood producentem filmów głównie westernów. Arizona jest także drugim ulubionym stanem przez emerytów ze względu na wspaniały ciepły klimat o bardzo niskiej wilgotności. Pierwszym ulubionym stanem jest Floryda ze względu na niskie podatki.

Po przyjeździe do Tucson zatrzymaliśmy się kilka dni w motelu, do chwili wynajęcia mieszkania. Prof. Patton i jego pracownicy pomogli nam w rozeznaniu sytuacji. Okazało się, że jeden z dwóch synów profesora był w wieku Pawła. Podobnie jak w całej Ameryce w



Basen przy mieszkaniu (Tucson)

mieście obowiązywała rejonizacja dotycząca edukacji – do poszczególnych szkół publicznych przyjmowane były dzieci mieszkające w rejonie danej szkoły.

Wynajęliśmy mieszkanie przy ulicy Mohave, w domu z ogrodem i basenem, niedaleko publicznej szkoły średniej oraz w niedużej odległości od szpitala, w którym miałem pracować. Następnie załatwiliśmy szereg spraw administracyjnych związanych z dłuższym pobytem w Tucson, jak założenie rachunku bankowego z uzyskaniem książeczki czekowej, sprawy związane z zatrudnieniem - uzyskanie licencji lekarskiej do pracy w stanie Arizona, ubezpieczenia zdrowotne itd.

Sprawy samochodowe wymagały także trochę wysiłku i pieniędzy – zdawałem znowu egzamin, ale tylko teoretyczny w postaci testu - już na 3 prawo jazdy tym razem stanu Arizony. Przepisy stanowe wymagały zmiany tablic rejestracyjnych i „dopuszczenia samochodu do ruchu w Arizonie” w postaci „tuning’u” - badania i regulacji całego samochodu a szczególnie silnika, czy jest w dobrym stanie i nie wydziela podczas pracy za dużo CO₂ (koszt 50\$).



Kościół katolicki Saint Xavier (Tucson)

Sprawa Pawła edukacji nastęrczyła nam także problemy. Przejeżdżając koło szkoły i widząc młodzież na zajęciach sportowych mówiłem do Pawła, że tam grają twoi koledzy.

Paweł bał się uczenia w amerykańskiej szkole, ze względu na słabą znajomość języka angielskiego. Mówił, że jest skłonny uczyć się języka nawet po 12 godzin na dobę, byle tylko nie uczęszczać do tutejszej szkoły. Ja starałem się go przekonać, że najlepszą metodą opanowania języka jest właśnie chodzenie do szkoły, a nie uczenie się „tylko języka”.

Jednak, nie forsowaliśmy z Barbarą tej koncepcji, żeby nie robić nic wbrew jego woli.

Paweł zmienił zdanie po telefonicznej rozmowie z kuratorem szkół średnich wydziału oświaty w Warszawie. Poinformował on Pawła, że jeżeli pójdzie do szkoły i zda do kolejnej klasy nawet z bardzo niskimi wynikami, to po powrocie do Polski musi zdać egzaminy tylko z 3 przedmiotów, żeby wrócić do swojej poprzedniej klasy. Natomiast, jeżeli nie będzie chodził tutaj do szkoły i nie chce stracić roku, to po powrocie musi zdać egzaminy z wszystkich przedmiotów. To Pawła przekonało i rozpoczął naukę w Amphitheater High School jako „sophomore” – uczeń drugiej klasy.

Praktycznie od początku września rozpoczęliśmy stabilny i regularny tryb życia w Tucson – ja pracowałem jako Acting Chief w Oddziale Medycyny Nuklearnej, Zakładu Radiologii, Szpitala Uniwersytetu Arizony, Paweł chodził, a właściwie jeździł na rowerze do Publicznej Szkoły Średniej Amphitheater, a Barbara nie pracowała, ale opiekowała się i pomagała zarówno Pawłowi jak i mnie.



Liceum, w którym uczył się Paweł

Moja praca w szpitalu miała charakter diagnostyczno-terapeutyczny, dydaktyczny i administracyjny. Pomimo dużego doświadczenia w medycynie nuklearnej trzy dziedziny dominowały w mojej pracy – kardiologia, choroby kości oraz leczenie chorób tarczycy.

W zakresie kardiologii dominowały badania serc przeszczepionych u ludzi. Historię transplantacji serca można najkrócej ująć następująco: pierwsza transplantacja na świecie została przeprowadzona w 1967r. przez Dr Christiaana Barnarda w Kapsztadzie w Afryce Południowej, w Ameryce w 1968r. w Uniwersytecie Stanforda przez Dr Normana Shumwaya, a w Polsce w 1985r. przez Dr Zbigniewa Religę. W 1977r. do Szpitala Uniwersytetu Arizony w Tucson przeniósł się Dr Jack Copeland, uczeń Dr Shumwaya i do 1984r. przeprowadził około 90 operacji przeszczepów serca przy przeżywalności powyżej 60%. Najdłuższe przeżycie pacjentów z przeszczepionym sercem podczas mojej obecności w Tucson było 5 lat. Naszym zadaniem m.in. była ocena metodą izotopową wydolności przeszczepionego serca, w postaci określenia objętości wyrzutowej lewej komory tzw. Ejection Fraction (EF). Było to bardzo ważne badanie, ponieważ w przypadkach szybkiego i dużego obniżenia EF

należało zwiększyć dawki leków immunosupresyjnych, ażeby organizm nie odrzucił przeszczepionego serca.

Kwalifikowaliśmy także pacjentów z bardzo słabym własnym sercem (kardiomiopatia) do przeszczepu. Jeżeli w warunkach prawidłowych EF = 50 - 65 %, po przeszczepie EF = 40-45 %, to w przypadkach wskazań do transplantacji serca EF = około 10 % z dużym błędem (8 – 12 %), ponieważ przy tak niskich wartościach nie daje się precyzyjnie określić tej wartości.

Naturalnie wykonywaliśmy także szereg innych izotopowych badań kardiologicznych jak ocena regionalnego ukrwienia serca, przecieki wewnątrz-sercowe zwłaszcza ze strony lewej do prawej i inne.

Izotopowe badania chorób układu kostnego dotyczyły m. in. oceny przerzutów do kości raka piersi, prostaty, ale i pierwotnych nowotworów kości oraz innych chorób jak powikłania po plastyce stawów biodrowych itd. Podejście do pacjentów chorych na raka w Ameryce i w Polsce znacznie się różniło. Pamiętam jak wzorem amerykańskim, po kolejnym kontrolnym badaniu scyntygraficznym układu kostnego z powodu przerzutów raka piersi do kości, siadałem z pacjentką oraz jej mężem przed negatoskopem i wspólnie ocenialiśmy zaawansowanie choroby w postaci rozległości i wielkości przerzutów, pojawiania się nowych ognisk i skuteczności radio- i chemioterapii. Wszystko odbywało się „przy otwartej kurtynie” i pacjenci byli informowani o rokowaniu i przewidywanej długości życia.

Diagnostyka i terapia chorób tarczycy są tradycyjną i obszerną dziedziną medycyny nuklearnej ze względu na zawartość jodu w hormonach tarczycy oraz stosowanie promieniotwórczego J-131 w tej dziedzinie. Ze względu na bliskość granicy mieliśmy także pacjentów z Meksyku, którzy przyjeżdżali do Tucson mając duże zaufanie do tutejszych lekarzy. Nie znałem hiszpańskiego, który w tamtym rejonie jest bardzo rozpowszechniony, dlatego w takich przypadkach pomagała mi jako tłumaczka pielęgniarka meksykańskiego pochodzenia.

Niektóre przypadki były dla mnie dużym przeżyciem i wyzwaniem profesjonalnym. Należeli do nich pacjenci z usuniętą tarczycą z powodu raka, z przerzutami do płuc i innych części organizmu. Informowałem wówczas chorych, że mają szczęście, bo wprawdzie mają raka, ale należy on do nielicznych nowotworów złośliwych, które można całkowicie wyleczyć jodem promieniotwórczym. Izotop ten gromadzi się w przerzutach i niszczy tkankę nowotworową. Wyzwaniem profesjonalnym w takich przypadkach było wcielanie się w endokrynologa oraz internistę, ponieważ chorych umieszczano na kilka dni w wydzielonych pomieszczeniach na oddziale interny, z pełną opieką i odpowiedzialnością personelu z oddziału medycyny nuklearnej. W takich przypadkach podawano maksymalną dawkę J-131 w

ilości 200mCi i pacjenta umieszczano w szpitalu na kilka dni aż w organizmie pozostanie tylko 30mCi i wówczas z instrukcjami zachowania higieny wypisywano go do domu.

W pamięci utrwaliła mi się także współpraca z lekarzami z pobliskiej lotniczej bazy wojskowej Davis Monthan Air Force Base. W szpitalu wojskowym na terenie bazy nie mieli oni oddziału medycyny nuklearnej i niektóre przypadki przesyłali do nas. Byli to pacjenci z podejrzeniem zapalenia pęcherzyka żółciowego, które diagnozowaliśmy przez dożylnie podanie związku znakowanego izotopem promieniotwórczym wydzielającego się z żółcią. Jeżeli podczas badania pęcherzyk nie uwidocznił się, to po poinformowaniu pacjenta o konieczności podania narkotyku, wstrzykiwaliśmy mu dodatkowo morfinę celem uwidocznienia pęcherzyka żółciowego. Jeżeli po podaniu morfiny pęcherzyk był nadal niewidoczny, to wraz z objawami klinicznymi przemawiało to w 95 % za ostrym zapaleniem pęcherzyka żółciowego, co było równoznaczne z operacją i jego usunięciem. Zwyczajem lekarzy z wojskowego szpitala było przysyłanie nam tzw. „Memo” (Memorandum), w których informowano o poprawnej diagnozie, rodzaju przeprowadzonej operacji wraz z życzeniami dalszej owocnej współpracy.

Szereg razy po pracy, byłem w domu „on call” (pod telefonem). Telefony komórkowe nie były wówczas jeszcze rozpowszechnione i miałem tzw. pager – aparat powiadamiający o konieczności połączenia się telefonem stacjonarnym z oddziałem w szpitalu. Z reguły telefonował rezydent – lekarz robiący specjalizację będący na dyżurze - który najczęściej tylko informował mnie o przeprowadzonym badaniu i jego wyniku. Zdarzało się jednak, że potrzebował mojej pomocy np. w badaniu scyntygraficznym płuc, w przypadkach zagrażających życiu pacjenta np. w podejrzeniu zatoru tętnicy płucnej. Wsiadałem wówczas w samochód i po 10 minutach byłem w szpitalu, gdzie razem decydowaliśmy o dodatkowych badaniach, ostatecznym rozpoznaniu i szybkim zastosowaniu leczenia przeciwzakrzepowego.

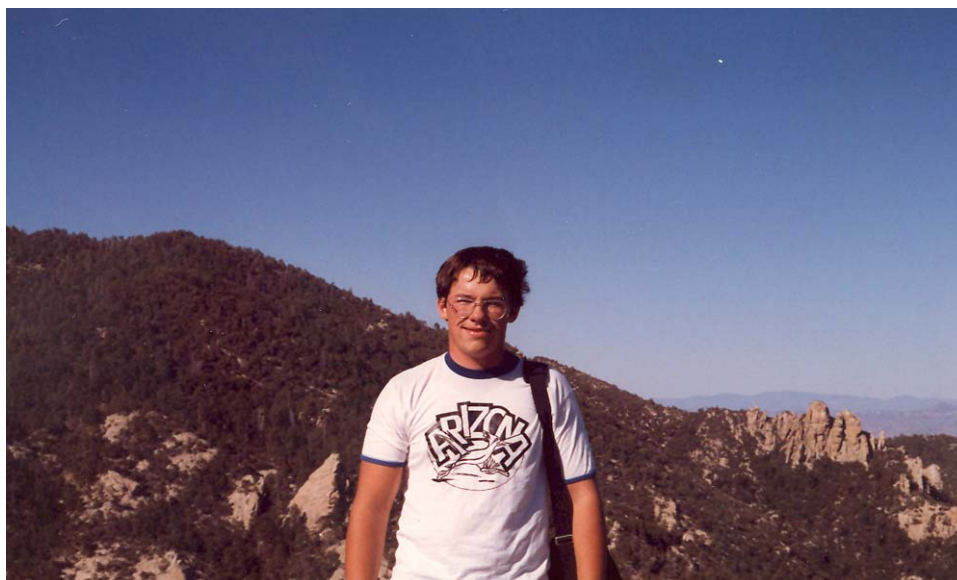
Praca dydaktyczna polegała na prowadzeniu zajęć praktycznych z medycyny nuklearnej ze studentami 4 roku, których uczyłem sposobu wykonywania poszczególnych metod i interpretacji wyników badań, ponadto opiekowałem się także rezydentami i wygłaszałem referaty. Uczestniczyłem również w cotygodniowych posiedzeniach naukowych na których analizowane były trudne diagnostycznie przypadki badane w 3 różnych szpitalach.

Praca administracyjna polegała na uczestniczeniu w zebraniach Zakładu Radiologii, braniu udziału - jako członek - w zgromadzeniach Rady Naukowej Szkoły Medycznej Uniwersytetu Arizony, opiniowaniu postępów w nauce studentów i ocenie rezydentów przed egzaminami specjalizacyjnymi.

Nauka Pawła w pierwszym semestrze nie była dla niego łatwa. Wśród różnych przedmiotów miał on podwójną ilość języka angielskiego – dla uczniów amerykańskich oraz dla obcokrajowców „English as a second language”. Wśród lektur miał pisarzy amerykańskich np. nowelę „Pearl” John’a Steinbeck’a (powyżej 100 stron tekstu). Nasza pomoc polegała na czytaniu lektury i streszczeniach z tłumaczeniem mu pewnych fraz czy wyrazów. Kupiliśmy także kolorowy telewizor i śledziliśmy wiadomości a szczególnie informacje z Polski. Pomagało to Pawłowi w uczeniu się angielskiego a nam pozwalało doskonalić swoje umiejętności językowe. Dowiadaliśmy się tą drogą także o niezwykłych wydarzeniach politycznych w Polsce - o śmierci księdza Jerzego Popiełuszki i nasileniu przeciwrządowych manifestacji społeczeństwa organizowanych przez Solidarność będącą w podziemiu.

W zakresie matematyki i fizyki Paweł był lepszy od swoich amerykańskich kolegów, natomiast chemii uczył się z podręcznika „Advanced Chemistry” na wysokim poziomie zaawansowania i podczas pierwszego półrocza pomagałem mu nie tylko językowo, ale i merytorycznie.

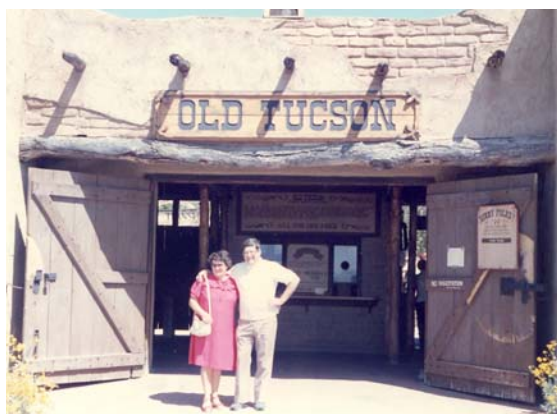
W zakresie wychowania fizycznego, które jest ważnym przedmiotem w Ameryce, w pierwszym semestrze miał naukę gry w tenisa, a w drugim naukę pływania z kursem ratownictwa, który upoważniał do pracy jako ratownik podczas wakacji. Paweł uczył się dużo i językowo oraz merytorycznie robił szybkie postępy - jeżeli pierwszy semestr zakończył z wynikami „b”, to drugi semestr zakończył już z wynikami „a”.



Góry Santa Catalina (Tucson)

Arizona jest stanem bardzo ciekawym klimatycznie i turystycznie. Klimat jest podzwrotnikowy i zwrotnikowy, suchy, średnia temperatura latem jest powyżej 35°C. Jest w nim wiele półpustynnych stepów z charakterystycznymi kaktusami Saguaro. W stanie tym jest szereg rezerwatów indiańskich z własnym prawem i przepisami na ich terenie.

W pobliżu Tucson na pustyni Sonora jest miasteczko filmowe Old Tucson, w którym kręconych było wiele westernów. Na południu w pobliżu miasta jest chyba największe w



Old Tucson



Old Tucson – w więzieniu



Old Tucson

USA cmentarzysko samolotów cywilnych i wojskowych. Na północy natomiast są góry Santa Catalina ze szczytem Mount Lemmon, w których można w lecie podczas gorących weekendów w zależności od wysokości odpoczywać w optymalnej temperaturze np. 18 – 20°C i obserwować jak kolibry karmią się zawartością wnętrza kielichów kwiatowych.

Ze względu na czystość powietrza i bezchmurne niebo w Arizonie jest dużo obserwatoriów astronomicznych. Jedno z nich położone w górach Kit Peak National

Observatory znajduje się w rezerwacie indiańskim plemienia Papago. Jadąc drogami Arizony widzi się dużo krzyży przy drogach. Nie są to jednak krzyże związane z śmiertelnymi



Old Tucson



Old Tucson



Old Tucson

wypadkami, ale z wiarą Indian, że krzyże przy drodze świadczą o podróżach dusz ich przodków w zaświatach.

Przy autostradzie Nr 19 w kierunku granicznego z Meksykiem miasta Nogales znajduje się szereg miejscowości zbudowanych i zamieszkałych głównie przez emerytów. Przykładem jest miejscowość Green Valley, gdzie przy niskiej – willowej zabudowie z basenami, wśród palm widoczne są tereny do gry w golfa, jazdy konnej i innych sportowych uciech dla starszych ludzi. Podczas weekendów robiliśmy krótkie wycieczki natomiast podczas 2-tygodniowej zimowej przerwy w szkole wziąłem urlop i pojechaliśmy do Kalifornii na wypoczynek.



Kitt Peak (Tucson)



Obserwatorium astronomiczne (Tucson)



Green Valley

Jechaliśmy autostradą Nr 8 na zachód w kierunku San Diego przez miasto Yuma słynne z filmu z 1957 r. pt. „15:10 do Yumy” w reżyserii Dalmera Daves, filmu uważanego za jednego z klasyków amerykańskiego westernu. Naturalnie po drodze zwiedzaliśmy wszystkie historycznie ważne miejsca, dokumentując je dużą ilością kolorowych zdjęć i slajdów.



Urlop (San Diego)



Delfinarium (San Diego)

Kolejnym miastem w którym zatrzymaliśmy się 2 dni było San Diego, drugie co do wielkości miasto w Kalifornii i ósme w USA. Przepiękne miasto o klimacie śródziemnomorskim pełne zieleni, otoczone niewielkimi wzgórzami, z kilkoma portami nad Pacyfikiem, w którym Barbara się zakochała stwierdzając że mogłaby w nim zamieszkać na stałe. Odwiedziliśmy słynny Sea World z tresowanymi delfinami i orkami oraz morskim ptactwem, słynne San Diego Zoo z pandami oraz jadąc już na północ Safari Park, w którym z samochodu można podziwiać dzikie afrykańskie zwierzęta żyjące na wolności.



Queen Mary - obecnie hotel (Los Angeles)



Hollywood



Disneyland



Disneyland



Disneyland



Disneyland

Następnym miastem w naszej podróży było Los Angeles, 3,8 miliona ludności, drugie miasto za Nowym Jorkiem pod względem liczby mieszkańców w Stanach Zjednoczonych. Przebywaliśmy w nim większą część urlopu zwiedzając atrakcje tamtego rejonu. Byliśmy w alei sław na Hollywood Blvd., w Grauman's Chinese Theater, w którym odbywały się nominacje do Oscara a przed nim są odciski rąk i stóp wielu znanych ludzi zasłużonych dla filmu, w Beverly Hills, w największym studiu filmowym Universal, w Disneylandzie i w innych miejscach.

Pomimo zimy spędzaliśmy czas także na plaży, kąpiąc się w Pacyfiku. W porcie Long Beach zwiedzaliśmy także słynny statek Queen Mary przerobiony na hotel oraz Hughes H-4 Hercules amerykańską łódź latającą, największy samolot drewnianej konstrukcji jaki kiedykolwiek powstał, zwany Spruce Goose (Świerkowa Gęś), zaprojektowany jako samolot transportowy, jedyny egzemplarz zbudowany w 1947r. Po zakończeniu urlopu wypoczęci i pełni wrażeń wróciliśmy przez Phoenix do Tucson do swoich zajęć.

Po zakończeniu roku szkolnego w końcu czerwca odwiozłem Barbarę i Pawła do Phoenix, skąd odlecieli do Nowego Jorku, gdzie odebrał ich Marek. Przez kilka dni zatrzymali się u niego w Newtown w stanie Pennsylvania. Następnie z Nowego Jorku odlecieli do Warszawy.



Na tle kaktusa Saguaro w zimie (Tucson)



Rodeo (Tucson)

Po powrocie do Polski w lipcu 1985r. Paweł zdał obowiązkowe egzaminy i po wakacjach wrócił do swojej poprzedniej - już 3 klasy w Liceum im. Hugo Kołłątaja.

Ja pozostałem sam w Tucson i nadal pracowałem w szpitalu uniwersyteckim jeszcze kilka miesięcy. W tym czasie zapoznałem się z miejscową tradycją będąc kilka razy na Rodeo, które przyjmuje formę stanowego święta z wspaniałymi pokazami jazdy konnej, próbą ujeżdżania byków i konkurencjami zręcznościowymi w posługiwaniu się lassem itd.

Podczas mojej pracy w szpitalu otrzymałem informację, że profesor radiologii z Warszawy jadąc na Kongres Radiologów w Honolulu na Hawajach zatrzyma się kilka dni w

Tucson. Na drugi dzień na stacji autobusowej linii Grayhound spotkałem Prof. Stanisława Leszczyńskiego, u którego zdawałem kolokwium z radiologii na 4 roku medycyny i który wykluczył nowotwór złośliwy jelita u mojego Ojca. Zaprosiłem go do siebie na kilka dni i razem jeździliśmy do pracy do szpitala. Profesor obserwował moją pracę dydaktyczną ze studentami medycyny i akurat badaliśmy pacjenta z przeszczepem serca. Było mi szczególnie przyjemnie jak stwierdził, że pomimo tego, że jest doświadczonym starszym lekarzem, to po raz pierwszy w życiu widzi człowieka z transplantom serca w organizmie. Profesor przed wyjazdem na kongres wygłosił wykład dla tutejszej społeczności lekarskiej.

W tym samym Kongresie Radiologów na Hawajach uczestniczył mój brat Olgierd, który przyleciał do Honolulu przez NY i Los Angeles. Po kongresie zaprosiłem go do siebie do Tucson z propozycją opłacenia biletów lotniczych, ale on zatrzymał się tylko na krótko w Elizabeth koło NY u swojej koleżanki Dr Niemirskiej. Wydaje się, że nie uzgodnił z Ministerstwem Zdrowia dłuższego niż planowany pobytu w Ameryce i dlatego nie odwiedził mnie.

Mając wolny czas podczas weekendów postanowiłem także szukać złota uważając, że jeżeli w przeszłości ludzie podążali na „dziki zachód” m. in. w tym celu i znajdowali złoto, to geologicznie nic się nie zmieniło i ja będąc obecnie na tym terenie także powinienem go znaleźć. Swoimi planami podzieliłem się w szpitalu z amerykańskimi lekarzami, którzy zupełnie poważnie przyjęli moje rozważania i udzielili mi kilku rad - żebym złota szukał w wyschniętych potokach – w miejscach gdzie podczas pory deszczowej były wodospady, bo tam najwięcej się jego osadza i żebym uważał na pustyni m.in. na skorpiony oraz węże grzechotniki. Odpowiadali zupełnie poważnie i w pierwszej chwili myślałem, że sobie żartują, ale podali mi nawet adresy dwóch sklepów, w których mogę kupić przyrządy do zdobywania złota jak czekany i miski do płukania informując jednocześnie, że złoto znajdę ale jego ilość nie pokryje mi nawet paliwa na dojazd samochodem do miejsc poszukiwań. Pomimo tego podczas letnich miesięcy sporo czasu spędziłem, na pustyni szukając legendarnego złota uważając na skorpiony, niebezpieczne pająki a zwłaszcza grzechotniki, których się najbardziej bałem. Moje wyprawy kończyły się najczęściej w górach Lemmon na odpowiedniej wysokości z pudłem chłodnią z kanapkami i zimnymi napojami. Godnym podkreślenia jest fakt, że w Arizonie jest sporo kopalń miedzi i niektóre warstwy geologiczne np. w górach wyglądają jak złoto, ale nim nie są.

Zbliżał się czas mojego powrotu do Polski i po pożegnaniu się z współpracownikami Oddziału Medycyny Nuklearnej czyniłem pewne przygotowania. Wzorem osób przemieszczających się w USA, które organizują tzw. „garage sale”, w bramie prowadzącej

do domu naszego zamieszkania zorganizowałem wystawę rzeczy, które chciałem sprzedać - jak kolorowy TV i inne. Jedno popołudnie spędziłem jako potencjalny sprzedawca przy towarze ale nikt niczego nie chciał kupić. Udało mi się jedynie sprzedać za 50\$ rower Pawła pod dużym supermarketem Target, gdzie poinformowałem rodzinę amerykańską o swoim powrocie do Europy i przekonałem o dobrej cenie za ten rower.

Miałem jeszcze spór w banku, który chciał mnie obciążyć kosztami wypłaty moich oszczędności w czekach podróżniczych, ale udało mi się to załatwić polubownie bez naliczenia kosztów tych czeków.

Załadowałem więc niesprzedany „towar” m.in. kolorowy TV do pojemnego samochodu Plymouth Fury Suburban i ruszyłem tym razem na wschód w kierunku Nowego Meksyku i Texasu.

Powrót na wschodnie wybrzeże

Na wschodnie wybrzeże jechałem sam i dlatego musiałem szczególnie uważać, żeby nie zasnąć za kierownicą. Cały czas miałem piękną, jesienną, słoneczną, pogodę i nawet na południu Stanów nie musiałem włączać klimatyzacji. Jechałem na wschód autostradą międzystanową Nr 10 przez Nowy Meksyk, która poniżej El Paso już w stanie Texas zmieniała numerację na Nr 20. Po przekroczeniu granicy stanów Nowy Meksyk-Texas byłem zdziwiony, bo natrafiłem pierwszy raz w Ameryce na stację kontroli drogowej, która kontrolowała kierowców i samochody z innych stanów z kontrolą paszportową włącznie. Widocznie była to stanowa stała stacja kontroli drogowej związanej z bliskością granicy z Meksykiem oraz głębokim południem Stanów. Texas jest wielkim stanem, długości około 1300km, dlatego przerwę w podróży włącznie z noclegiem zrobiłem w mieście Odessa.

Następnie kontynuowałem podróż w kierunku Dallas, w którym chciałem zobaczyć miejsce zamachu na prezydenta Johna Kennedyego. Jednakże zrezygnowałem, bo musiałbym zjechać z autostrady do miasta i poświęcić sporo czasu, a ponieważ jechałem codziennie po kilkanaście godzin nie wydawało mi się to celowe. Dlatego jechałem nadal na wschód przez znany mi już stan Louisiana i miasto Shreveport, a potem stan Mississippi i stolicę stanu Jackson kierując się przez miasto Meridian do „mojego stanu” Alabama, żeby przez miasto Tuscaloosa osiągnąć najbliższy cel mojej podróży miasto Birmingham.

W B-ham zatrzymałem się dwa dni i spotkałem znajomych z pracy w Szpitalach Uniwersyteckim i VAH z mojego pobytu w 1972r. w osobach Dr Evy Dubovsky i współpracowników, Prof. Roberta Vansforda z Humanities i kilka innych osób.

Dalej podróżowałem przez kolejne stany i miasta tym razem autostradą Nr 85 w kierunku północy przez Atlantę, Charlotte, Richmond, Washington D.C do Filadelfii, gdzie spotkałem się z Dr Marią Erecińską (moją koleżanką ze studiów w Łodzi), która była Profesorem Farmakologii w Szkole Medycznej Perelmana Uniwersytetu Pensylwanii w tym mieście i miała wysoką pozycję w światowej nauce w dziedzinie neurochemii.

W końcu po kilku dniach mojej podróży dojechałem do „mety” czyli do Newtown Pa, gdzie zatrzymałem się u Marka przez kilka dni. Podczas pobytu u Marka podróżowałem tylko na krótkich odcinkach do Princeton, Elizabeth i Nowego Jorku.

Kolorowy telewizor kupiła ode mnie Dr Maria Niemirska, koleżanka Olgierda ze studiów z Lublina, która od dawna mieszkała w Elizabeth (po drugiej stronie Hudsonu), gdzie jako chirurg dziecięcy miała praktykę prywatną, a pracowała w NY w Szpitalu w dzielnicy Harlem.

Tym razem nie próbowałem „od ręki” sprzedać samochodu tylko zostawiłem go u Marka. Po jakimś czasie otrzymałem już w Polsce 600\$ za samochód, który kupił znajomy Marka.

Na koniec mojego ostatniego pobytu w Ameryce (od 1985r. już nie byłem w tym kraju) Marek odwiózł mnie na lotnisko JFK w NY skąd odleciałem do Warszawy.

Życie po 2-letnim pobycie w Ameryce

Po powrocie z Ameryki pojawiły się nowe problemy związane z pracą zawodową, budową domu w Warszawie i sprawami życia codziennego, które znacznie różniły się od życia w USA.

Po powrocie mieszkaliśmy nadal w naszym mieszkaniu w domu przy ulicy Grójeckiej 19/25, ale już na 12 piętrze. Ja wróciłem do pracy w Instytucie Centrum Medycyny



W mieszkaniu przy ul. Grójeckiej (1988r.)

Doświadczalnej i Klinicznej PAN, Barbara pracowała w Centralnym Instytucie Ochrony Pracy, a Paweł powrócił do Liceum im. H. Kołłątaja.

Do CMDiK PAN, który nadal mieścił się przy ulicy Dworkowej, wróciłem na swoje poprzednie stanowisko Kierownika Pracowni Izotopowej Zakładu Neuropatologii i kontynuowałem tam badania doświadczalne dotyczące niedokrwienia mózgu. W związku z posiadaniem w Pracowni Cieczowego Licznika Scyntylicyjnego wykonywaliśmy prace naukowe z zastosowaniem związków znakowanych izotopami beta-promieniotwórczymi jak węgiel C-14 i Tryt H-3 co pozwoliło na znaczne rozszerzenie badań biochemicznych. Pracownia zmieniała charakter na placówkę międzyzakładową, ponieważ w tamtym czasie był to jedyny taki licznik w Instytucie i korzystali z niego pracownicy Zakładu Neurochemii i innych zakładów.

Po decyzji Dyrekcji i Rady Naukowej zostałem wybrany na członka Rady Naukowej. W dalszym ciągu publikowałem dużo prac i brałem udział w sympoziach i kongresach w kraju i zagranicą – w Budapeszcie, Görlitz, Berlinie Zachodnim, Paryżu, Moskwie, Mediolanie i Manilli.

W 1992r. uzyskałem tytuł naukowy profesora a nominację odebrałem w Belwederze z rąk prezydenta Lecha Wałęsy. W 1992r. decyzją Dyrekcji i Rady Naukowej powołany



Profesura w Belwederze

zostałem na stanowisko Kierownika Zakładu Neuropatologii CMDiK PAN, które pełniłem do roku 2000.

Sytuacja polityczna w Polsce była nadal burzliwa, a codzienne życie nie było łatwe. Pomimo odwołania stanu wojennego co jakiś czas aresztowano działaczy Solidarności i członków KOR-u, wytaczano im procesy sądowe skazując na pobyt w więzieniu.

Zaopatrzenie w podstawowe produkty spożywcze było nadal niewystarczające. Podobnie było z materiałami budowlanymi, którymi byłem szczególnie zainteresowany, ponieważ budowa połowy bliźniaka w dzielnicy Mokotów- Sadyba podczas naszej nieobecności została zaawansowana na tyle, że zostały wzniesione mury do pierwszego piętra.

Budowa domu na Sadybie trwała 10 lat i budowaliśmy go z przerwami z dużym własnym zaangażowaniem. Przerwy w budowie i długi jej czas związane były z ogromnymi trudnościami w zakupie materiałów budowlanych oraz znalezieniem wykonawców. Nawet przy posiadaniu środków finansowych po oszczędnym życiu w Ameryce, budowanie czegokolwiek było prawdziwym wyzwaniem. Ja po pracy praktycznie większość czasu

spędzałem na budowie lub organizowałem zakup materiałów budowlanych albo angażowałem kolejne ekipy budowlane często z ogłoszeń.

Na początku budowę ułatwiało nam posiadanie naszego starego samochodu 12-letniego Fiata-125p. Ponieważ był on już mocno skorodowany a silnik zużyty, dlatego zrobiłem generalny remont silnika, wymieniłem nadwozie i służył nam w rodzinie jeszcze kilka lat. Podarowałem go Pawłowi w 1987r. jak zrobił prawo jazdy i rozpoczął studia medyczne.

Na potrzeby własne i budowy kupiłem, kolejnego Fiata 125p z silnikiem Poloneza do którego dorobiłem hak. Złożyłem podanie i kupiłem w Niewiadowie przyczepę o ładowności 400kg, która ułatwiała nam transport lżejszych materiałów budowlanych. W 1987r. kupiłem 300l betoniarkę, którą przyholowałem na pierwszym biegu za samochodem z Mokotowa na plac budowy. Było to 9 maja, ponieważ po przyholowaniu dowiedziałem się o katastrofie samolotu PLL LOT Kościuszko w lesie Kabackim.

Niektóre narzędzia budowlane kupowałem w marketach podczas zjazdów naukowych w Berlinie Zachodnim. Ekipy budowlane często zatrudniałem „zadaniowo” po ustaleniu ceny konkretnej pracy.

Korzystałem także z wojskowej kompanii budowlanej, która stacjonowała na wyspie otoczonej fosą przy ulicy Powsińskiej (dzisiaj mieści się tam muzeum Katyńskie), która budowała domy wojskowe w tzw. zatoce „czerwonych świń” w Wilanowie. Kilku żołnierzy po zakończeniu dziennej pracy przychodziło do mnie po południu i pracowali często do późnej nocy, murując poszczególne odcinki budowy. W ten sposób chłopcy sobie dorabiali a ja byłem zadowolony. Trzeba było jednak zawsze przygotować front robót – cement, piasek, wapno, wodę itd. co całkowicie zależało ode mnie. Niektóre prace wykonałem własnoręcznie np. zbrojenie balkonu na 1 piętrze, ocieplenie całego stropodachu wełną mineralną i pokrycie sufitów boazerią.

Niektóre wyroby budowlane np. 3 muszle WC kupiłem od tzw. „staczy” za podwójną cenę. Czasem, żeby dokupić 2-3 worki cementu (jeszcze starego typu po 50kg) trzeba było jechać z butelką koniaku lub małą gratyfikacją. Metalową obudowę drzwi do garażu otwierających się pod sufit zamówiłem u producenta i przywiozłem aż ze Stawigudy pod Olsztynem. Rury o niektórych przekrojach do centralnego ogrzewania (CO) uzyskałem w ramach wymiany od sąsiadów z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej budujących się w pobliżu. Piec gazowy do CO firmy „Kredan” na zagranicznej licencji został niedawno wprowadzony na polski rynek. Pomimo starań nie otrzymałem przydziału na żeliwne grzejniki CO i kupiłem czechosłowackie płaskie blaszane takie same jak w domu w Nałęczowie. Zewnętrzną stolarkę budowlaną - drzwi i okna z szybami wykonała prywatna

firma z okolic Sokołowa Podlaskiego. Heblowane deski na wystrój długiego płotu między słupkami przywożłem od stolarza z Nałęczowa. Atrakcyjną drewnianą część płotu wykonaliśmy rodzinnie razem z Pawłem, który potem już sam malowałem niemieckim Xyladekorem przywiezionym z Berlina. Pod koniec budowy Paweł i jego sympatia przyszła żona Agnieszka byli studentami medycyny i zamiast podczas wakacji jechać np. do Szwecji i zarabiać na zbieraniu leśnego runa, w różny sposób bardzo pomagali mi w budowie.

Uzyskanie kredytu budowlanego z banku zależało od powierzchni budowanego domu, który wówczas nie powinien przekraczać 130m². Dlatego pomieszczenia na 1 piętrze były tak zaprojektowane, żeby część powierzchni była poniżej 1,5m wysokości, co nie wliczało się do ogólnej powierzchni użytkowej. W myśl zasady, że „*Polak potrafi*”, ograniczenia powierzchni użytkowej zrekomensowano podczas początku budowy, wybierając ziemię w obrębie murów, tworząc dużą piwnicę, w której potem tuż nad ziemią wbudowano 3 okna. Kredyt budowlany został zaciągnięty, a zwrócono go na przełomie 1989/90, kiedy była maksymalna inflacja a dolar osiągnął najwyższą wartość.



Dom na Sadybie nadal w budowie (1998r.)

Budowa z przerwami trwała 10 lat i została zakończona w 1994r. Dłuższe przerwy spowodowane były moją decyzją, ponieważ były okresy, w których nie dawałem rady pogodzić pracy zawodowej, budowy domu oraz codziennego życia. Pod koniec budowy

zrobiłem dłuższą przerwę, ponieważ nie chciałem dostać zawału serca. Muszę szczególnie podkreślić, że Paweł wtedy bardzo mi pomógł wyręczając mnie w wielu sprawach.

Na temat budowy domu w tamtych czasach można by napisać osobną książkę i w niej m.in. podkreślić, że tradycyjnie w PRL-u bardziej liczyły się znajomości i zaradność niż nawet pieniądze.

Po zakończeniu budowy dom był wynajmowany przez 3 lata rodzinie francuskiej (1994 - 1997) a potem przez 2 lata konsulowi Ambasady Hiszpańskiej (1997 - 1999), a my w tym czasie mieszkaliśmy przy ulicy Grójeckiej. Z myślą o Pawle, Barbara została członkiem Spółdzielni Mieszkaniowej Ochota i po zaciągnięciu drugiego kredytu finansowaliśmy budowę mieszkania i podziemnego garażu w dzielnicy Włochy przy ulicy Sulmierzyckiej, w którym początkowo mieszkał Paweł z rodziną a obecnie ja mieszkam z Barbarą.

Po skończeniu 2 klasy Amphitheter High School w Tucson, Paweł powrócił do swoich koleżanek i kolegów do 3 klasy Liceum im. H. Kołłątaja. Już wtedy zdecydował, że będzie studiował medycynę i pomimo, że klasa miała profil matematyczno-fizyczny, ostatnie 2 lata przed maturą uczył się dużo zwłaszcza przedmiotów mających wpływ na egzamin konkursowy na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Warszawie. W maju 1987r. zakończył naukę w liceum zdając maturę.

Edukacja i dorosłe życie Pawła

Posiadanie potomstwa jest cennym darem natury. Dla Barbary oraz dla mnie edukacja i szczęśliwe życie Pawła jako jedynaka było i jest jednym z głównych celów naszego życia.

Decyzja Pawła o planach studiowania medycyny z jednej strony nas ucieszyła m.in. ze względu na ciągłość zawodową już w 3 pokoleniu rodziny, z drugiej strony zdawaliśmy sobie sprawę z ogromnej wiedzy, którą trzeba sobie przyswoić na studiach i trudnej oraz bardzo odpowiedzialnej pracy po studiach.

Ja dodatkowo nerwowo przeżywałem problem jego egzaminów wstępnych na uczelnię, będąc obciążony złymi doświadczeniami z własnego życia. Po zakończeniu w 1987r. testów wstępnych na A.M. w Warszawie pamiętam, że przez wiele godzin analizowaliśmy z Pawłem z jego pamięci pytania i odpowiedzi z poszczególnych przedmiotów i przez szereg kolejnych dni obliczałem z kalkulatorem ilość punktów, które mógł on otrzymać. Wyniki obliczeń



Po ślubie wesele w Pałacu Staszica

zawsze oscylowały nieco powyżej liczby odcinającej od osób nieprzyjętych. Wyniki egzaminów wstępnych ogłoszone zostały około 10 dni po ich zakończeniu i przyznając, że bardzo się denerwowałem, tym bardziej, że Paweł oceniał testy jako trudne w odróżnieniu od swojego kolegi, który uważał je za łatwe, mówiąc, że nie miał trudności z odpowiedziami. Paweł uzyskał pozytywną ocenę egzaminów wstępnych i został studentem, a jego kolega, niestety nie miał wystarczającej ilości punktów.

Od jesieni 1987r. Paweł rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim A.M. W Warszawie. Zaliczał kolokwia, zdawał kolejne egzaminy i nie powtarzał żadnego roku. Pod koniec 3 roku w lutym 1990r. zmarł Bronisław zwany Brońciem Ojciec Barbary i Dziadek Pawła, którego on bardzo kochał i z którym spędzał dużo czasu w dzieciństwie.

Od początku studiów Paweł sympatyzował z Agnieszką z którą po 4 roku studiów podczas wakacji wyjechał na praktykę studencką do szpitala w Göteborgu. Dyplom lekarza medycyny uzyskali oboje w 1993r. i w tym samym roku pobraли się.

Ślub kościelny wzięli w Kościele Zbawiciela, a przyjęcie weselne odbyło się w Pałacu Staszica w Klubie Polskiej Akademii Nauk.

Po dyplomie Paweł rozpoczął pracę w Szpitalu im. W. Orłowskiego, w Klinice Chorób Wewnętrznych CMKP (Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego) pod kierownictwem Prof. dr med. Ewy Marcinowskiej-Suchowierskiej. Oprócz pracy klinicznej i specjalizacji w zakresie chorób wewnętrznych, zgodnie z głównym profilem kliniki zajmował się także naukowo osteoporozą. W 1997r. zdał egzamin i uzyskał I° specjalizacji w zakresie chorób wewnętrznych.

Agnieszka pracowała krótko jako lekarz medycyny, zdała jeszcze raz egzaminy na A.M. i w 1995r. rozpoczęła studiować drugi fakultet tym razem na wydziale stomatologicznym, który ukończyła w 2000r.

W maju 1994r. urodziła się moja starsza wnuczka Basia. W czerwcu 1997r. w szpitalu gdzie pracował Paweł urodziła się młodsza wnuczka Magda. Niestety w tym samym czasie w szpitalu tym zmarła Babcia Marianna zwana „Manią”, Matka Barbary, którą Paweł także bardzo kochał.

Jesienią w 1997r. Paweł z Agnieszką i dwoma córkami (Magda miała dopiero kilka miesięcy) polecili do Ameryki na stypendium Fulbrighta, do Centrum Medycznego Uniwersytetu Indiana w Indianapolis. Agnieszka zajmowała się dziećmi i pogłębiała znajomość języka angielskiego, a Paweł dużo pracował nad badaniami związanymi z leczeniem chorób kości i zaburzeniami metabolizmu wapnia, które związane były z tematyką jego pracy doktorskiej.

W początkach 1998r. poleciała do nich na 3 miesiące Barbara pomóc w opiece nad



W Ameryce na stypendium Fulbrighta



W Nowym Jorku (1998r.)

dziećmi i wzmocnić ich finansowo, ponieważ stypendium Fulbrighta miało bardzo wysokie uznanie naukowe, ale niestety niskie finansowanie.

Pobyty Pawła z rodziną na stypendium w Ameryce miał dla niego bardzo duże znaczenie naukowe i życiowe. Wprawdzie miał on już 29 lat, wiedzę kliniczną jako specjalista I° w



Obie małe Kapuścińskie



Dziewczynki szybko rosną

dziedzinie chorób wewnętrznych, dobrą znajomość języka angielskiego, doświadczenie poprzedniego pobytu w tym kraju ale obecnie już samodzielnie współpracował naukowo z kierownikami 3 oddziałów Centrum Medycznego – Endokrynologii, Radiologii i Medycyny

Nuklearnej, przygotowując materiał do swojej pracy doktorskiej. Poza tym zdał egzamin na prawo jazdy, kupił samochód i opiekował się swoją rodziną podobnie jak ja w Arizonie w 1984/85r.

Po 2 latach od powrotu ze stypendium, w 2000r. zdał on w CMKP egzamin na II° specjalizacji w dziedzinie chorób wewnętrznych i obronił pracę doktorską.



Magda (15 lat)



Basia (18 lat)

Pobyty w Nałęczowie, prace w domu i w ogrodzie

Po 1972r., po naszym pierwszym pobycie w Ameryce, dość często przyjeżdżaliśmy do Nałęczowa nie tylko żeby odwiedzić Rodziców, ale celem pomocy Mamie w utrzymaniu domu i ogrodu. Rodzice już byli starsi, mieli skromne emerytury i nie mieli – jak w przeszłości – nikogo do pomocy na stałe w utrzymaniu porządku w domu i w pracach w ogrodzie.

Dodatkowym problemem było zamieszkiwanie 2 obcych rodzin w mniejszym domu i nieprzyjazny stosunek jednej z nich do nas jako właścicieli, podczas przyjazdów do Nałęczowa. Trwało to do początków lat osiemdziesiątych, w których jak pisałem drogą sądową uzyskaliśmy nakaz eksmisji. Dom ten jednakże został tak zdewastowany, że obecnie nie nadaje się nawet do remontu.

Życie rodziców w dużym domu zwłaszcza jesienią i w zimie, koncentrowało się głównie na 1 piętrze w tzw. pokoju Ojca, w którym był telewizor i Mama paliła w piecu. Węgiel i drzewo były w piwnicach i z reguły pan Józef Sygnowski, który kiedyś pomagał Rodzicom w ogrodzie, dopóki żył przynosił w wiadrach węgiel i ustawiał je w rzędzie w korytarzu blisko pokoju Ojca, żeby ułatwić Mamie palenie w piecu. W pozostałych częściach domu było chłodno. Wszystko to nie skłaniało do utrzymania porządku. Odnosiłem wrażenie, że życie w naszym rodzinnym domu powoli „gaśnie” i obserwując rozwijający się świat, duchowo nie zgadzałem się z tym i chciałem wprowadzić zmiany. Dlatego moje/nasze przyjazdy podczas weekendów w latach siedemdziesiątych kojarzę głównie z pracami technicznymi i porządkowymi w domu i w ogrodzie.

Kupiliśmy i zamontowali przepływowe podgrzewacze wody, nowe karnisze, materiał na firanki i zasłony, chodnik na schody, przywieźliśmy ze sobą maszynę do szycia i Barbara uszyła piękne firanki i zasłony. Nowy odkurzacz ułatwiał sprzątanie i utrzymanie porządku w domu. Już wtedy myślałem o zrobieniu centralnego ogrzewania, jednakże Mama nie lubiła zmian i była temu przeciwna.

W ogrodzie był już bardzo stary sad owocowy, z którym także były kłopoty przejawiające się brakiem owoców lub „klęskami urodzaju”. W tych urodzajnych latach z powodu braku stałego pracownika w ogrodzie, duże ilości jabłek - zamiast znosić je do piwnic - składowane były na północnym dużym tarasie, gdzie najczęściej większość z nich gniła.

W połowie lat dziewięćdziesiątych kupiłem kilka książek i pogłębiłem swoją wiedzę o ogrodnictwie. Będąc na kolejnym sympozjum naukowym w Berlinie Zachodnim, niezależnie

od przyrządów potrzebnych w budowie domu na Sadybie, kupiłem elektryczną piłę łańcuchową firmy Bosch. Pracując tą piłą z szkolnym kolegą z Nałęczowa Bogusławem Tarką z wyjątkiem 2 jabłonek, wycięliśmy cały starodrzew owocowy. Ziemia została zaorana, wyrównana i posadzono naturalny nawóz w postaci gorczycy. Następnie ziemia została ponownie zaorana, wyrównana i przygotowana do posadzenia wysokiego gatunku trawy. Kupiłem także kosiarkę spalinową z napędem, kosę spalinową oraz trymer i praktycznie od 1997r. rozpoczęliśmy kultywowanie pięknego trawnika w całej północnej części ogrodu. W tym samym roku posadziliśmy z Bogusiem wzdłuż płotu 24 różne drzewa owocowe - czereśnie, wiśnie, jabłunki, gruszki, nektarynki i śliwki. W części ogrodu założyliśmy także warzywnik.

W dalszych latach w okresie wakacji rozstawialiśmy basen kąpielowy, huśtawkę i zjeżdżalnię dla dzieci oraz duże namioty i zarówno moje wnuczki jak i Olgierda wnuki najczęściej odpoczywały w Nałęczowie w okresie lata.

W ostatnim czasie corocznie 9 czerwca spotykamy się w domu i ogrodzie z kolegami z Liceum im. S. Żeromskiego w rocznicę moich urodzin i w kolejną rocznicę zdania matury – ostatnio była to 59 rocznica.

Praca w nowym budynku Instytutu

Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN powstało w 1967r., w 1983r. zostało formalnie przekształcone w Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN, a w 2002r. uzyskał on nazwę im. Mirosława Mossakowskiego. W 1997r. w 30 rocznicę powstania przenieśliśmy się z budynku przy ulicy Dworkowej 3 do nowego budynku przy ulicy Adolfa Pawińskiego 5.

Byłem wtedy Kierownikiem Zakładu Neuropatologii i razem z Dyrektorem Prof. M. Mossakowskim pracowaliśmy kilka miesięcy przed przeprowadzką nad rozmieszczeniem zakładów, pracowni i pracowników na poszczególnych piętrach i w konkretnych pomieszczeniach.

W pierwszych planach Dyrekcji charakter Instytutu w nowym budynku miał być bardziej kliniczny, a nie tylko głównie doświadczalny. Prof. Mossakowski rozważał utworzenie kilku zakładów/pracowni, które interesowały mnie w związku z moim specjalistycznym wykształceniem. W prawym skrzydle Instytutu miał być Zakład Radiologii i Zakład Medycyny Nuklearnej, a Pracownia Doświadczalnej Medycyny Nuklearnej miała zajmować lewą połowę VI piętra.

W późniejszym okresie plany z kilku powodów zostały zmienione. Pomimo dużej powierzchni użytkowej dwóch budynków, nie wystarczało miejsca na Zakłady czysto kliniczne jak Neurochirurgia, Kardiologia, Neurologia, Chirurgia oraz inne i w efekcie mieszczą się one w Szpitalu Bielańskim i w Szpitalu MSWiA przy ulicy Wołowskiej. Ponadto zaplecze kliniczne wymagałoby dużych inwestycji nie tylko aparaturowych, ale i czysto „szpitalnych”. Nie bez znaczenia był także fakt bliskiego sąsiedztwa największego Szpitala Klinicznego WUM (Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego) przy ulicy Banacha.

Pomimo tego jeszcze przed przeniesieniem się do nowego budynku i na początku pracy poważnie rozważałem możliwość stworzenia pierwszego w Polsce ośrodka PET (Pozytonowej Tomografii Emisyjnej) przez wykorzystanie sowieckiego cyklotronu U-120, który miał być zainstalowany w pobliżu, w budynku Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego przy ulicy Pasteura 7. Projekt upadł, bo Polska nie otrzymała tego cyklotronu, a metoda PET stała się dostępna w kraju dopiero od 2003r. (Bydgoszcz) a w Warszawie od 2008r.

Realia życia a przede wszystkim sprawy finansowe zwyciężyły, a Instytut w nowym budynku pozostał jako ośrodek głównie doświadczalny w powiązaniu z zakładami klinicznymi wymienionymi powyżej.

Po wprowadzeniu się do nowego budynku przez okres dalszych 3 lat - do roku 2000 byłem Kierownikiem Zakładu Neuropatologii, który zajmował całe V piętro ale badania naukowe prowadziłem w Pracowni Doświadczalnej Medycyny Nuklearnej, która wtedy była częścią tego Zakładu i zajmowała połowę VI piętra. W latach 1997 – 2002 byłem również Głównym Specjalistą ds. Nadzoru Zastosowań Promieniowania Jonizującego.



Od prawej profesorowie: M. Mossakowski, O. Narkiewicz i P. Liberski w nowym Instytucie

Prof. Mirosław Mossakowski w latach 1996-1998 był Wiceprezesem PAN, a w latach 1999-2001 został Prezesem Polskiej Akademii Nauk. Był On Człowiekiem do końca swojego życia aktywnym naukowo i organizacyjnie i zawsze troszczył się o Zakład Neuropatologii, który sam stworzył. Dlatego doszliśmy wspólnie do wniosku, że na Kierownika Zakładu zostanie powołana Prof. Janina Rafałowska, doświadczony neurolog i neuropatolog, którą od lat dobrze znałem, a ja pozostanę przy swojej specjalności medycynie nuklearnej. Miałem prawdziwy zaszczyt i przyjemność w imieniu Profesora Mossakowskiego wprowadzać panią Profesor Rafałowską w szczegóły organizacyjne i wyposażenie Zakładu Neuropatologii, która objęła to stanowisko w 2000r. Ja w tym samym roku decyzją Dyrekcji zostałem powołany na stanowisko Kierownika Pracowni Doświadczalnej Medycyny Nuklearnej.

Prof. Mossakowski w tym czasie był już poważnie chory i opuścił nas w końcu 2001r. Był on znanym Naukowcem i piastował stanowisko Prezesa Polskiej Akademii Nauk, dlatego pogrzeb miał bardzo uroczysty z honorami państwowymi i został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu na Powązkach. Ja osobiście zawdzięczam Prof. Mossakowskiemu

bardzo dużo, spędziłem z Nim i pod Jego kierownictwem 33 lata życia i po rozpoczęciu pracy w 1969r. jako 32 letni lekarz po doktoracie, praktycznie całą dalszą karierę naukową w Polsce i zagranicą zawdzięczam nie tylko swojej pracy ale Jego przychylności i opiece. Godnym podkreślenia jest fakt, że brak przynależności do organizacji politycznej nie przeszkodził mi w awansowaniu i w karierze naukowej. Dlatego po Jego odejściu jako pierwszy złożyłem do Rady Naukowej wniosek ażeby nazwać Instytut Jego Imieniem.

W latach 2000 – 2003 w Pracowni Doświadczalnej Medycyny Nuklearnej pracowałem głównie z Dr Robertem Ostrowskim, który poprzednio był asystentem w Zakładzie Neuropatologii i niedawno uzyskał stopień doktora medycyny. W okresie tym badaliśmy nie tylko następstwa niedokrwienia mózgu, ale i zawały serca.

W badaniach posługiwaliśmy się różnymi związkami chemicznymi znakowanymi różnymi izotopami, badając m.in. stężenia receptorów endoteliny-1, leptyny, transport dopaminy i wiązanie z receptorami, wychwyty w mózgu N-oleoyl-dopaminy i inne. Część badań wykonaliśmy we współpracy z innymi zakładami. Dzięki posiadaniu aparatu Analizator Obrazu CUE-3 firmy OIlympus, prowadziliśmy także badania morfometryczne a we współpracy sięgaliśmy nawet po metody mikroskopii elektronowej.

Dr Ostrowski znał dobrze język angielski i miał opanowane metody komputerowe, dlatego uważałem, że powinien dalej kształcić się za granicą i wysłałem go na stypendium po doktoracie do Ameryki. Pracował on ze znanym na świecie w badaniach mózgu naukowcem chińskiego pochodzenia Prof. John H. Zhang'iem, początkowo 1 rok w State University w Shreveport w stanie Louisiana, a następnie przez 7 lat w Loma Linda University w stanie California. Po 8 latach pobytu w USA powrócił do Polski i pracuje w Zakładzie Neuropatologii kierowanym obecnie przez Prof. Ewę Matyję.

W 2004r. mój stan zdrowia pogorszył się i w drugiej połowie tego roku przebywałem na długim, zwolnieniu. Zdecydowałem, że zakończę pracę zawodową i Pracownię wraz z wyposażeniem przekazałem Prof. Lipkowskiemu, obecnemu Dyrektorowi Instytutu, który będąc chemikiem pracującym od lat nad środkami przeciwbólowymi m.in. w jej pomieszczeniach umieścił Zakład Neuropeptydów. Ja z dniem 7 marca 2005r. formalnie zakończyłem pracę zawodową i przeszedłem na emeryturę.

Moje dolegliwości zdrowotne

Wydaje się, że dla dokumentacji, powinienem opisać także dolegliwości zdrowotne, tym bardziej, że wpłynęły one na zakończenie mojej pracy zawodowej w wieku 68 lat. Wprawdzie mój szkolny kolega Mietek uważa, że ja mam końskie a nawet chamskie zdrowie, ale nie jest to takie prawdziwe. Ten drugi przymiotnik rzadko używa się w opisie stanu zdrowia, ale jak sądzę, chciał on szczególnie podkreślić, że przy moim anty-zdrowotnym sposobie życia dziwnym jest, że jeszcze żyję. Każdy kiedyś musi umrzeć, ale na razie nie chcę robić przykrości rodzinie i przyjaciołom i sprawiać przyjemność potencjalnym wrogom.

W wieku 13 lat miałem usunięty wyrostek robaczkowy. W klasie przedmaturalnej w wieku 16 lat podczas skoku w dal złamałem sobie przyśrodkową część łąkotki prawego kolana.

Okulary zacząłem nosić dopiero na 1 roku medycyny startując od -1,25D. Jako krótkowidz, w maksymalnym okresie „doszedłem” do -5,50D a w starszym wieku wada ustabilizowała się na -3,00D.

Papierosy zacząłem okresowo palić po maturze na 3 roku medycyny, podczas przerw między wykładami. Stałe palenie papierosów rozpocząłem podczas wycieczki do krajów skandynawskich w wieku 21 lat w 1958r. Paliłem przez 34 lata różne papierosy przeciętnie paczkę dziennie także w Ameryce, a w Polsce m.in. Carmeny i Caro. Od 1992 roku już nie palę. Podczas odzwyczajania się od nałogu palenia pomogła mi guma do żucia Nikoret.

W kwietniu 1992 roku stwierdzono u mnie chorobę wieńcową serca i miałem wykonaną pierwszą plastykę gałęzi brzeżnej lewej tętnicy wieńcowej.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych stwierdzono u mnie także nadciśnienie tętnicze i od tego czasu przyjmuję leki.

W styczniu 2001 roku miałem wykonaną drugą plastykę tej samej gałęzi lewej tętnicy wieńcowej, tym razem umieszczono w niej stent.

W maju 2003 roku zachorowałem na pęcherzową nawrotową różę lewego podudzia i przebywałem w Klinice Dermatologicznej. Od tamtego czasu miałem szereg nawrotów tej choroby, przeciętnie co rok lub 2 lata.

Podczas badania USG odpływu żylnego i limfatycznego w lewej nodze, stwierdzono tętniak aorty. Rozpoznanie zostało potwierdzone w TK (tomografii komputerowej), w którym stwierdzono tętniak średnicy 5,2cm umiejscowiony poniżej odejścia tętnic nerkowych.

Powstał on prawdopodobnie przez naruszenie mandrynem blaszki miażdżycowej, podczas cewnikowania i plastyki tętnicy wieńcowej.

W październiku 2003 roku zostałem poddany zabiegowi operacyjnemu podczas którego przez tętnice udowe umieszczono stentgraf Zenith w aorcie. Kontrolne badania TK wykazały pełną skuteczność tego zabiegu.

Moim lekarzem pierwszego kontaktu jest Barbara, która nadal pracuje jako lekarz chorób wewnętrznych w Przychodni Specjalistycznej Podstawowej Opieki Zdrowotnej przy ulicy Szczęśliwickiej.

W grudniu 2004 roku Miejski Zespół ds. Orzekania o Niepełnosprawności w Warszawie orzekł u mnie znaczny, trwały stopień niepełnosprawności 07-S, 05-R.

Od okresu przejścia na emeryturę i bardziej stacjonarnym trybem życia walczę z różnym skutkiem z nadwagą, która m.in. powoduje dolegliwości ze strony kolan, a to w myśl zasady błędnego koła powoduje moją mniejszą mobilność.

Transfery mieszkaniowe

Podczas gdy Paweł z rodziną przebywał w Ameryce na stypendium Fulbrighta w 1997/98r. ja z Barbarą mieszkając przy ulicy Grójeckiej nadzorowaliśmy koniec budowy mieszkania przy ulicy Sulmierzyckiej. Zleciliśmy położenie na podłogach dębowego parkietu, a ponieważ mieszkanie jest na parterze zleciliśmy także wykonanie i zamontowanie stylowych solidnych krat. Dzięki Barbarze i jej pracy w Przychodni, wdzięczny pacjent, który był kierownikiem jakiejś budowy polecił nam bardzo doświadczonego robotnika-artystę, który położył kafelki, terakotę i fenomenalnie wykończył łazienkę oraz osobny drugi WC. Odwiedzający nas ludzie do dzisiaj zachwycają się pięknie wykończoną łazienką i WC.

Paweł po powrocie z Ameryki powrócił do poprzedniej pracy w Klinice Chorób Wewnętrznych Szpitala CMKP im. W. Orłowskiego. Zamieszkał z rodziną na razie z nami w mieszkaniu przy ulicy Grójeckiej, a po pracy wyposażał mieszkanie przy ulicy Sulmierzyckiej, montując meble kuchenne, w pokojach, wyciągi wentylacyjne itd. Po wyposażeniu mieszkania w niezbędne urządzenia jak lodówka, pralka, kuchenka itd. do 2003 roku mieszkał w nim wraz z rodziną.



My w obecnym mieszkaniu

W 1999r. przeprowadziłem się do domu na Sadybie, w którym mieszkałem 4 lata. Barbara pozostała w mieszkaniu przy ulicy Grójeckiej, ponieważ miała bliżej do pracy. Wnuczki rosły, Basia miała już 9 a Magda 6 lat, kiedy doszliśmy z Barbarą do wniosku, że zamieszkanie Pawła z rodziną na Sadybie, gdzie jest niska zabudowa, dużo zieleni, a przede wszystkim ogród wokół domu, będzie korzystniejsze ze względu na dzieci. W związku z tym w 2003r. Paweł z rodziną zamieszkał w domu na Sadybie a my w mieszkaniu przy ulicy Sulmierzyckiej.

Korzyść była obustronna, ponieważ oni mieli większą powierzchnię, garaż w budynku i ogród, a my mieszkanie na parterze co jest bardzo korzystne w starszym wieku, także wystarczająco dużą powierzchnię oraz podziemny garaż. Mieszkanie przy ulicy Grójeckiej zostało sprzedane.

Życie na stypendium Zakładu Ubezpieczeń Społecznych

Po przejściu na emeryturę przypominając sobie piosenkę „Wesołe jest życie staruszka” doszedłem do wniosku, że dość się już w życiu napracowałem i nie planowałem podjęcia pracy „part time”, ani przedłużania w jakiegokolwiek postaci (wykłady, recenzje) działalności naukowej. Kupiłem komputer z drukarką i skaner i prowadziłem korespondencję z licznymi osobami w kraju i zagranicą, głównie w Ameryce.

Już w 2004 roku rozważałem możliwość opisanie swojego życia a nawet poczyniłem pewne kroki w postaci luźnych zapisów z okresu wczesnego dzieciństwa.

Myślałem też o nakręceniu filmu dotyczącego autobiografii. Zainteresowania filmem miałem nie dlatego, że pierwsze lata medycyny studiowałem w Łodzi, gdzie była Szkoła Filmowa ale ponieważ rozważałem możliwość dokumentacji filmowej przebiegu operacji w okresie stażu przed-dyplomowego, podczas pobytu w Klinice Chirurgii Klatki Piersiowej i Kardiologii kierowanej przez Prof. L. Manteuffla - Szoega. W tamtym czasie seriograf do angiokardiografii wyposażony był w 16mm kamerę filmową firmy Arriflex celem dodatkowej dokumentacji dynamicznej przepływu kontrastu w układzie krążenia. Była to jedna z najlepszych kamer na świecie i rozważałem możliwość kręcenia filmów z przebiegu operacji kardiologicznych. Ukończyłem nawet kurs operatorki filmowej i rozważałem możliwości zabezpieczenia sterylności sprzętu podczas pracy na sali operacyjnej. Planów tych nie zrealizowałem z powodu krótkiego 2,5 miesięcznego trwania stażu przed-dyplomowego w każdej specjalności. Olgierd w tym czasie kupił czechosłowacką kamerę firmy Optima 16mm, którą nakręciłem jedyny w życiu film z turystycznego pobytu na Mazurach.

Myśląc o filmowej dokumentacji autobiografii kupiłem książki na temat pisania scenariuszy Williama Goldmana „Przygody Scenarzysty” i Macieja Karpińskiego „Scenariusz: Niedoskonałe odbicie filmu” i namiętnie studiowałem. Byłem nawet w „jaskini lwa” czyli w WFDiF - Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy ulicy Chełmskiej w Warszawie celem uzyskania informacji na temat umowy w sprawie scenariusza a nawet wziąłem druki do zawarcia takiej umowy. Napisałem też kilka stron scenariusza początku ewentualnego filmu i na tym działania dotyczące robienia filmu w kraju zakończyłem.

Przed ośmioma laty miałem jeszcze odważniejsze plany filmowe. Rozważałem możliwość nawiązania kontaktu z Stevenem Spielbergiem i zainteresowania go scenariuszem i jego realizacją w postaci filmu wysoko-budżetowego. Kontakt z Spielbergiem planowałem

nawiązać przez Dr. R. Ostrowskiego, który w tym czasie pracował w Loma Linda University w pobliżu Hollywood i Los Angeles, z którym wtedy wymieniałem wiele e-maili.

Plany filmowe oraz pisanie autobiografii w tamtym okresie nie były realizowane z przyczyny, która została opisana w którejś z w/w książek, że *„jak się ma napęd do pracy i człowiekowi pisanie dobrze idzie, to trzeba pisać nawet po kilkanaście godzin dziennie i nie przerywać, bo jak się przerwie, to trudno jest wrócić do prawidłowego rytmu twórczości”* - i u mnie to wystąpiło. Uważałem, że jak opublikowałem wiele prac naukowych, to i pisanie autobiografii powinno postępować wartko; nic bardziej mylnego.



50 rocznica absolutorium



50 rocznica absolutorium



50 rocznica absolutorium

Jeżeli w latach 2004-2005 pisałem mało i nieregularnie, to w następnych latach praktycznie przestałem pisać, rekompensując to zwiększeniem korespondencji. Dopiero w latach 2011-2012 wróciłem do prawidłowego rytmu pisania.

W międzyczasie jednakże dokonałem wyboru licznych zdjęć, slajdów i negatywów, które zeskanowałem celem ilustracji poszczególnych okresów własnego życia.

Podczas emerytury okresy letnie najczęściej spędzam w Nałęczowie m.in. zajmując się pracami w ogrodzie. W początkach dekady 2000r. jeździłem używanymi samochodami – Oplem Omegą z silnikiem diesla a potem Oplem Kadetem. Od 2008r. jeżdżę Toyotą Avensis 2D, którą kupiłem po 3 latach użytkowania przez Pawła jako samochód służbowy. Podczas pobytów w Nałęczowie często przemierzam dawne „trasy motocyklowe” z młodości odwiedzając Lublin, Kazimierz i Puławy. Miasto bardzo się rozwinęło nie tylko jako uzdrowisko ale posiada obecnie dobrze zaopatrzone supermarkety. Pomimo tego będąc w Nałęczowie zawsze zajadam ze smakiem wspaniałe pieczywo z piekarni Zubrzyckiego.

W lipcu i w sierpniu w Nałęczowie często przebywają moje wnuczki Basia i Magda oraz wnuki Olgierda Michał i Kubuś z ich mamą a moją bratanicą Anią oraz bratową Bogusią. Na weekendy dojeżdżają też Agnieszka z Pawłem oraz Olgierd.



Barbara w pracy

Od kilku lat corocznie 9 czerwca spotykamy się z szkolnymi kolegami u mnie w domu i w ogrodzie w moje urodziny i kolejne rocznice naszej matury. Niektórzy nas już opuścili, większość narzeka na dolegliwości zdrowotne, ale nie dajemy się i spotkania zaplanowaliśmy

na dalsze lata. Spotkania przebiegają w bardzo miłej atmosferze wspomnień przy daniach z grilla i dobrym czerwonym wytrawnym winie lub drinkach.

W 2010 roku 29 maja w 50 rocznicę absolutorium odbył się Zjazd Absolwentów Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie rocznika 1955-1960. JM. Rektor Prof. Marek Krawczyk mówił: „*Jesteście Państwo rocznikiem wyjątkowym, który wydał wiele medycznych znakomitości*”. Wśród koleżanek i kolegów było wielu z tytułami i stopniami naukowymi w różnych specjalnościach znanych w Polsce i za granicą.

Dawniej często mówiłem, że „*najtrudniej to jest przeżyć pierwszych 70 lat życia, potem to już jakoś łatwiej idzie...*”. Od 6 lat liczbę zmieniłem na „*pierwszych 80 lat życia - dodając, że potem to już jakoś łatwiej idzie (bo najczęściej na cmentarzu...)*”.



Nasza kotka Panda

Podczas życia na emeryturze podróżuję rzadziej po świecie, ale byliśmy z Barbarą przed kilkoma laty w Sousse w Tunezji oraz w Hurghadzie w Egipcie. Ostatnio podróżujemy tylko w kraju – byliśmy z Barbarą już 2 razy w Busku Zdroju poprawić stan zdrowia kąpielami siarczkowymi, krioterapią i rehabilitacją kardiologiczną i ortopedyczną oraz obniżeniem masy ciała dietą niskokaloryczną.

Po „pięćdziesiątce” wydaje się, że czas upływa zbyt szybko, natomiast po „siedemdziesiątce” już nie wydaje się, ale człowiek wyczuwa bardzo szybką „ucieczkę czasu...”. Pomimo tego należy z optymizmem patrzeć w przyszłość, nie poddawać się psychicznie ani fizycznie i cieszyć się, że Opatrzność pozwoliła nam dożyć już stosunkowo sędziwego wieku. Biorąc pod uwagę, że z powodu wojen, wypadków komunikacyjnych oraz chorób dużo ludzi w młodym wieku umiera, należy się cieszyć z wieku powyżej 70 lat i patrzeć w przyszłość, kiedy nadejdzie 80 lat i więcej.

W stosunku do mojej starszej wnuczki Basi, która jest już dorosła, ponieważ w ubiegłym roku skończyła 18 lat, zobowiązałem się, że jak zda maturę, to ja jej wręczę opis historii swojego życia. Maturę zdaje w maju 2013 roku, a ja słowa dotrzymałem.



Dziadek Sowa

Warszawa, 14 stycznia 2013

Posłowie

Po zakończeniu pisania tekstu oraz dokumentacji zdjęciowej Barbara zadała mi pytanie dlaczego autobiografię zatytułowałem „Dziadek Sowa z Nałęczowa” i czy gdzieś w tekście to tłumaczę (w całości tekstu jeszcze nie czytała). Przyznam, że pytanie to mnie zaskoczyło i powiedziałem tylko „good question!”. Próbowałem jakoś to wytłumaczyć, ale w końcu zdecydowałem, że najlepiej będzie jak dosłownie zacytuję początek scenariusza filmowego, który napisałem przed 9 laty - 20 sierpnia 2004 roku.

Screenscript

- ciemny ekran, bardzo wolno rozjaśniający się, pomimo nocy widać zarysy drzew i z poza ekranu słychać pohukiwania sowy (najpierw z daleka, potem coraz bliżej); na tle tego jeszcze ciemnego ekranu pojawiają się napisy „Dziadek Sowa z Nałęczowa” lub ”Grandpa Owl from Naleczow”;
- z poza ekranu (na tle napisów) pojawia się łagodny męski głos mówiący, że tytuł filmu związany jest z częstym pohukiwaniem sów i piskiem puszczyków wieczorem i w nocy w Nałęczowie, w którym spędziłem swoją młodość do uzyskania matury, a moi rodzice spędzili tu całe swoje zawodowe życie;
- ekran całkowicie rozjaśnia się (może plan z lotu helikoptera?), widać budynek Sanatorium Nr 1 (ze stawem), pałac Małachowskich z herbem i od bramy wejściowej do parku i może 2 inne budynki charakterystyczne dla Nałęczowa np. ludowiec i przedszkole;
- tej sekwencji nadal towarzyszy głos z poza ekranu mówiący, że jest to miasto – uzdrowisko o populacji około 10tys., posiadające 3 średnie szkoły, położone w środkowej Polsce, 24km od Lublina. Obecnie szalenie rozwija się i unowocześnia (można pokazać Aquapark i fabrykę Nałęczowianki w Antopolu;
- cięcie -
- scena jazdy Albina ze mną samochodem do Skierbieszowa, piękna pogoda, rok 1975. Albin mówi mi o miejscu swojego urodzenia Kołomyi, biednym

dzieciństwie, studiowaniu medycyny w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie przez 10 lat – bo rok studiował i rok pracował, żeby zarobić na studia, aż do zrobienia dyplomu Doktora medycyny w 1926r.; dalej Albin mówi, że po dyplomie pojechał na rok do Skierbieszowa ażeby (jak mawiał) wzmocnić się finansowo;

- przebitka na mnie – jak kieruję samochodem i przez Lublin zbliżamy się do Zamościa;

- głos z poza ekranu – (moje myśli), że niedawno wróciłem ze swojego pierwszego pobytu naukowego w USA, miałem wówczas 38 lat i chciałem ojcu przybliżyć jego młodość i pierwszą pracę jako lekarza w Skierbieszowie; właśnie zbliżaliśmy się do Skierbieszowa...

Załączniki

List do E. Gierka

/ Nuclear Medicine Service

Dr Andrzej Kapuściński, pryw.adres:
1512 9th Avenue, South, Apt. 6-H
BIRMINGHAM, Alabama 35205

Birmingham, 1.XI.1971r.

W.P. Edward Gierek
Sekretarz Komitetu Centralnego
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Wielce Szanowny Panie Sekretarzu:

Pozwalam sobie napisac do Pana list, poniewaz spotkala mnie krzywda, na ktora jak sadze nie zasluzyłem. Moja zona dr Barbara Kapuscinska, otrzymala decyzje odmowna wydania jej paszportu na okresowy wyjazd do Stanow Zjednoczonych i w chwili obecnej wznowila starania, skladajac odwołanie od tej decyzji.

W Ameryce przebywam od 5 miesiecy, jako stypendysta medycyny nuklearnej Uniwersytetu Alabamy w Birmingham, wyslany w ramach planu wyjazdow przez Biuro Wspolpracy Naukowej z Zagranica Polskiej Akademii Nauk.

Jestem lekarzem i adiunktem Zespołu Neuropatologii Centrum Medycyny Doswiadczalnej i Klinicznej PAN, koordynujacym badania doswiadczalne z uzcieniem izotopow promieniotwórczych w Pracowni Radioizotopow tej instytucji. Jestem takze specjalista I^o w dziedzinie rentgenodiagnostyki i II^o w dziedzinie medycyny nuklearnej (specjalizacje te uzyskalem po zdaniu wymaganych egzaminow w 1969 r, jako pierwszy lekarz w Polsce). Doktorat obronilem w 1967r, a przed wyjazdem do USA zakonczylem prace habilitacyjna, ktora w chwili obecnej przygotowana jest do druku. Opublikowalem 34 prace naukowe w Polsce i zagranica i uczestniczyłem czynnie w 5 sympozjach zagranicznych: 1966r - Magdeburg, NRD; 1968r - Bad Gastein, Austria; 1969r - Karlove Vary, Czechoslowacja; 1971r - Karlove Vary; 1971r - Los Angeles, USA.

Przed wyjazdem do Ameryki byłem w szeregu krajow: NRD, Dania, Szwecja, Norwegia, ZSRR, Japonia, Bulgaria, Austria, Czechoslowacja.

Na poczatku mego pobytu w Birmingham, po porozumieniu sie z Atachee Naukowym Ambasady PRL w Waszyngtonie, panem R. Wojnickim, zaprosilem moja zone wraz z synem Pawlem (2 lata i 7 miesiecy) do USA.

Moja zona skladajac dokumenty zwiazane z wyjazdem, zlozyla wizyte Kierownikowi Dzielnicowego Biura Paszportowego, ktory poinformowal ja o niklych nadziejach, ze syn nasz uzyska zgode na wyjazd. Przyznaje zupełnie szczerze, ze nie byłem tym zaskoczony ani sie temu nie dziwie, poniewaz znalazem kilka osob (niektore z nich wyjezdzały rowniez przez PAN), ktore Ministerstwo Spraw Wewnetrznych obdarzylo zaufaniem, a one odmowily powrotu.

W zwiazku z powyzzszym, zona zlozyla dokumenty z prosba o paszport tylko dla siebie jednakże uzyskala decyzje odmowna.

Chce w tym miejscu wyraznie i zdecydowanie poinformowac Pana Sekretarza, ze nasza rodzina w zadnym wypadku nie kwalifikuje sie do rodzin, ktore maja na mysli potencjalne emigracje. Nie mamy powodow ani politycznych ani materialnych. W Polsce mam stanowisko z ktorego jestem zadowolony, wystarczajace dochody materialne oraz perespektywe dalszej kariery naukowej.

Powodem zaproszenia zony do USA sa nie tylko wzgledy rodzinne ale fakt, ze tak

lekarz ma ona także wieloletnie doświadczenie w pracy z izotopami promieniotwórczymi i chce jej umożliwić zetknięcie się z amerykańskim poziomem nauki w tej dziedzinie.

Nie jestem pewien ale mogę sadzić, że na decyzję odmowną wydania zonie paszportu, mógł także wpłynąć fakt, że brat mój Olgierd Kapuscinski, który jest docentem rentgenologii pracującym w Klinice Prof.L.Mantteuffla w Instytucie Gruzlicy w W-wie, przebywa obecnie na 3 miesięcznym wyjeździe szkoleniowym w Instytucie Rentgenologii Uniwersytetu w Bonn. Jest on pierwszym po wojnie polskim rentgenologiem przebywającym oficjalnie na szkoleniu w NRF, na podstawie ostatniego porozumienia między Rządami obu krajów. Warto podkreślić, że opublikował on kilkadziesiąt prac naukowych, z tego kilkanaście w czasopiśmie NRF i jego stosunkowo wysoki poziom w dziedzinie kardiorentgenologii został wyróżniony umożliwieniem mu dalszego kształcenia się w najlepszym ośrodku tego kraju.

Jego żona jest adiunktem Instytutu Radiologii A.M. w W-wie i wraz z córką przebywa obecnie w Polsce.

Nasi rodzice - Rafaela i Albin Kapuscinski są także lekarzami w podeszłym wieku i mieszkają od wielu lat w Naleczowie.

Wszystko to powinno wskazywać, że nielegalne pozostanie kogokolwiek z naszej rodziny zagranicą, uniemożliwiłoby ewentualne przyszłe wyjazdy innym członkom rodziny.

Niezależnie od tego, będę szczerze wdzięczny, jeżeli osoby do tego powołane zechcą zwrócić się do nestora polskiej radiologii Prof.Dr nauk med.Witolda Zawadowskiego aby uzyskać dodatkowe wiarygodne informacje odnośnie mojej osoby i naszej rodziny.

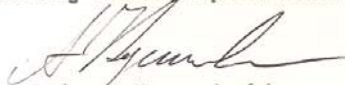
Koncząc ten list, w którym starałem się możliwie wszechstronnie nasświetlić szereg zagadnień, uprzejmie proszę Pana Sekretarza o spowodowanie pozytywnej decyzji wydania paszportu mojej żonie.

Ze swej strony pragnę głęboko zapewnić Pana Sekretarza, że nie zawiedziemy danego nam zaufania.

Jednocześnie informuję, że jeżeli żona nie uzyska zgody na wyjazd, również się z tym spokojnie pogodzę ale będzie mi przykro, że nie uzyskałem kredytu zaufania, na który jak sądzę zasługuję.

Lacze wyrazy najgłębszego szacunku dla Pana
i Jego pracy dla dobra naszego Kraju,

z najbardziej szczerym powazaniem



Andrzej Kapuscinski

Dyplom specjalisty medycyny nuklearnej w Ameryce



Andrzej
Kapuściński
(Dziadek Sowa)



dziś



kiedyś